

Jakub Augustyn Maciejewski

**SZALEŃCY
TRANSHUMANIZMU
CHCĄ PANOWAĆ
NAD ŚMIERCIĄ**



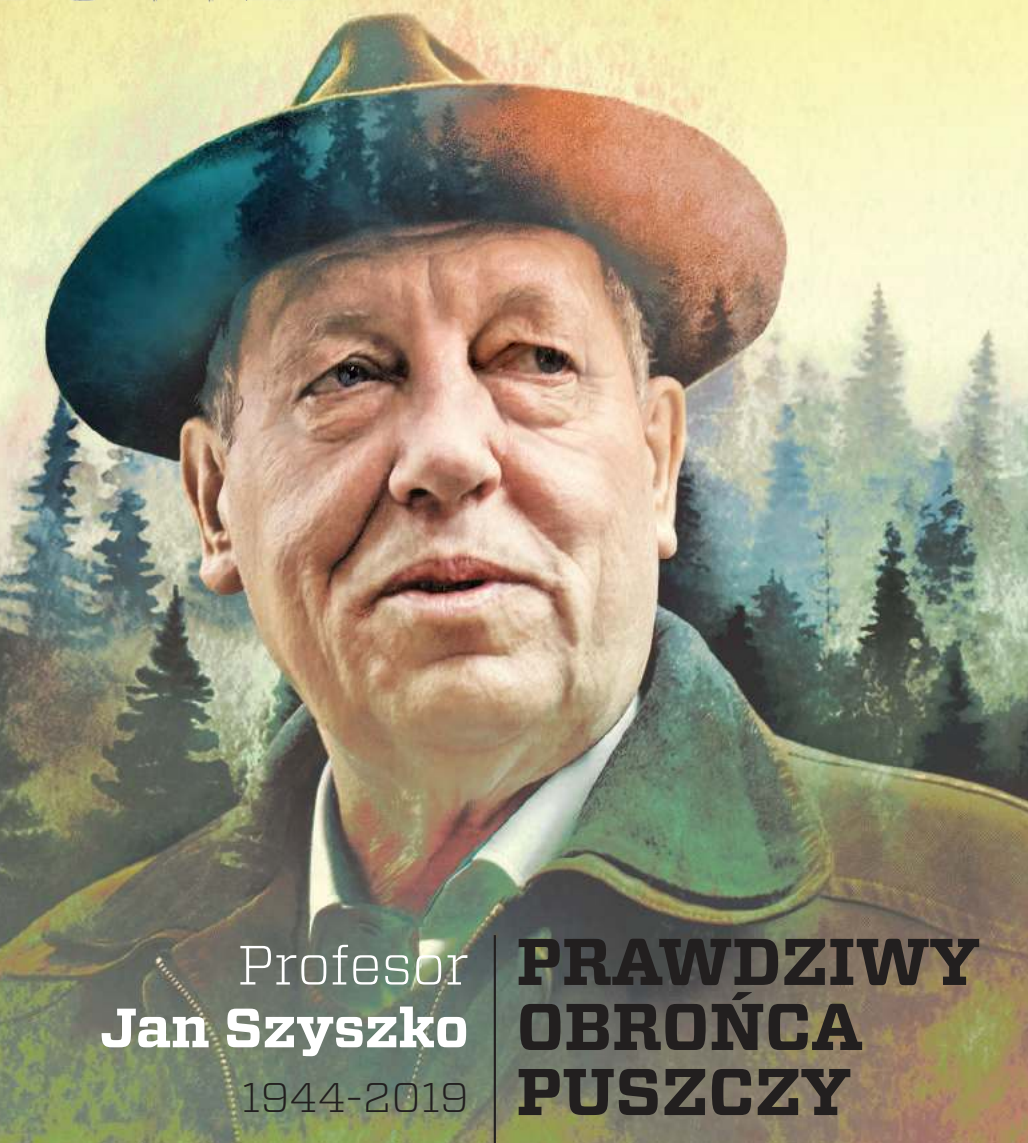
Piotr
Lisiewicz

**HOKEJOWY
KIJ ZŁAMANY
W KATYNIU**



NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



Profesor
Jan Szyszko

1944-2019

**PRAWDZIWY
OBROŃCA
PUSZCZY**

9



ISSN 1895-4960
cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetawroclaw.pl nakład 14 830 indeks 211060 #163 11/2019
ILUSTACJA: MIKULSKI, TŁUMACZENIE: ZDOLIC, MICHAŁ KOSZCZONIUK, ADOBESTOCK



Darz bór, Panie Profesorze! / 4

Spis treści

PRO MEMORIA

- Paweł Sałek
Darz bór, Panie Profesorze! / 4
 Jacek Liziniewicz
Sprawa honoru / 10
 ks. bp Antoni Dydycz
Polsko! Twój anioł „Wolność” ma na imię / 14
 Ryszard Czarnecki
Jan Uparty i jego cztery miłości / 19

IDEE

- Jakub Augustyn Maciejewski
Szaletnicy transhumanizmu chcą panować nad śmiercią / 20
 Tomasz Terlikowski
Szukając źródeł lekarskiej moralności / 26
 Małgorzata Matuszak
AAA Dziecko – kupię, sprzedam / 30
 Ewa Polak-Palkiewicz
Niepodległość i choroba naszych czasów / 34

HISTORIA

- Piotr Lisiewicz
Hokejowy kij złamany w Katyniu / 40
 Dariusz Jarosiński
Bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa / 46
 Magdalena Złotnicka
Apelacja popiołów / 52
 Agnieszka Kowalczyk
Polacy na krańcach świata. Odkrywczy tajemnic Czarnego Łądu / 58
 Wacław A. Zbyszewski
Nagroda Nobla / 64

ŚWIAT

- Olga Doleśniak-Harczuk
Chodź, pokażę ci największy burdel Europy / 70
 Antoni Rybczyński
Zabójstwo dziewczynki w Saratowie. Rosja nie chroni obywateli / 76
 Hanna Shen
Niewidzialna wojna – ostatnie ostrzeżenie / 80
 Stefan Czerniecki
Zagubiony Plastus bez mapy / 84
 Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 92
 oprac. Antoni Rybczyński
Ropa, handel i żywność. Po co Putin jeździł do Arabii Saudyjskiej / 94

Stale rubryki



Katarzyna Gójska
Prawdziwy Obrońca Puszcz

NA POCZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... cmentarz

KATECHIZM INTELIGENTA

25



Ryszard Czarnecki
Kontrowersyjny Nobel i ciężki los Ossich

CZARNECKO TO WIDZĘ

39



Marek Kalinowski
W starym kinie

DO GRAJĄCEJ SZAFY...

67



Kamil Goral
Podatki po nowemu

SŁOWEM O GOSPODARCE

68



Olga Doleśniak-Harczuk
O murze. I trochę o Adolfie

Z GLOBALNEGO TYGŁA

90



Marcin Wolski
Ziemia dla ziemniaków

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz
Mikroprzekaz

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
 POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA

NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
 wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
 02-056 Warszawa
 ul. Filtrowa 63/43
 e-mail: redakcja@niezalezna.pl
 www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbanowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Razwarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 29 58

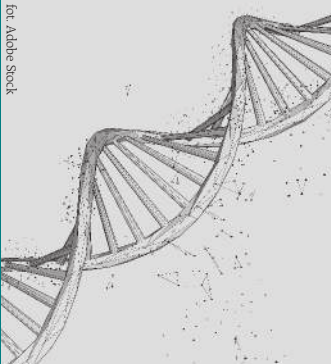
prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
 ISSN 1895-4960



for Adobe Stock

Szaletnicy transhumanizmu chcą panować nad śmiercią / 20



for NAC

Chodź, pokażę ci największy burdel Europy / 40



for Robert Schlessinger/BAP/DPA

Chodź, pokażę ci największy burdel Europy / 70



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

PRAWDZIWY OBROŃCA PUSZCZY

Puszczańską społeczność lokalną można podzielić na dwie grupy. Jedną stanowią ludzie z tych stron oraz napływowi pracownicy Lasów Państwowych – dla nich Puszcza jest miejscem życia, ich światem. Po drugiej stronie są przede wszystkim przyjezdni. Dla nich zmarły niedawno Profesor Jan Szyszko był wrogiem numer jeden. Przede wszystkim dlatego, że naruszał ich spokój – nie pozwalał na bezproblemowe sterroryzowanie lokalnej społeczności ich wizją PB.

Gdy Pan Profesor Jan Szyszko przyjeżdżał na teren Puszczy Białowieskiej, na spotkania z nim przychodziły prawdziwe tłumy. Miejscowych. Tych, dla których ten las był dziedzictwem przodków, elementem wspomnień, a bardzo często także miejscem pracy. Przychodzili zatem ci, którzy żyli w Puszczy i znali ją doskonale. Widzieli w śp. Panu Profesorze człowieka szczerze ztroskanego ich losem, ale także rozumiejącego ich koegzystencję z naturą.

Puszczańską społeczność lokalną można podzielić na dwie grupy. Jedną stanowią ludzie z tych stron oraz

kontaktom uruchamiają wielkie media, by grać sprawą Białowieży wedle swoich wizji, a niekiedy zwyczajnie swoich interesów. Dla tej grupy zmarły niedawno Pan Profesor był wrogiem numer jeden. Przede wszystkim dlatego, że naruszał ich spokój – nie pozwalał na bezproblemowe sterroryzowanie lokalnej społeczności ich wizją PB. Na tzw. walce o Puszcę można i zarobić, i się lansować. Zarabiają powstające jak grzyby po deszczu kiluosobowe organizacje ekologiczne, niekiedy wręcz dokonujące desantu z odległych części Polski na Podlasie, by móc uszczknąć co nieco z łatwych do zdo-

W TYM NUMERZE UKAZUJEMY PRAWDZIWY DORÓBEK ŚP. PROFESORA JANA SZYSZKO. PRAWDZIWEGO OBROŃCY PUSZCZY, KTÓREMU PSEUDOEOKOLOGICZNY BIZNES CHCIAŁ PRZEZ CAŁE LATA WYRZĄDZIĆ WIELKĄ KRZYWDĘ.

napływowi pracownicy Lasów Państwowych – tacy, którzy przyjechali tu dawno, i nowi. Puszcza jest ich miejscem życia, ich światem. Chcą ją zarówno chronić i pielegnować, jak i normalnie tu żyć. Są przekonani, że można ją użytkować, nie umniejszając jej bogactwa, a wręcz przeciwnie – powiększając je. Właśnie oni widzieli w Profesorze Janie Szyszko ambasadora swoich racji. Po drugiej stronie są przede wszystkim przyjezdni. Tacy, którzy dotarli na te tereny w latach 80. czy 90. Przyjechali z dużych miast, najczęściej z Warszawy. Spodobało im się, kupili domy i uznali, że Puszcze można chronić jedynie zakazami, które generalnie sprowadzą się do jednego polecenia – im mniej ludzkiej aktywności czy wręcz obecności, tym lepiej. Rzecz jasna swoją obecność uznali za dozwoloną, bo już „zasiedzieli”, a przez to naturalną. Zarabiali w większości poza Puszcza, część z nich z walki o jej tzw. pierwotność uczyniła sposób na życie. To właśnie oni dzięki swoim

bycia środków na ochronę czegokolwiek w białowiejskich lasach. Z kolei zaangażowani w tzw. ratowanie PB celebryci przy niewielkim wysiłku – wystarczyło wypowiedzenie najbardziej kuriozalnego zdania na temat ochrony Puszczy – zyskiwali cytowalność czy okazję do promowania reklamowanych przez siebie produktów. Sprawa Puszczy Białowieskiej stała się zatem dla tych grup wielkim miejscem żerowania, do którego wiedza przyrodnicza oparta na rzetelnych badaniach naukowych nie była do niczego potrzebna. Dla nich ataki na Pana Profesora stały się tak oczywiste jak codzienne mycie zębów. A skala ignorancji, niekiedy wręcz bezdennej głupoty, zajadłości i odporności na jakiegokolwiek argumenty merytoryczne – porażała.

W tym numerze naszego miesięcznika ukazujemy prawdziwy dorobek śp. Pana Profesora Jana Szyszko. Prawdziwego obrońcy Puszczy, któremu pseudoekologiczny biznes chciał przez całe lata wyrządzić wielką krzywdę. ■



DARZ BÓR, PANIE PROFESORZE!

Paweł Sałek

Powiedzieć
o Janie Szyszko:
naukowiec,
polityk, patriota,
społecznik,
wykładowca,
wychowawca,
pasjonat, leśnik,
etyczny myśliwy,
ekolog – to za
mało. Bo Profesor
był w wielu
wymiarach
człowiekiem
wielkim
i wybitnym.

Ilustracja Mariusz Tróliński na podstawie zdjęć: Michał Kosci/Forum, AdobeStock

Szczeńć Boże, darz bór – tak witał się śp. Profesor Jan Szyszko. Należał do grona światowej sławy uczonych, który nie miał zwyczaju się chwalić, dlatego nie każdy wie, że jako jeden z dwóch Polaków – obok Ojca Świętego Jana Pawła II – otrzymał prestiżową nagrodę Etторе Majorana – Erice – „Nauka dla Pokoju” przyznaną przez Światową Federację Naukowców. Wyóżnienie to otrzymały tylko 62 osoby na świecie, w większości laureaci Nagrody Nobla.

► Jest takie wyjątkowe miejsce...

Był wizjonerem i wybitnym naukowcem. Chyba jako pierwszy i jedyny polski uczony założył i prowadził prywatną stację badawczą. Cenił sobie bowiem niezależność i rzetelność w pracy naukowej. Po latach funkcjonowania i – należy to podkreślić – ogromnego wysiłku swojego i swojej rodziny, Terenowa Stacja Badawcza w Tucznie posiada profesjonalne sale wykładowe, laboratorium, muzeum historii naturalnej Tucznia, pokój gościnny, a ponadto dużą kolekcję owadów i roślin naczyniowych. Obserwacje prowadzone są na ponad 1200 ha powierzchni doświadczalnych. Od 1988 roku prowadzone są tam badania nad pochłanianiem dwutlenku węgla przez żywe zasoby przyrodnicze. Badania służą m.in. kształtowaniu gospodarki leśnej w celu zmniejszenia koncentracji dwutlenku węgla w atmosferze, a więc spełnienia założeń konwencji klimatycznej. Ponadto cele badawcze to regeneracja gleb i zwiększenie ich produktywności, kształtowanie bioróżnorodności, sterowanie dynamiką liczebności populacji, a także tworzenia miejsc pracy w terenach wiejskich.

Trzeba podkreślić, że w badaniach tych uczestniczyli najwyższej klasy naukowcy z całego świata. Na ten cel Profesor przeznaczał w dużej mierze prywatne środki i osobiste zbiory, natomiast nie pobierał żadnych dopłat, wbrew temu, co próbowały przekazać niektóre media.

Hektary profesora weszły do historii literatury naukowej jako miejsce zwane Krzywdą. Dlaczego Krzywdą? Otóż miejscowy rolnik, gdy dowiedział się, że Profesor kupił te grunty, bagna i nieużytki, powiedział wówczas „Panie, toż to krzywdą to kupić”.

Stacja badawcza w Tucznie była miejscem setek spotkań, konferencji, seminariów, wykładów naukowych. Wiele z nich to były wydarzenia międzynarodowe czy nawet światowe. Zwyczajem było, żeby każdy gość Profesora sadził drzewo, którego stawał się patronem, dlatego też obecnie rośnie

piękna aleja dębowo-lipowa na sławetnej Krzywdzie.

Terenowa Stacja Badawcza w Tucznie to placówka, która ma także swoich wybitnych patronów. Są nimi polski leśnik prof. Jan Dominik oraz holenderski uczony prof. Peter den Boer. Stąd nazwa stacji D&B.

Niech miarą tego wyjątkowego miejsca będzie anegdota, kiedy to jeden z dziennikarzy pewnego tygodnika, chcąc dokuczyć, zasugerował Profesorowi, jak on się dorobił na tej ziemi... a Pan Profesor dowcipnie, ale zgodnie z prawdą, odpowiedział: „Ten dorobek to 3 habilitacje, kilka doktoratów i setki prac magisterskich”.

Chyba wielu z nas dziś tu obecnych doświadczyło jego niebywałej gościnności. Zawsze z otwartymi ramionami przyjmował wszystkich. Nigdy nie pobierał żadnych opłat za użytkowanie stacji i laboratorium. Sam jako student byłem wiele razy Jego gościem, zresztą jak setki innych studentów, którzy przez te 30 lat przewinęli się przez stację. Pozwalał nam korzystać z unikatowych zbiorów i infrastruktury stacji, a nierzadko udostępniał dach nad głową i studencką strawę.

Wszyscy jego goście mieli okazję skosztować specjalów, które serwował, bo był również wyśmienitym kucharzem. Znakomicie przyrządzał produkty pochodzące z lasu: dziczyznę, grzyby, jagody. Hitem kulinarnym była kapusta na świńskim łbie przygotowywana nad ogniskiem, która smakowała również... wegetarianom. Chyba jako pierwszy w Polsce promował zdrową, ekologiczną żywność. Pamiętam, jak zawsze powtarzał, że polskie rolnictwo to nasz największy skarb, tradycyjne, ekstenzywne, oparte na naturalnych procesach, bez sztucznych wspomagaczy i nadmiernej chemizacji, a przede wszystkim bez GMO. Był z polskiego modelu rolnictwa bardzo dumny, powtarzał, że kraje rozwinięte, do których wówczas aspirowaliśmy, mogą tylko pomarzyć o takich zasobach i takiej bioróżnorodności, o znakomitych i nie zdegradowanych glebach. Potrafił prowadzić wielogodzinne dysputy o znaczeniu polskich krajobrazów „polskiej miedzy” czy mozaiki pól, o procesach glebotwórczych, bioróżnorodności gatunkowej roślin i zwierząt. Czy po latach możemy z satysfakcją powiedzieć, że wykorzystaliśmy w pełni ten potencjał? Dopuszciliśmy do GMO i wielkich ferm przemysłowych. Czy nasze rolnictwo stało się w związku z tym bardziej konkurencyjne lub ekologiczne? Chyba nie, ale za to mamy nowe problemy. Profesor Szyszko od zawsze był przeciwnikiem upraw GMO, wiedział, że ograniczy to bioróżnorodność

i uzależni rolników od producentów nasion oraz środków ochrony roślin.

► Jeden z ostatnich bastionów państwa polskiego

Ale największą troską otaczał Lasy Państwowe. Był wielkim orędownikiem ich struktury, organizacji i tradycji. Uważał je za wzór zrównoważonego rozwoju, powszechnie z nich korzystamy, pozyskujemy drewno, a jednocześnie zachowujemy wysoką bioróżnorodność i wysokie standardy środowiskowe. Zasoby leśne są dobrem narodowym i muszą służyć każdemu Polakowi. To nasze bezpieczeństwo ekologiczne, to czyste powietrze, czysta woda oraz siedlisko bytowania gatunków dziko żyjących. Estymą otaczał każdego leśnika, od dyrektora generalnego do zwykłego gajowego, niezwykle cenił sobie ich służbę, a także praktyczną wiedzę. Zawsze powtarzał, że Lasy Państwowe to podstawa bytu i niepodległości Polski i narodu.

Podpisy były zbierane wszędzie, zbierali je wszyscy. Studenci, Rodziny Radia Maryja, koła łowieckie, kluby „Gazety Polskiej”, niezależne organizacje pozarządowe, organizacje kombatanckie, związki zawodowe, stowarzyszenia i inni. O akcji zbierania podpisów i efektach informowały Radio Maryja, TV Trwam, „Nasz Dziennik”, tygodnik „Niedziela” i „Gazeta Polska”. Zebrano ponad 3,5 miliona podpisów pod wnioskiem o referendum ogólnokrajowe w sprawie przyszłości Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe i polskiej ziemi. To było największe pospolite ruszenie, które uruchomił Jan Szyszko. Powstrzymało ono niebezpieczne zapędy ośrodków liberalnych. Często powtarzał, że pozbywając się ziemi, pozbywamy się państwa, stając się równocześnie narodem migrujących najemników. Być może inspirował się myślą Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego, który w książce „Gasnące ognie” pokazał, co dla narodu znaczy własność ziemi. Jak umierają narody, które tej własności się pozbywa-

WPAJAŁ TO WSZYSTKIM: „POLSKIE LASY PAŃSTWOWE TO WIELKIE DZIEDZICTWO NARODOWE NASZEGO KRAJU, JEDEN Z OSTATNICH BASTIONÓW PAŃSTWA POLSKIEGO I SZANSA NA PRZETRWANIE NARODU W TZW. JEDNOCZĄCEJ SIĘ EUROPIE”.

a zarządzanie nimi zgodnie z koncepcją zrównoważonego rozwoju stymuluje rozwój terenów wiejskich i kreuje tam nowe miejsca pracy. Wiele razy płacił za te poglądy utratą stanowisk i nieustanną kampanią oszczerstw i pomówień, bo w historii ostatnich 30 lat III RP były próby rozbicia, demontażu, a nawet prywatyzacji Lasów Państwowych. Był tego zdecydowanym przeciwnikiem, uważał że Lasy Państwowe to najlepiej zorganizowana gałąź gospodarki. Liczące obecnie blisko 100 lat Lasy Państwowe uważał za ogromny sukces polityczny i gospodarczy Polski oraz wzór zarządzania i użytkowania zasobów przyrodniczych dla całego świata. W obliczu zagrożeń związanych z dekompozycją struktury Lasów Państwowych, jakie pojawiły się w latach 2008–2014, podjął samotną i – trzeba to powiedzieć – heroiczną walkę o ich ocalenie. Zorganizował akcję zbierania podpisów o poddanie pod ogólnokrajowe referendum sprawy przyszłości Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe i polskiej ziemi.

ją. I jak w historii świata powstawały państwa, które wykupywały ziemię, a później osiedlały tam swoich obywateli. Wpajał to wszystkim: „Polskie Lasy Państwowe to wielkie dziedzictwo narodowe naszego kraju, jeden z ostatnich bastionów państwa polskiego i szansa na przetrwanie narodu w tzw. jednoczącej się Europie”. Dlatego też, czerpiąc z wiedzy i doświadczeń Pana Profesora, nie dopuśćmy do zmiany statusu Lasów Państwowych i zaszczepmy w sobie postawę nieufności wobec wszelkiego rodzaju „błyskotliwych koncepcji racjonalizatorskich” dotyczących lasów i leśnictwa czy sprzedaży drewna.

Profesor był myślącym, zawsze powtarzał, że polski model łowiectwa oparty na jednej organizacji, jaką jest Polski Związek Łowiecki, to klucz do prowadzenia racjonalnej gospodarki zwierzyną łowną i zachowania równowagi przyrodniczej. Łowiectwo to nasza tysiącletnia tradycja związana z polską państwowością od czasów Piastów, to nasze dziedzictwo kulturowe, zwyczaje, a także natu-

ralna i najzdrowsza żywność. Mówił, że współpraca pomiędzy rolnikiem, leśnikiem i myśliwym to podstawa ochrony przyrody. Przestrzegał przed prywatnymi obwodami łowieckimi i był przeciwny tym koncepcjom.

► Stworzył podwaliny polskiej polityki klimatycznej

Niezwykle ważnym rozdziałem w działalności Pana Profesora była sprawa Konwencji Klimatycznej Organizacji Narodów Zjednoczonych. On pierwszy zrozumiał jej treść i pojął, jak ważny to instrument, że możemy go wykorzystać dla rozwoju kraju. Dziś wielu decydentów zdało sobie sprawę, co dla Polski znaczą limity emisji CO₂, ograniczenia wydobycia krajowych zasobów energetycznych. Dziś wszyscy politycy są specjalistami od zmian klimatu. Obecnie borykamy się ze wzrostem kosztów wytwarzania energii, gdyby słuchano wówczas Profesora, dziś byłoby łatwiej. Mówił o tym już w latach 90. ubiegłego wieku. Pamiętam, jak w Hadze w 1999 roku jako prezydent Konferencji Stron Konwencji Klimatycznej (COP5) zamykał posiedzenie sesji ogólnej i mówił, jakim brutalnym mechanizmem gospodarczym jest Konwencja Klimatyczna i Protokół z Kioto, że wyznacza, które państwa i w jakim tempie będą się rozwijać. Jakich technologii będziemy używać, z jakich źródeł energii korzystać. Wówczas nikt w kraju go nie rozumiał, z lekceważeniem odnoszono się do jego obaw i ostrzeżeń. Choć nierozumiany przez ówczesną klasę polityczną, przygotowywał podwaliny polskiej polityki klimatycznej, zainicjował szereg prac naukowych i debat dotyczących mechanizmu pochłaniania gazów cieplarnianych. Zauważył, że przy naszej strukturze własności lasów możemy sterować procesem pochłaniania gazów cieplarnianych i wypracować model zrównoważonej polityki klimatycznej, która nie odetnie nas od naszych rodzimych, bezpiecznych źródeł energii. Był bardzo aktywny na forum Konferencji Klimatycznej, trzy razy był ministrem środowiska i uważał, że to kluczowy resort dla rozwoju i bezpieczeństwa Polski.

Polityka klimatyczna zawsze była dla niego priorytetem. Chciał, by polski głos na forum Konferencji był słyszalny, aby polska koncepcja była jednym z nurtów debaty. Szukał sojuszników, szkolił fachowców, publikował, organizował posiedzenia Konferencji Stron w Polsce. To dzięki jego staraniom Polska była gospodarzem posiedzenia Konferencji Stron w Poznaniu w 2008 roku i ostatnio w Katowicach w 2018 roku. Jego ostatnim

dziełem są leśne gospodarstwa węglowe. Krytykował koncepcję pakietu klimatyczno-energetycznego Unii Europejskiej blokującego własne zasoby energetyczne. Był przekonany, że pakiet klimatyczno-energetyczny niszczy polskie bezpieczeństwo energetyczne, uzależnia nasz kraj od obcych źródeł energii, zmniejsza konkurencyjność polskiego przemysłu i stymuluje bezrobocie. Żartował, że największym problemem polskiego węgla jest to, że właśnie my go mamy. Często na forum Rady ds. Środowiska Unii Europejskiej wypominał, że polityka zrównoważonego rozwoju UE nie wykorzystuje możliwości racjonalnego gospodarowania dwutlenkiem węgla jako gazu życia do produkcji biomasy i tworzenia miejsc pracy. Wytykał unijnym urzędnikom, że z premedytacją pomijają możliwości zmniejszenia koncentracji dwutlenku węgla w atmosferze przez racjonalne użytkowanie lasów, mimo że związane jest to z kształtowaniem pożądanej bioróżnorodności, poprawą jakości powietrza i wody, jak też bezemisijną produkcją surowca drzewnego i odnawialnych źródeł energii. Posiedzenia Rady ds. Środowiska Unii Europejskiej z udziałem Profesora Szyszko należały do wyjątkowych, ponieważ zapadała zupełna cisza, gdy Profesor przemawiał, a mówił o rzeczach racjonalnych i opartych na naukowych dowodach. Gdy decyzje Rady szły w drugim kierunku, zastanawiał się, czy w obecnych czasach komukolwiek jest potrzebna nauka, która umożliwia nam dojście do prawdy. Czy może współczesnym nie potrzebna jest prawda, aby podejmować decyzje.

Pamiętajmy, że jako twardy, lecz rozsądny negocjator doprowadził do wpisania do Porozumienia Paryskiego neutralności klimatycznej, czyli bilansowania CO₂ przez lasy i gleby, a z zapisów porozumienia usunięto dekarbonizację.

Dziś klimat jest priorytetem wszystkich agend politycznych świata, dziś polityka klimatyczna zaważadnęła masową wyobraźnię społeczeństw. W obronie klimatu mamy wielotysięczne protesty uliczne. Profesor to wszystko przewidział w latach 90. ubiegłego wieku, wiedział, że polityka klimatyczna to kolejne narzędzie podporządkowania sobie słabszych i pouczenia tych, którzy swojej suwerenności jeszcze nie utrwaliłi. Profesor Szyszko chciał Polskę tego oszczędzić, miał koncepcję i konsekwentnie ją wdrażał, nie mając niestety wielu sprzymierzeńców, a spotykając się z ciągłymi intrygami, koteriami, drwiną, oporem i niezrozumieniem. Nawet we własnym obozie politycznym nie był rozumiany, wystarczyła sugestia jednej ze stolic europejskich, aby łamiąc prawo ONZ, dobry obyczaj i zwyczaje międzynarodowe, doko-

nano zmiany na stanowisku prezydenta COP24, gdy był już desygnowany przez grupę państw wschodnioeuropejskich. Czy było warto, czy rzeczywiście coś wygraliśmy na tej uległości?

► Doświadczyl „złych zamysłów serc wielu”

Pan Profesor, leśnik z krwi i kości, który nie jedną gradację szkodników widział i jej przeciwdziałał, był wyśmiewany i odsądzany od czci i wiary, gdy chciał ratować nasze narodowe dziedzictwo, jakim jest Puszcza Białowieska. Chyba za szybko ulegliśmy tzw. ekologom. Profesor wierzył, że to ludzie ogromnego serca i wrażliwości. Chciał z nimi znaleźć wspólny język, zbliżyć stanowiska. Zapraszał do Tucznia, chciał dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem. Wszystko to zostało odrzucone i zagłuszone wrzaskiem i infantylnym rozumieniem ekologii. Mam wrażenie, że dialog z przeciwnikami Profesora nie był możliwy, bo na wszystko miał naukowo udowodnione tezy i opracowane badania statystyczne. Nie wszyscy jednak chcieli zmierzyć się z prawdą. Poza tym ekologia to skomplikowane procesy oraz zależności między nimi. Widział geniusz Stwórcy, który ten świat tak zaplanował, że każdy jego element znakomicie pasuje do kolejnych i w tym Boskim planie człowiek ma swoje miejsce stosownie do swojej godności. Profesor Szyszko dowodził, że użytkowanie zasobów przyrodniczych nie pomniejsza ich, a może być wręcz odwrotnie, może pomnażać i zwiększać bioróżnorodność.

Nie zgadzał się z filozofią humanizacji zwierząt i przyrody, a jednocześnie dehumanizacją czy animalizacją człowieka. A spór o Białowieżę był sporem ideologicznym, nie merytorycznym.

Ponieważ bardzo szybko i trafnie diagnozował sytuację i z dużą łatwością odgadywał „złe zamysły serc wielu”, był w sposób metodyczny niszczone i poniżany. Bezpośrednio doznawał ataków na swój dom, miał kilka włamań do stacji w Tucznie, niszczone mu trofea myśliwskie, wycinano drzewa na posesji, dwa razy otruto psy. Był często obrażany i łżony w sposób nieprawdopodobny. Próbowano odbierać mu godność i przymioty człowieka racjonalnego, atakowano jego najbliższą rodzinę i współpracowników. Znamy metody niszczenia dobrego imienia polityków, którzy stają w obronie żywotnych interesów państwa polskiego. Polityków, których z racji wykształcenia i dorobku naukowego nie da się skompromitować. On przeszedł tę drogę, ale jak powiedział jego przyjaciel poseł Dariusz Bąk, „Jan wierzył, że można dla Ojczyzny

wszystko – nawet stos upokorzeń na swój krzyż nałożyć”.

Pamiętajmy, czego nauczył nas Profesor. Lasy Państwowe to znakomity wzór zrównoważonego rozwoju, a jednocześnie ostatni bastion narodu. Dlatego nie zmieniamy struktury i sposobu gospodarowania Lasami Państwowymi. Powinniśmy zachować własność ziemi rolnej. I uchronić ją przed sprzedażą obcokrajowcom. Powinniśmy być bardzo aktywni w polityce klimatycznej, nie możemy biernie realizować wytycznych europejskich urzędników – mamy własny plan, własne rozwiązania i własne zasoby energetyczne. Nie pozwólmy na lekkomyślne zarządzanie środowiskiem przyrodniczym. Przyroda nie znosi demokracji.

► Wykształcił nas dla Polski

Muszę powiedzieć jeszcze, że Profesor Jan Szyszko był niezwykłym wychowawcą. Rzeszę młodych ludzi wykształcił i wychował dla Polski i polskich spraw. Poza wiedzą, którą nam przekazywał, zarażał miłością do przyrody i ziemi ojczystej, wpajał szacunek dla wysiłku przodków. Budował nasze poczucie wartości, leczył polskie kompleksy. Dziś grono jego wychowanków piastuje odpowiedzialne stanowiska, w Polsce i za granicą. Każdy, kto go spotkał, był pod wrażeniem jego poczucia wolności. Wskazywał nam perspektywę nieograniczonych możliwości, jakie stoją przed nami i Polską. Bardzo szybko rzucał nas na głęboką wodę i nieustannie wychwalał nasze umiejętności i osiągnięcia, choć rzeczywistość nieco skrzypiała.

Szanowni Państwo, mógłbym jeszcze długo mówić... Muszę to jeszcze raz powtórzyć: Profesor Jan Szyszko był we wszystkich wymiarach człowiekiem wielkim i wybitnym. Był człowiekiem niezwykle prawym, wielkodusznym, dobrym i mimo przeciwności osiągnął wiele, wiele sukcesów. Zaszczepił w nas Profesorem pracować, ogromnym bólem jest go żegnać. Spoczywaj w pokoju, darz bór.

W imieniu wychowanków i studentów – Paweł Sałek. ■

Paweł Sałek – doradca prezydenta RP w sprawach ochrony środowiska, polityki klimatycznej i zrównoważonego rozwoju. Wcześniej pełnił funkcję sekretarza stanu w Ministerstwie Środowiska – pełnomocnika rządu ds. polityki klimatycznej w rządzie Premier Beaty Szydło i Premiera Mateusza Morawieckiego.

Tekst jest zapisem przemówienia autora podczas uroczystości pogrzebowych śp. prof. Jana Szyszko. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.



Jacek Liziniewicz

Przez pierwsze dwa lata Dobrej Zmiany spór o Puszcę Białowieską ogniskował na sobie zainteresowanie polityków, mediów i opinii publicznej zarówno z kraju, jak i z zagranicy. Bez wątpienia głównym bohaterem tej batalii był prof. Jan Szyszko, który do końca życia bronił zdania nauki leśnej. Tę jednak tzw. ekolodzy i sprzyjające im media oraz instytucje nieustannie ośmieszały, próbując narzucić własną ideologię.

SPRAWA HONORU

Puszcza Białowieska po polskiej stronie to około 63 tys. ha. Ten stosunkowo niewielki obszar nie jest jednak pod względem przyrodniczym jednolity. Oprócz Białowieskiego Parku Narodowego, zajmującego dziś około 16 proc. terenu Puszczy, i dodatkowych 12 tys. ha w rezerwatach, 39,5 tys. ha to najzwyklejsze lasy gospodarcze, których historię ostatnich niemal 200 lat możemy prześledzić na podstawie dokumentów. Tych zresztą jest sporo. W czasie inwentaryzacji naukowcy w archiwach kilku krajów odkryli w sumie 22 tys. pozycji dotyczących Puszczy Białowieskiej. Czytając je dotrzemy m.in. do informacji, że w czasach carskich Puszcę intensywnie użytkowano pod względem łowiectwa (do tego stopnia, że robiono wycinki, by łatwiej się strzelało, a w efekcie polowań wybito jelenie). Doświadczamy także, że podczas I wojny światowej w ciągu zaledwie dwóch lat okupujący ten teren Niemcy wycięli 4,5 mln metrów sześciennych drewna i że w dwudziestoleciu międzywojennym Puszcza Białowieska była eksploatowana rabunkowo przez angielską firmę The Century ETC, tzw. Centurę. Ta ostatnia spółka według danych wycięła i wywoziła ponad 2,5 mln metrów sześciennych drewna, a w dalszych planach miała wycięcie 20 tys. ha Puszczy. Mimo tych (archiwalnych) danych w Polsce wybuchła awantura, gdy w 2016 roku w Nadleśnictwie Białowieża, jednym z trzech działających w PB, podniesiono limit wycinek z 63 tys. metrów sześciennych do 188 tys. metrów sześciennych w ciągu 10 lat (2012–2021). Dlaczego?

► Droga głupca

Dziś każdy, z kim rozmawiam o Puszczy Białowieskiej, podkreśla, że nie był to spór merytoryczny, lecz ideologiczno-polityczny. Aby poznać jego istotę, musimy cofnąć się do roku 2012. Wtedy to poprzedni rząd PO-PSL pod naciskiem organizacji pozarządowych, ignorując stanowisko nauki leśnej i ekspertów, postanowił znacznie zmniejszyć 10-letnie limity pozyskania drewna w trzech puszczańskich nadleśnictwach. W trakcie konstruowania prawa pominięto głos lokalnych mieszkańców, którym nie zapewniono nawet wystarczającej ilości drewna opałowego. Władza jednak zaspokoila aktywistów i zaskarbiła sobie dobre słowo „Gazety Wyborczej”. Dość powiedzieć, że gdy ówczesny minister środowiska Marcin Korolec pojawił się w Białowieży, to aktywiści zorganizowali mu ciepłe powitanie, a na zdjęciach widać, że najserdeczniej z politykiem rządu PO-PSL wita się Adam Bohdan z Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot. Jak

mawia łacińska sentencja – o ile rzeczą ludzką jest błądzić, o tyle rzeczą głupców jest trwać w błędzie. Niestety, w wypadku Puszczy Białowieskiej postanowiono wybrać drogę głupca. Tak się bowiem złożyło, że w czasie, gdy podjęto decyzję o zmniejszeniu limitów, niemal jednocześnie przyroda powiedziała: „sprawdzam”. Na horyzoncie pojawiła się plaga niewielkiego, ale śmiertelnie groźnego dla puszczańskich świerków owada – kornika drukarza. Jedyną metodą na tego szkodnika jest natychmiastowe jego namierzenie, ścięcie zaatakowanego drzewa i wywiezienie go z lasu, zanim owad zainfekuje kolejne drzewa. Gradacja rozwinęła się szybko i mimo, że wielokrotnie w przeszłości zapowiadano jej koniec, trwa ona do dzisiaj. W sumie na terenie Puszczy Białowieskiej leży więc około 5 mln m sześciennych suchego drewna świerkowego, które stanowi dzisiaj niebezpieczeństwo pożarowe, ale jest też wymierną stratą gospodarczą w wysokości 1 mld zł. Mimo to strona ekologiczna w żadnym wypadku nie chciała przyznać, że cięcia mogłyby ograniczyć występowanie kornika. Dodajmy, że nigdzie na świecie taka metoda nie budzi kontrowersji, a niemiecki WWF nawet sugeruje ją w swojej ekologicznej strategii. Tak chronione są m.in. prywatne lasy w Bawarii, które od Parku Narodowego, gdzie nie wycina się drzew kornikowych, są oddzielone 500-metrowej szerokości pasem wyciętych drzew.

► Zmiana w 2015 roku

Przez lata w opozycji temat ginącej Puszczy Białowieskiej nie wychodził poza niszę. Protestowali mieszkańcy Puszczy Białowieskiej (już w 2013 roku), ale nie przebijało się to do głównych mediów. Praktycznie jedynymi dziennikarzami obecnymi na miejscu byli przedstawiciele Radia Maryja i „Gazety Polskiej Codziennie”. Oczywiście temat podejmował również prof. Jan Szyszko, wskazując na konieczność wycinki. To właśnie wtedy zaprzyjaźnił się z mieszkańcami Puszczy, których zapraszał do Sejmu i był ich głosem. Wytykał niegospodarność rządowi PO-PSL. Brał udział w blokadach. Nic dziwnego, że gdy w 2015 roku Dobra Zmiana przejęła rząd w Polsce, przyszedł czas na zmiany. Gdy ekipa prof. Szyszko przejęła Ministerstwo Środowiska, było wiadomo, że koncepcja pomocy Puszczy się zmieni. Polityk PiS-u, z wykształcenia leśnik, postanowił wprowadzić właśnie naukę leśną. Zasadę minimalizowania strat w lasach gospodarczych. Na początek wydano decyzję o zwiększeniu cięć w Nadleśnictwie Białowieża – z 38 tys. metrów sześciennych do 188 me-

trów sześciennych. To doprowadziło do furii organizacji pozarządowe, które zaczęły krzyczeć, że Szyszko chce „wyciąć ostatnią puszcę Europy”. Podbijano to propagandą o ostatniej puszczy pierwotnej (takiej, w której człowiek nie postawił nawet nogi), która ma iść pod piłę z powodu „chciwości leśników chcących przerobić ją na deski”. Żaden argument do nich nie przemawiał. Ani ten o stratach materialnych, ani o bezpieczeństwie ludzi (ponad pół miliona suchych świerków przewracających się na drogi, tory itd.), ani o bezpieczeństwie pożarowym, ani o charakterze estetycznym. W myśl tej ideologii mieliśmy się przyglądać 4,7 tys. ha suchych drzew świerkowych. Oczywiście dla zwykłego człowieka taki widok nie jest niczym ciekawym, ale dla naukowców to przecież

udział m.in. prof. Rafał Kowalczyk z PAN w Białowieży, przyjaciel Adama Wajraka z „Gazety Wyborczej”. Przywieziony w konkretne miejsce w Puszczy Białowieskiej, w konkretny fragment lasu, nie miał nic do powiedzenia. Trudno mu było bowiem bronić tezy, że mamy do czynienia z pierwotnym lasem, stojąc tuż obok kilkunastoletniego drzewostanu, ewidentnie zasadzonego ręką ludzką. Nie przeszkadzało mu to jednak się propagandą o lasach pierwotnych, która szczególnie była kierowana na rynek zagraniczny. To właśnie dziennikarzom z zachodnich agencji mówiono, że celem wycinki są pieniądze, a my pozbawamy się ostatniej pierwotnej puszczy. Profesor Szyszko, licząc jednak na to, że argumenty zdołają kogokolwiek przekonać, zlecił chyba największe badania

MINISTER JAN SZYSZKO – EKOLOG I LEŚNIK Z WYKSZTAŁCENIA – ZNAŁ SIĘ NA BIOLOGII LASU I NA KSZTAŁTOWANIU EKOSYSTEMÓW. PRZEKONYWAŁ, ŻE USUNIĘCIE CZŁOWIEKA Z EKOSYSTEMU DOPROWADZI DO ZABURZENIA I W EFEKCIE DO ZANIKANIA GATUNKÓW.

idealne poletko do badań. Można powiedzieć dziś, że Instytut Biologii Ssaków PAN w Białowieży to najlepiej dofinansowana jednostka kraju, której podarowano drewno o wartości 1 mld zł, żeby zaobserwowała, jak drewno zgnije. Instytut chce jednak więcej. Prywatnego folwarku na całym terenie Puszczy Białowieskiej zamkniętym w zdaniu „Cała Puszcza parkiem narodowym”. Ale nie uprzedzajmy faktów.

► Propagandą w ministra

Minister Jan Szyszko był pewny swojej racji. Ekolog i leśnik z wykształcenia wiedział, jak przebiega gradacja owadów. Znał się na biologii lasu i na kształtowaniu ekosystemów. Jego zdaniem człowiek mógł odpowiednimi działaniami doprowadzać do tego, by każdy gatunek miał swoje miejsce w Puszczy Białowieskiej. Przekonywał, że usunięcie człowieka z ekosystemu doprowadzi do zaburzenia i w efekcie do zanikania gatunków. Tak się dzieje w wielu miejscach w kraju, gdzie na przykład zarzucenie rolnictwa doprowadza m.in. do zarastania tych terenów łąkami i wypierania niektórych gatunków ptaków.

Niestety, nikt nie chciał tego słuchać. Pamiętam jedną wizytę studyjną w Białowieży, w której brał

terenowe w historii polskiej nauki. W Puszczy Białowieskiej wyznaczono 1400 powierzchni badawczych i zinwentaryzowano fragmenty po 400 metrów kwadratowych. Wyniki zaprezentowano w grudniu 2017 roku. Według prof. dr. hab. Jacka Hilszczańskiego, entomologa z Instytutu Badawczego Leśnictwa, bierna ochrona nie spełniała swojej roli. „Przekonanie, że aby chronić gatunki żyjące w martwym drewnie, nie należy nic robić, jest błędne. To wyraźnie widać w wynikach badań” – podkreślił naukowiec. Analiza nie wykazała również negatywnego wpływu gospodarki leśnej na różnicowanie gatunkowe drzewostanów Puszczy. „Uzyskane wyniki potwierdzają potrzebę aktywnych działań mających na celu zachowanie odpowiednio dużego udziału poszczególnych gatunków drzew w różnych typach zbiorowisk leśnych o charakterze puszczańskim. Z punktu widzenia zachowania walorów przyrodniczych Puszczy Białowieskiej działania takie są absolutnie kluczowe” – podkreślał prof. dr. hab. Bogdan Brzeziecki ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Oczywiście wyniki największej w historii inwentaryzacji nie zainteresowały PAN-u w Białowieży. Zresztą wszystkie działania prof. Jana Szyszko wzbudzały jedynie odrazę organizacji pozarządowych i musiały być wypaczone. Tak było,

gdy prof. Jan Szyszko zdecydował, aby w jednej trzeciej gospodarczej części Puszczy odpuścić działania i objąć je ochroną bierną, a podjąć ochronę czynną na pozostałym obszarze. Faktycznie więc zwiększono obszar biernej ochrony Puszczy do ponad 40 proc. całego obszaru Białowieży. Paradoksalnie, gdyby oceniać fakty, to prof. Szyszko przybliżył hasło: „Cała Puszcza parkiem narodowym”.

► Puszcza odpuszczona

W pewnym momencie histeria była tak ogromna, a presja tak silna, że przeciwko ministrowi wykorzystywano każdy argument. Wytykano mu, że strzelał do bażantów i że ma poroża w domu. Wycięto mu drzewa na działce i włamano się do stacji badawczej w Tucznie. Obsypano trocinami i wylewano morze hejtu. W Puszczy aktywiści przykuwali się do suchych świerków i bredzili o dziedzictwie ludzkości. Fakty są też takie, że również inni politycy rządowi wystraszyli się hejtu. Widać to było podczas posiedzenia komitetu UNESCO w Krakowie, gdzie Ministerstwo Kultury tak wszystko zorganizowało, by to aktywiści przejęli inicjatywę. Leśnicy i konserwatyści zostali przed budynkiem. Bezradność widać było również w procesie przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej, gdzie przez osadzonych w strukturach Polaków i organizacje zostaliśmy po prostu ograni. Nie był to jednak żaden spór merytoryczny. TSUE orzekło jedynie, że podejmując działania polski rząd nie upewnił się co do ich skutków. Nie wytłumaczono jednak, jak niby miał się upewnić. Efektem sporu z Komisją Europejską stało się to, że prof. Szyszko został pozbawiony stanowiska ministra. Od tego czasu spór w Puszczy Białowieskiej wydaje się jedynie tlić. Niektóre media wręcz przyznały, że grały na emocjach, a skala wycinki nie była duża. „Porównania do boisk piłkarskich byłyby zawodne, bo nigdzie w Puszczy nie ogołocono takiego obszaru jak boisko piłkarskie. Obrazy satelitarne pokazują raczej coś na kształt sporych osiedlowych placów zabaw. To nie było tak spektakularne, jak można się było spodziewać” – pisała „Gazeta Wyborcza”.

Obecnie w Puszczy Białowieskiej przyjęto aneksy do Planów Urządzania Lasu, które umożliwiają wycinanie suchych świerków na terenie należącym do Wojska Polskiego. W zasadzie naukowcy już przyznają, że Puszcza Białowieska, jaką znaliśmy jeszcze 15 lat temu, odchodzi do lamusa. Stwierdzili tak naukowcy w 2018 roku. „Niech za główną konkluzję spotkania posłuży zatem wypowiedź pierwszego wykładowcy, prof. Pera Angelstama: w trakcie dyskusji panelowej stwierdził on,

że aby skutecznie i spójnie zarządzać Puszcza, należy przede wszystkim zdecydować, do czego to ma prowadzić: czy do utrzymania pewnego z góry określonego składu gatunków i siedlisk, co zakłada ingerencję człowieka i użytkowanie gospodarcze, czy też do zachowania naturalnego (puszczańskiego) krajobrazu leśnego, co wymaga umożliwienia przebiegu naturalnych procesów, w tym także gradacji owadów, kształtujących dynamiczny układ lasu. Innymi słowy: czy chcemy chronić Puszcze dopasowaną do naszych wyobrażeń o tym, jak powinna wyglądać (jak czytamy na stronie Lasów Państwowych: »taką, jaką znamy«) – czy taką, jak kształtuje ją sama przyroda, czyli dziką i zmieniającą się w czasie pod wpływem sił natury, niepoddanych naszym zamysłom i preferencjom?” – napisali w styczniu ubiegłego roku naukowcy. Nie jesteśmy dziś w stanie przewidzieć więc, co dalej z Puszcza Białowieską. Przy założeniu czarnego scenariusza może się zdarzyć, że na zdegradowanych terenach przez kilkadziesiąt lat nie wyrosnie drzewo (przez działania dzikiej zwierzyny i na przykład rozrost traw). Odpuściło również UNESCO. Podczas posiedzenia komitetu w Baku w Azerbejdżanie w dniach 1–10 lipca tego roku zdecydowano, aby nie wpisywać Puszczy na listę zagrożonego dziedzictwa. Oczywiście za tym, by tak zrobić, lobbowali polscy aktywiści, ale tym razem nikt nie chciał ich słuchać.

► Epilog

Na początku września w Puszczy Białowieskiej suchy świerk przewrócił się na druty energetyczne. Z powodu suszy momentalnie wybuchł pożar. Na szczęście udało się go szybko ugasić. Nie przeżył on na wierzchołki drzew, więc strażacy mogli działać szybko. Spłonęło 1,5 ha. Aktywiści, którzy jeszcze w 2017 roku przykuwali się do suchych świerków, nie są jednak skłonni brać odpowiedzialności za takie zdarzenia. „Suchy świerk przewrócił się na linię energetyczną, spięcie doprowadziło do pożaru. Spłonęła ściółka i być może część drzew w lesie o powierzchni porównywalnej z boiskiem piłkarskim. Oczywiście, że zdarzają się wypadki, ale zastanówmy się czy Lasy Państwowe mogą skuteczniej chronić Puszcze Białowieską przed takimi zdarzeniami” – napisali aktywiści. Niby powinniśmy się już wszyscy przyzwyczaić do hipokryzji, ale ciągle się łudzę, że jest jakaś granica. Przykre jest jednak, że kręactwo ciągle wygrywa. Jednak dla wielu ludzi Puszcza Białowieska pozostanie „sprawą honoru”. Tak jak była nią dla prof. Jana Szyszko. ■

Polsko! Twój anioł „Wolność” ma na imię



S.P.

Prof. Jan Szyszko

19.04.1944 - 09.10.2019

Minister Środowiska

Posel na Sejm RP V, VI, VII i VIII Kadencji



Pogrzeb śp. Jana Szyszko odbył się 16 października 2019 roku. Profesor spoczął na cmentarzu w Starej Miłośnie. Poniżej publikujemy pełną treść homilii wygłoszonej przez biskupa Antoniego Dydycza wygłoszoną podczas ceremonii pogrzebowej w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Starej Miłośnie.

Łot. Tomasz Gzell/PAP

Szanowna Pani Krystyno, Małżonko śp. Jana Szyszko,

Droga Patrycyo i Katarzyno, Córki wraz z dwójką wnucząt,

Szanowny Panie Andrzeju, bracie wraz z siostrą śp. Jana,

Eksceleńco Najczcigodniejszy Księżę Biskupie Ordynariuszu Diecezji,

Eksceleńco Najdostojniejszy Księżę Arcybiskupie Metropolito Gdański,

Eksceleńco Księża Biskupi licznie przybyli,

Wasza Eksceleńco, Najczcigodniejszy Panie Prezydencie Polski,

Wielce Czcigodny Panie Premierze,

Wielce Szlachetny Panie Prezesie Macierzystej Partii śp. Jana,

Szanowni Przedstawiciele Sejmu i Senatu oraz Rządu Rzeczypospolitej Polski,

Szanowni Przedstawiciele Władz Samorządowych wszelkich stopni,

Czcigodny Księżę Proboszczu tutejszej parafii wraz ze współpracownikami,

Czcigodny Księżę Tomaszu, bliski współpracownik śp. Jana,

Drodzy Bracia w kapłaństwie i życiu zakonnym,

Czcigodne Siostry Zakonne,

Czcigodny Panie Dyrektorze Generalny Lasów Państwowych ze Służbami Leśnymi,

Szanowni Profesorowie i Uczniowie Uczelni, związanych z życiem P. Jana,

Wszyscy Leśnicy i Pracownicy Leśni,

Dostojne Poczty Sztandarowe,

Szanowni Przedstawiciele Służb Mundurowych,

Szlachetni Przyjaciele i Goście ze wszystkich stron Polski,

Czcigodny Ojciec Dyrektorze Radia Maryja i Telewizji TRWAM,

Liczni przedstawiciele mediów,

Tutejsi Parafianie oraz mieszkańcy Starej Miłośnej,

Życzliwi Panu Profesorowi Mieszkańcy Tuczo!

W imię Boże pozdrawiam!

Przeacny Panie Profesorze, wieloletni Ministrze i Pośle, bardzo Cię przepraszam, ale muszę też z bólem wyznać, że zaskoczyłeś nas bardzo. Tyle razy z ust Twoich słyszeliśmy o licznych planach na przyszłość, o przewidzianych podróżach, o podjęciu posługi poselskiej i jakże bliskim świętowaniu Hubertusa, a przede wszystkim o Twoim serdecznym pragnieniu ciągłej i wytrwałej służbie Polsce.

Zaskoczył nas dziwiąty październik tegoroczny. Wieść o Twoim rozstaniu się z ziemią bardzo szybko dała o sobie znać nie tylko na polskiej ziemi.

I wszędzie pytano z niedowierzaniem, czy to możliwe, żebyś nas pozostawił, będąc w pełni sił, zawsze pełen entuzjazmu i planów na przyszłość? Tak! Pozostawiłeś!

Co więcej, pozostawiłeś jakże Ci bliską, kochaną Małżonkę, dwie Córki, dwoje Wnucząt oraz Zięcia, a także Brata i Siostrę z Rodzinami. Odszedłeś od swoich Przyjaciół, Współpracowników, Uczennic i Uczniów, a nawet od Posłów i Ministrów, od ludzi nauki i pozostawiłeś wielką rzeszę Ludzi Lasu, a także szczerych ekologów, pełnych poświęcenia lekarzy naszej przyrody, z ich szczególnymi mieszkańcami.

Trudno nam się teraz pozbierać. Wszelako odnajdujemy pocieszenie w Księdze Mądrości, która nas odważnie poucza: „Sprawiedliwy, choćby umarł przedwcześnie, znajdzie odpoczynek”. To do Ciebie te słowa skierował Autor Natchniony. Nam wydają się bardzo prawdziwe, chociaż chyba przedwcześnie. Co więcej, z tego samego Źródła dowiadujemy się, że „sędziwością u ludzi jest mądrość”. A z nią myśmy często się spotykali, zawsze wtedy, kiedy byliśmy blisko Ciebie, kiedy zabierałeś głos, także w zwyczajnych rozmowach. Z jaką dumą wspominają Twoje wykłady liczne uczennice i uczniowie. To samo można powiedzieć o wielu współpracownikach na różnych odcinkach pracy, a pracy i zajęć nigdy Ci nie brakowało.

Wypadło Ci żyć w różnych okolicznościach, ponieważ przyszedłeś na świat, gdy trwała jeszcze straszliwa wojna, to był 19 kwietnia roku 1944, czasu wielkanocnego, od wieków niosącego nadzieję i pogodę ducha. Jednego i drugiego nigdy Ci nie zabrakło tutaj, na polskiej ziemi. Co więcej, nie traciłeś spokoju, pamiętając o nauce płynącej ze 116 psalmu, w którym czytamy, że „Ufność miałem wtedy, gdy mówiłem: ... jestem w wielkim ucisku”, wszelako będąc głęboko przekonanym, że „Cenna jest w oczach Pana śmierć Jego wyznawców” (Ps 116B(115),12). Taką jest prawda.

I to głębokie przekonanie, a w istocie Twoja wiara towarzyszyła Ci, jak już teraz możemy zaświadczyć, przez całe Twoje życie. Zawsze przecież byłeś pogodny, niezależnie od różnych sytuacji nie najciekawszych, jakby oczekując na Boże błogosławieństwo we wszystkich okolicznościach kolejnych etapów Twojego życia. Z pewnością często przypominałeś sobie Kazania na Górze głoszone przez Pana Jezusa, odwołujące się do Ośmiu Błogosławieństw. Przenosząc się w czasie do przeszłości, jakbyś spotkał owe rzesze ludzi, którzy towarzyszyli Jezusowi w duchowym zjednoczeniu, z radością przyjmując każde z Ośmiu Błogosławieństw (Mt 5, 1-12). Nigdy też nie traciłeś po-

gody ducha, natomiast wciąż zabiegałeś o to, aby Twoja praca, nauka, poświęcenie – służyły najpierw Rodzinie, a następnie wszystkim, z którymi spotykałeś się w jakże Twoim bogatym życiu, a zwłaszcza Ojczyźnie. A owych spotykanych było wielu. Sądzę, że teraz, gdy jesteś już w niebie, może nawet się dziwisz, „jak ja temu wszystkiemu mogłem poradzić”. I wówczas, ale to szybko uświadamiasz sobie, że wszystko zawdzięczasz Bożej pomocy, opiece Matki Najświętszej.

Za życia najzwyczajniej niczemu się nie dziwiłeś i tak jest z pewnością obecnie. Ale od lat, gdy zaczęła docierać do Ciebie nasza kultura, literatura, wówczas chętnie powtarzałeś za poetą, zdumiony pięknem tych kilku zdań. Oto one:

*Polak chociaż stąd między narodami słynny,
Że bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny.
Gotów zawsze rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.*

I służyłeś, wiernie!

Z pewnością w swoich młodzieńczych latach, a nawet w wieku późniejszym doświadczałeś wielu trudności. Różne przecież okoliczności towarzyszyły nauce szkolnej, nie zawsze bowiem zachowania zarządzających oświatą były nastawione przede wszystkim na wierność solidnym programom. Nie obeszło się również bez kłopotów, tak mniemać można, i na studiach wyższych. Ale to wszystko musiałeś przetrzymać. Potrzeba było wielkiej cierpliwości. I to wszystko przeszedłeś bez strat. W roku Tysiąclecia Chrztu Polski i istnienia naszej państwowości byłeś świadkiem licznych napięć. Wszakże na szczęście, tak mniemam, wydział Leśny Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego nie był zbyt mocno nasiąknięty ideologią wschodnią. Można więc sądzić, że to nie była szkoła bardziej zainteresowana formacją ideologiczną niżli nauczaniem przedmiotów.

Tam uzyskałeś pierwszy stopień, wierzącąc go doktoratem i habilitacją w zakresie nauk leśnych. Natomiast w roku 2001 zostaleś mianowany profesorem. Nieco wcześniej, ale już po pewnych zmianach we władzach Rzeczypospolitej, otrzymałeś stanowisko dyrektora Krajowego Zarządu Parków Narodowych w Ministerstwie Ochrony Środowiska oraz Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. I tak wkrótce nadszedł moment nominacji na pracownika naukowo-dydaktycznego w SGGW, a nieco później powierzono Ci kierowanie Katedrą Architektury Krajobrazu na Wydziale Ogrodnictwa i Architektury

Krajobrazu, a następnie zostałeś współtwórcą i kierownikiem Pracowni Oceny i Wyceny Zasobów Przyrodniczych, zasiadając w Komitecie Ekologii Polskiej Akademii Nauk, wykładając również w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, powołanej do istnienia przez ojca dyrektora Tadeusza Rydzyskiego CSsR.

I tak co jakiś czas pojawiały się nowe urzędy, również o charakterze międzynarodowym, a Pan Profesor siłą rzeczy, przypuszczam, że chętnie, odwiedzał liczne kraje, dzieląc się swoją wyjątkową wiedzą, zwłaszcza w zakresie ochrony środowiska. I ciągle ubogacał swą wiedzę. Książka zaś w jego domu nie była gościem. Miał bardzo wiele, i to różnorodnych pozycji wydawniczych. Na licznych półkach tak przy ul. Grzybowej, jak i w Tucznie można było dostrzec wspaniałe zbiory. Jasna rzecz, że miał wyjątkowo dużo pozycji książkowych dotyczących ochrony środowiska, z myślą o lasach, wodach, glebie i zwierzętach. Pod tymi dziełami uginają się półki. Interesował się również, i to bardzo, wydawnictwami kościelnymi, a wychodząc naprzeciw Ojcu Świętemu Franciszkowi, zorganizował przy wsparciu Księdza Kardynała Gerharda Müllera – Prefekta Kongregacji Nauki Wiary, pod patronatem Pana Andrzeja Dudy – Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – międzynarodową konferencję na temat: „Zrównoważony Rozwój w świetle encykliki Laudato Si”. Konferencja odbyła się 15 października 2016 roku, wywierając duże wrażenie i ukazując Polskę jako wzór do naśladowania w trosce o zdrowie.

Owocem tamtego spotkania była Twoja pielgrzymka do Rzymu, która miała miejsce kilka tygodni przed odejściem z tego świata. Na Watykanie miałeś szczęście spotkać się z Ojcem Świętym i podziękować za encyklikę, która stała się swego rodzaju natchnieniem w dziedzinie troski o zdrowy klimat i czyste powietrze. Wypada też nieco się cofnąć, aby przypomnieć, że to Papieska Akademia Nauk przyznała Panu Profesorowi nagrodę Nauka dla Pokoju, którą otrzymały jedynie 62 osoby, a Polaków dwóch – Jan Paweł II i Pan Jan.

Mam nadzieję, że mi Pan Profesor z nieba wybaczy, iż tak długo przemawiam, ale nie mogę przecież pominąć Jego działalności w życiu politycznym, co tak ściśle się łączy z patriotyzmem i z miłością do Ojczyzny. Od zewnątrz można było zauważyć Jego troskę o rozwój i bezpieczeństwo Polski chociażby w tym, że trzykrotnie pełnił misję ministra środowiska w gabinetach pięciu premierów. Przez pięć kadencji posłował na sejm, a ostatnią swoją kadencję zakończył na cztery dni przed

nowymi wyborami do polskiego parlamentu. Twoja zaś troska o Ojczyznę wyrażała się głównie w propagowaniu takich zachowań i takich porządków, które zabezpieczały ład w przyrodzie i zdrowie w życiu ludzkim. I z tego to względu miałeś częste spotkania ze swoimi Wychowankami, aby ich umacniać w trosce o bezpieczeństwo ludzi i całej natury. Miałem szczęście być obecnym w Twoich spotkaniach ze swoimi studentkami i studentami sprzed lat, tak w Warszawie, jak i w Tucznie. To drugie miało miejsce w maju tego roku. Byłem tam razem z księdzem kanonikiem dyrektorem Caritas Diecezji Drohiczyńskiej, aby wziąć udział w spotkaniu poświęconym ochronie ładu i porządku w przyrodzie oraz w ludzkich działaniach. Tam też poświęciliśmy wiele dębów, które Pan Profesor zasiał dla wypełnienia tej luki, jaka powstała z racji na to, że jacyś jakoby obrońcy przyrody wycięli Panu Pośłowi kilkadziesiąt wspaniałych drzew. Wypada dodać, że jego własnością jest Terenowa Stacja Badawcza właśnie w Tucznie.

W ostatnich latach szczególne miejsce w sercu i działalności Profesora zajęła Puszcza Białowieńska. Z jaką On pasją i poświęceniem ratował ją przed katastrofą. Doskonale wiedział, co trzeba robić. I nie można było porównywać się do czasów dawnych, kiedy puszcze zajmowały ogromne przestrzenie.

Do naszych lat dotrwała jedna, i to podzielona granicą, oczywiście nie licząc większych lasów do puszczy zaliczanych. Może tam coś z nich przetrwało z dawnych lat jakby symbolicznie. Puszcza Białowieńska zachowała wszelkie znamiona przysługujące od dawnych lat. Nie można liczyć, iżby na wypadek jakiegoś nadzwyczajnego zdarzenia, łatwo będzie ją zastąpić inną. Tę jedną trzeba ratować. I tak postępował Profesor, ponieważ doskonale wiedział, co trzeba robić. Bronił jej kompetentnie, odważnie i z poświęceniem. Był człowiekiem Rady Nauki Instytutu Ekologii PAN i urzędował w Radzie Naukowej Instytutu Badawczego Leśnictwa, będąc – co więcej – przewodniczącym Rady Programowej Międzynarodowego Uniwersytetu Środowiska im. Sacharowa w Mińsku na Białorusi.

Miał do owych kresowych stron wiele sentymentu. Kiedy bowiem dowiedział się, że na wschód od Mińska koło miasta Doksyce znaleziono grobowiec rodziny Szyszków, to spokojnie odpowiedział, że takich pamiątek na północno-wschodnich Kresach dawnej Rzeczypospolitej jest wiele. Ale nie omieszczał wspomnień także Mickiewicza i jego ukochanie lasów jako przestrzeni bliskiej człowiekowi. Przecież znał szczerze wyznanie Adama wpisane w poezję, pełną tęsknoty za drzewami:

*Drzewo moje ojczyste! Jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie? ...
Pomniki nasze! Ile co rok was pożera
Kupiecka lub ... moskiewska siekiera.*

Pan Jan pozostawił już puszcę, chociaż 9 października, czyli tego dnia, gdy odszedł do nieba – planował podróż do białowieskiej leśnej twierdzy. Nie doszło do tego. Ale pamięć, szum gałęzi i urok drzew z pewnością towarzyszyły Mu aż do samego Nieba. Z pewnością sądzić można, że nadal tęskni za swoimi pracami, za domem przy ulicy Grzybowej, choć w Warszawie, ale otoczonym drzewami. Tęskni za małżonką Krystyną, Dziećmi i Wnukami, Rodzeństwem, licznymi Współpracownikami i Przyjaciółmi. Za Tobą, Panie Profesorze, tęskni właśnie Twoja Rodzina i Twój Współpracownicy oraz Przyjaciele, i my tu zgromadzeni z władzami Polski na czele. Dlatego wszyscy razem jesteśmy w tej świątyni. Modlimy się, modlimy się z głęboką wiarą, łącząc się z Twoją wiarą, z Twoją pełną prostotą pobożnością.

Serdecznie współczujemy Twoim Bliskim, a więc Rodzinie. Uczestniczymy w bólu, ale nigdy w rozpacz. Ból bowiem jest czymś naturalnym, bo przecież oznacza rozstanie. Na jakiś czas, na krótki czas, jak śpiewamy. I dlatego ten ból pragniemy leczyć naszą modlitwą, naszą wiarą, naszą miłością do Boga. Współczujemy Wam, wspomniała Małżonko wraz z Dziećmi i osobami drogimi, choć nieudolnie – ale naszą bliskością i modlitwą, iżby przynajmniej na jakiś czas zastąpić, choć w pełni to się nie da, ale przynajmniej na tyle, na ile nas stać, aby ulżyć bólowi czasowego rozstania. Czasowego! Pamiętajmy!

I jest jeszcze coś, o czym zapomnieć się nie godzi. To właśnie czterdzieści lat temu abp Karol Wojtyła został wybrany Papieżem, a doszło do tego dzięki modlitwom ludu Bożego i naszym, co ogłosił Kardynał, odwołując się do Ducha Świętego. Dzisiaj ów przedziwny dzień z pewnością jest jakoś zaznaczony w niebie. Panie Janie, proszę nie zapominać, że jesteś naszym przedstawicielem. I racz złożyć życzenia jubileuszowe św. Janowi Pawłowi II. Nie będziesz miał z tym kłopotów. Wierzmy głęboko, że urok i szum lasów towarzyszy wszystkim świętującym kolejny jubileusz Papieża, który kochał ludzi, radował się z widoku gór, z poszumy wód, a zwłaszcza, że za swego życia skierował do żyjących na ziemi, a więc i do nas apel: „Niech wasza praca pomoże uratować piękno polskich lasów dla dobra Ojczyzny i jej

mieszkańców”. Nie mamy wątpliwości, że ten temat jest przedmiotem dzisiejszego spotkania w niebie. Święty przecież Jan Paweł II znał wiersz księdza biskupa Teodora Kubiny, który opuścił ziemię, gdy przyszedł Papież miał lat 31. I oto tekst, jaki nam pozostawił biskup częstochowski do Matki Bożej:

*Kto lasu nie kocha –
Ten Ojczyzny nie kocha,
Ten Boga nie kocha.
A kto Boga i Ojczyznę miłuje,
Ten musi kochać las.*

Panie Janie Feliksie, to Tobie dedykujemy biskupie wyznanie miłości do lasów, gdyż wydaje się, że my tu zgromadzeni czujemy, że właśnie dzisiaj, kiedy ze św. Janem Pawłem II nawiedzacie najpiękniejszą z puszczy, bo białowieską, to w pewnym momencie nasz Święty Rodak nie wytrzyma i wygłosi wobec Ciebie fragment swojego wiersza, właśnie Tobie, Mężu i Ojczu Rodziny, Profesorze, Naukowcu i Pisarzu, Pośle i Ministrze, wspaniałym Wychowawco, Stróżu przyrody i obrońco Życia, kochany Nauczycielu. A tytuł także pochodzi od wyjątkowego Papieża; jest to swoisty ukłon, gdyż Autor w bieli zwraca się do naszego drzewa, jako „Do sosny polskiej” umierającej na Watykanie:

*Jakże tu jesteś miłym gościem memu oku,
Bowiem oboje doświadczamy jednego wyroku.
I mnie także pielgrzymka wyniosła daleką,
I mnie w cudzej ziemi czas życia ucieka.
Czemuś, choć cię starania cudze otoczyły,
Nie rozwinęła wzrostu, utraciła siły?
Masz tu wcześniej i słońce, i rosy wiośniane,
A przecież gałązki twe błędną poschyłane.
Więdziesz.
Usychasz smutna wśród kwietnej płaszczyzny
I nie ma dla ciebie życia, bo nie ma Ojczyzny.
Drzewo wierne!*

Skoro więc nadszedł czas, że możesz radować się obecnością nieba, w pobliżu Jezusa, to możesz być spokojny, Panie Janie, pamiętając o tym, że „Błogosławieni są ci, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyćeni”.

I chociaż z bólem, to jednak ze spokojem, a nawet dumą żegnamy Ciebie dzisiaj, gdy widzimy, jak ku niebu zmierzasz pod białoczerwonym sztandarem, szczęśliwy pełną wolnością. Szczęść, Boże!

Ks. bp Antoni Pacyfik Dydyca OFM Cap., biskup senior diecezji drohiczyńskiej ■



Ryszard Czarnecki

Jan Uparty i jego cztery miłości

Jan Szyszko był człowiekiem ciepłym, serdecznym, mającym własne zdanie, czasem upartym. Służył Polsce. „Przeszedł, czyniąc dobrze”.

„No i co tam słyhać w tej całej Brukseli, Panie Ministrze?” – pytał niemal zawsze przy naszych spotkaniach Jan. Byliśmy po imieniu. Ale tak się właśnie zwracał. Przed Brukselą nie klęczał, nie miał do niej stosunku nabożnego, pełnego czci czy utajonych kompleksów – co było udziałem wielu polityków w Polsce w ostatnich trzech dekadach. A to był okres działalności publicznej Jana Feliksa Szyszko. O tym jego drugim imieniu mało kto wiedział. Ale jego znali chyba niemal wszyscy, którzy interesowali się życiem publicznym. Rzadko kto bowiem jest ministrem w tym samym resorcie, ale u pięciu (sic!) różnych premierów. Jan kierował resortem środowiska w gabinecie Jerzego Buzka (wtedy nazwa resortu była znacznie dłuższa: Ministerstwo Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa!). Potem owe „Leśnictwo” zniknęło, ale akurat Lasy Państwowe – to nasze dobro narodowe – miały w ministrze Janie najlepszego z możliwych ambasadorów. Gdy był w opozycji, walczył, żeby ich nie sprywatyzowano i nie oddano w obce ręce. Walczył – wraz z całym PiS-em – skutecznie. Ale wcześniej robił swoje jako członek Rady Ministrów za czasów AWS. Politycznie lojalny wobec Jarosława Kaczyńskiego i PC, którego w swoim czasie był wiceprezesem – stanowisko stracił, bo kierownictwo Akcji Wyborczej Solidarność – a szczególnie quasi-partii Ruch Społeczny „Solidarność” – chciało minimalizować role tych, którzy nie wpisywali się w polityczne koncepcje Mariana Krzaklewskiego i będącego przez dłuższy czas (choć nie do końca) jego echem Jerzego Buzka. Potem był ministrem w rządach Kazimierza Marcinkiewicza, Jarosława Kaczyńskiego, Beaty Szydło i przez kilka tygodni Mateusza Morawieckiego. Fachowiec, pasjonat przyrody, człowiek olbrzymiej wiedzy, chodził jednak własnymi ścieżkami i nieraz byłem świadkiem, jak załamywano ręce nad tym, że w różnych sprawach sam sobie był „sterem, żeglarzem, okrętem”. Było to szczególnie

widoczne w 2016 roku, kiedy weszliśmy w fazę taktycznego zaprzyjaźniania się z Komisją Europejską i ratowania reform wymiaru sprawiedliwości przed unijnym walcem kosztem położenia na ołtarzu owego ocieplenia sprawy Puszczy Białowiejskiej. Gdy Jan Szyszko jechał tłumaczyć nasze racje do Luksemburga, do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, w rządzie po cichu załamywano ręce: „Co im powie?”, „Jak on im się odwinie?”. PiS chciał skracać fronty i nie walczyć na zbyt wielu polach z Brukselą...

Przy okazji Białowieży stał się obiektem niebywałego hejtu w mediach opozycyjnych i tzw. społeczno-sciowych. Wylewano na niego hektolitry pomyj, robiono z niego – miłośnika przyrody – wroga polskiego środowiska naturalnego. Przy czym fakty się nie liczyły. Ani liczby wyciętych drzew przez samorządy rządzone przez PO (także w Warszawie Hanny Gronkiewicz-Waltz!). Zagłuszano merytoryczne informacje o straszliwych konsekwencjach dla lasów, jakie stwarzał brak reakcji na epidemii słynnego kornika drukarza – na przykład w Niemczech. Gdy potem w Bawarii niemiłosiernie cięto hektary lasów, by uratować pozostały drzewostan, przemilczano to w tych samych mediach, które oplakiwały każde drzewo w Puszczy Białowiejskiej.

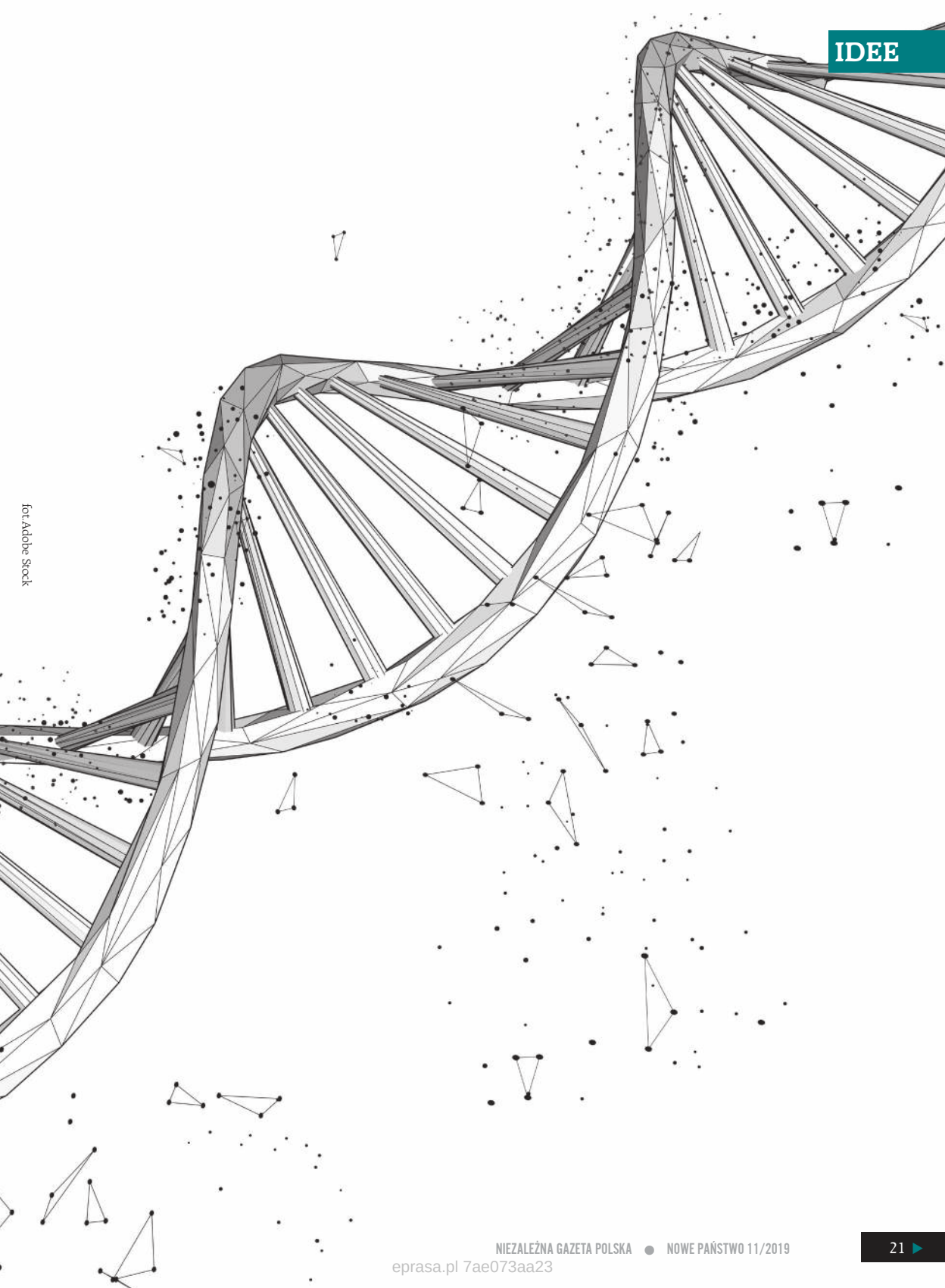
Jan Szyszko miał cztery miłości. Po pierwsze – Polska. Po drugie – Kościół katolicki, którego był wiernym synem. Mocno wspierał środowisko Radia „Maryja” i Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu ojca dyrektora Tadeusza Rydyka. Często gościł w „toruńskich” mediach. Jego trzecia miłość to żona, która towarzyszyła mu zresztą na bardzo wielu uroczystościach. Miał z nią dwie córki. Czwarta miłość to... Stara Miłosna. Tam się urodził przed 75 laty, tam całe życie mieszkał, tam na parafialnym cmentarzu w parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa pochowani są jego rodzice: mama – Eleonora, zmarła przed 29 laty i ojciec – Jan, zmarły w 1987 roku. ■

Jakub Augustyn Maciejewski



SZALEŃCY TRANSHUMANIZMU CHCĄ PANOWAĆ NAD ŚMIERCIA

Skoro pojawiało się to jako marzenie autorów science-fiction, to musiało przyśnić się także naukowcom non-fiction. Superbohaterowie odporni na ból czy ludzie żyjący 300–400 lat – a może nawet nieumierający nigdy? – to przedmiot prac badaczy, którzy otrzymują na swoje badania setki milionów dolarów. Czy człowiek osiągnie nieśmiertelność na Ziemi?



for Adobe Stock

Każda nowa totalitarna ideologia wydaje się humanistyczna, atrakcyjna, inspirująca. Przy okazji przynosi człowiekowi nadzieję i optymizm – obiecuje bowiem lepszy świat, taki, którego wyznawcy mogą doczekać za życia świata bez bólu, cierpienia i trosk. Nazizm obiecywał imperium czyste rasowo, komunizm świat bez biedy i nierówności, a cóż obiecuje transhumanizm? Z początku chodziło o wsparcie organizmu nową technologią, ale radykalny transhumanizm chce zrzucić z człowieka fizyczne ograniczenia, pokonać starość, ból i zmęczenie. To nowa utopia, która zaczyna być czczona w nowoczesnych pałacach najbogatszych ludzi na świecie. Ona przemienie i poniesie klęskę, ale – jak to z totalitaryzmami bywa – przyniesie może krwi i cierpienia.

Tak jak większość destrukcyjnych pomysłów, tak i transhumanizm bierze swoje początki z oświecenia. Bo transhumanizm zakłada, że za pomocą badań naukowych, a konkretnie – technologii – człowieka da się ulepszyć do tego stopnia, że być może znikną wszystkie choroby, a nawet będzie żył wiecznie – skoro da się wymienić serce czy nerkę, to może da się wymienić wszystko co śmiertelne? Może da się zatrzymać proces starzenia się? A jeśli nie – to istnieją już badania możliwości przeniesienia świadomości człowieka do komputera, tak aby on i jego wspomnienia żyły zaklęte w świecie cyfrowym. „Bajki robotów” Stanisława Lema być może przestaną być tylko bajkami.

► W pogoni za nieśmiertelnością

A może to naturalne, że grono miliarderów z jednej strony i naukowców z drugiej prowadzi badania nad starością, aby medycyna mogła wesprzeć starzejących się ludzi? Angielski gerontolog i biomedyk Aubrey de Grey (ur. 1963) twierdzi, że starość jest jak choroba – zbędna, niekonieczna, możliwa do wyeliminowania. Pracując dla instytucji z różnych krajów: Ameryki, Wielkiej Brytanii czy Rosji, Grey wyróżnił siedem powodów zmian w organizmie w wyniku starości. Jego tezy sięgają do poziomu komórek oraz DNA – mówi o odkładaniu się w komórkach zbędnych pozostałości po rozkładzie białek oraz samej konstrukcji DNA, która sprawia, że komórka nie może dzielić się (a więc replikować, przedłużać swojego życia) w nieskończoność. Opisując prawdopodobne przyczyny starzenia się, czyli „kończenia się” organizmu, naukowiec mówi tym samym: jeśli wyeliminujemy te czynniki, to ciało przestanie się starzeć – i umierać.

Największą popularnością wśród hipotez o powodach starzenia się są mechanizmy zachodzące w chromosomach. Są to – obecne we wszystkich komórkach – skomplikowane nitki zawierające wszystkie kody i dane naszego organizmu. Chromosomy się replikują, przedłużając nasze życie, ale z każdym podziałem są coraz krótsze, co osłabia nasz organizm. Kluczem do zrozumienia tego procesu są telomery, będące niejako końcówkami tych nici. Jeśliby zmodyfikować telomery, chromosom mógłby się „klonować” w tej samej długości i komórki nie traciłyby swojego kodu, vitalności. Wielkie osiągnięcia w tej dziedzinie uzyskał sowiecki uczony Aleksiej Ołownikow (ur. 1936), który badał telomery i ich wpływ na skracanie się chromosomów, problem jednak w tym, że wiele swoich tez Rosjanin... odwołał po upadku ZSRS. W latach 90. naukowiec zweryfikował swoje badania i choć wiele z jego odkryć nadal służy nauce, to pojawia się pytanie, na jakie postulaty polityczne lub ideologiczne liczył Ołownikow w kraju, w którym nawet medycyna miała być podporządkowana wielkim zamysłom komunistów.

► Transhumanizm w służbie wojny

Choć dalecy jesteśmy od demonizowania Amerykanów, którzy mieliby zarządzać światem poprzez najmroczniejsze eksperymenty rodem ze słynnego serialu „Z Archiwum X”, to jednak najbardziej zaawansowany technologicznie kraj świata prowadzi w wyścigu nad badaniami możliwości ludzkiego organizmu. Transhumanizm wiele zawdzięcza tajemniczemu Instytutowi DARPA, założonemu w 1958 roku w obawie przed klęską w kosmicznym i militarnym wyścigu ze Związkiem Sowieckim. To właśnie w tym urzędzie sfinansowano badania nad internetem, tam też powstały pierwsze roboty, które nie potrzebowały instrukcji człowieka, by samodzielnie realizować – z początku bardzo proste – zadania. DARPA jako potężny filar amerykańskich przewag technologicznych prowadzi wiele badań w tajemnicy, niemniej ogólne kierunki i niektóre jego dzieła są znane i dziś powszechnie używane.

Jednym z nielicznych polskich autorów, którzy przyjrzeni się zagadnieniom transhumanizmu, był profesor Andrzej Zybertowicz i jego zespół socjologów, którzy w książce „Samobójstwo Oświecenia” scharakteryzowali wkład DARPA w te badania. Naukowcy podkreślili, że jedną z gałęzi transhumanizmu jest rozwój interfejsu „mózg komputer”. Celem tych prac „jest zbudowanie kanału komunikacyjnego pomiędzy czło-

wiekem a urządzeniem – kanału, który nie będzie uwarunkowany aktywnością mięśni. To nie struny głosowe, mimika i inne narzędzia komunikacji niewerbalnej odpowiadają [...] za komunikację. Rolę tę pełnią pomiary aktywności wybranych obszarów mózgu”. Słowem – maszyna ma czytać myśli człowieka, bo jeśli inna część mózgu odpowiada za ruch ręką, a inna za ruch nogą, to rozwinięta technologia będzie w stanie czytać te sygnały i przerabiać na konkretne czynności superrobotów czy protez.

Standardowym pytaniem jest tutaj przeznaczenie tego typu wynalazków. Przecież umożliwienie sprawnego poruszania się osobom niepełnosprawnym czy okaleczonym to cel i marzenie medycyny wszystkich wieków, jednak świeccy bogowie tego

netowego umożliwiającego bezpieczne płatności, czy Larry Ellison, twórca jednej z największych na świecie firm tworzących oprogramowania komputerowe, są zafascynowani długowiecznością. Nie będzie wielkim psychologizowaniem stwierdzenie, że ludzie mający miliardy dolarów i wgląd do niemal wszystkich technologii na Ziemi czują się ograniczeni jedynie śmiertelnością.

Peter Thiel finansuje więc rozmaite badania nad długowiecznością, a Larry Ellison wydaje 40 mln dolarów rocznie na badania dotyczące „ułomności związanych z wiekiem”. Ellison nazwał swoją korporację Oracle (z ang. wyrocznia), jakby znowu przywracając nam antyczny sens ich przekonań – wszak starożytne wyrocznie dawały odpowiedzi na najtrudniejsze pytania i zaglądały w przyszłość.

TRANSHUMANIZM ZAKŁADA, ŻE ZA POMOCĄ BADAŃ NAUKOWYCH, A KONKRETNIE – TECHNOLOGII – CZŁOWIEKA DA SIĘ ULEPSZYĆ DO TEGO STOPNIA, ŻE BYĆ MOŻE ZNIKNAĆ WSZYSTKIE CHOROBY, A NAWET BĘDZIE ŻYŁ WIECZNIE – SKORO DA SIĘ WYMIENIĆ SERCE CZY NERKĘ, TO MOŻE DA SIĘ WYMIENIĆ WSZYSTKO CO ŚMIERTELNE?

świata chcą sięgnąć po więcej. Znany na całym świecie twórca Facebooka Mark Zuckerberg wraz ze swoją żoną Priscillą Chan oraz innymi naukowcami i filantropami ufundowali cykliczną nagrodę „Breakthrough Prize”. Laureaci, którzy otrzymują 3 mln dolarów, muszą mieć osiągnięcia przynoszące udogodnienia przyszłym pokoleniom naukowców, m.in. w zakresie „life science”, czyli właściwie badań nad wydłużeniem życia. Nagrodzeni „Breakthrough Prize” to głównie genetycy pracujący nad likwidacją ułomności organizmu już na poziomie chromosomów.

► Krzemowa dolina jak grecki Olimp

To legendarne miejsce – rodem z greckiej mitologii, gdzie na Olimpie odbywały się najważniejsze narady dotyczące dziejów ludzi – czyli amerykańska Dolina Krzemowa, zdaje się dyktować światu swoje marzenia. Ta część Kalifornii od 60 lat jest siedzibą firm pracujących przy najbardziej rozwiniętych technologiach świata i stała się też siecią powiązań najbardziej kreatywnych osób współczesnych czasów. Peter Thiel, założyciel serwisu inter-

► Ostrzeżenia od filozofów, artystów, naukowców i... Kościoła

Nie da się opowiadać o zagrożeniach nowych technologii bez uwzględnienia przewidywań Stanisława Lema, nie tylko pisarza science-fiction, lecz także teoretyka futurystycznego. Lem zauważył, że mylił się w kilku rzeczach, na przykład przecenił rolę cybernetyki w rozwoju ludzkości. Ale przyjrzyjmy się innym tezom wybitnego polskiego myśliciela. W „Solaris” zauważył, że znalezienie lekarstwa na ludzkie problemy wywołuje efekty uboczne, na które trzeba szukać nowego lekarstwa, a po jego odkryciu znów pojawiają nowe problemy, na które... i tak dalej. W „Powrocie z gwiazd” pisarz przewidział, że społeczeństwa będą eliminowały strach, stres i ból ze swojego życia, a w jednym z opowiadań „Dzienników gwiazdowych” fantazjował o ludzkich marzeniach zmieniania ciała człowieka w dowolny sposób. W „Pokoju na Ziemi” Lem zarysował niesamowitą wizję – rozwój technologii na tyle się rozpędzi, że ludzie tracą nad nią kontrolę i nie będą mogli powstrzymać pojawiania się nowych wynalazków, zwłaszcza tych,

które przejmą kontrolę nad naszym życiem. Literacki bohater Stanisława Lema, Ijon Tichy, spotkał też w swoich podróżach kłona jednego profesora, który zabił swój pierwowzór – żeby ocalić samego siebie. Wszystkie te wątki właśnie się spełniają – i właśnie międzynarodowi miliarderzy najbardziej przypominają nieświadomych skutków swoich eksperymentów bohaterów polskiego pisarza.

Również teologia katolicka przewiduje skutki hurraoptymizmu wobec technologicznych osiągnięć – wyraźnie rozróżnia rzeczy przynależne Bogu (nieśmiertelność, wszechwiedza, panowanie nad życiem i śmiercią) i człowiekowi (strach, wstyd, śmiertelność, ułomna, pożądliva natura). Przekroczenie tych granic zawsze musi skończyć się źle – i z tym ostrzeżeniem paradoksalnie zgadzał się także sam Stanisław Lem.

I nie tylko on – szalenie popularny serial science-fiction emitowany na platformie internetowej

czego, opinia publiczna przestraszyła się nowych pojazdów. Aby uniknąć wypadków, przed samochodami miał biec człowiek z czerwoną flagą i ostrzegać przed najeżdżającym pojazdem”. Wniosek miał być taki, że rozwojowi technologii powstrzymać się nie da. A jednak ta historyjka mogłaby nieść inne wnioski – choć samochody istnieją, to ruch maszyn obrósł w cały system mechanizmów kontrolnych i prewencyjnych: dla pieszych sygnalizacja świetlna i pasy oraz przejścia podziemne, a dla kierowców od pasów bezpieczeństwa po dzisiejsze komputery pokładowe – a więc można rozwojowi nadać bardziej bezpieczny kierunek. Trudno jednak, by wszechbogaci wizjonerzy, których platformy internetowe typu Facebook czy PayPal wpływają na życie miliardów ludzi, chcieli się poddawać kontroli.

Poza tym w grę wchodzi nowe, olbrzymie pieniądze. Przykładowo wymarzony „eliksir na nie-

TEOLOGIA KATOLICKA WYRAŹNIE ROZRÓŻNIA RZECZY PRZYNALEŻNE BOGU (NIEŚMIERTELNOŚĆ, WSZECHWIEDZA, PANOWANIE NAD ŻYCIEM I ŚMIERCIĄ) I CZŁOWIEKOWI (STRACH, WSTYD, ŚMIERTELNOŚĆ, UŁOMNA, POŻĄDLIWA NATURA). PRZEKROCZENIE TYCH GRANIC ZAWSZE MUSI SKOŃCZYĆ SIĘ ŹLE.

Netflix pt. „Black Mirror” (Czarne lustro) alarmuje dokładnie w tych samych kwestiach, np. przeniesienie naszej tożsamości do komputera, zmiana naszej percepcji (w jednym z odcinków żołnierzami manipulowało się tak, by w przeciwnikach widzieli nie ludzi, lecz potwory – dzięki temu łatwiej było zabijać wroga). Skoro więc wszyscy widzą zagrożenia, to dlaczego tak trudno je powstrzymać?

► Powstrzymać bunt robotów

Profesor Andrzej Zybertowicz wielokrotnie występował na konferencjach naukowych czy w mediach i opowiadał o tym zagrożeniu. Na konferencji „Cybersec” w Krakowie w 2015 roku brał udział w panelu dyskusyjnym na temat niekontrolowanego rozwoju technologii, zwłaszcza cyfrowych. Jeden z jego rozmówców strywalizował problem, przytaczając apokryficzną anegdotę pochodzącą rzekomo z XX wieku. Jako słuchacz tamtejszej debaty przytaczam z pamięci: „Gdy w Anglii pojawiły się pierwsze samochody i jeden z nich potrafił pie-

śmiertelność” stałby się produktem o niewyobrażalnej cenie. Najwybitniejsza myśl ludzka od Arystotelesa i Platona przez św. Tomasza z Akwinu każe nam jednak przypuszczać, że z lekiem na długowieczność i tak byłoby coś nie tak, a efekty uboczne mogłyby się okazać straszliwe.

Ale powyższe rozważania oraz wizje teologów, naukowców czy literatów zakładają, że technologia poddała założeniom swoich sponsorów – że oto uda się tworzyć cyfrowe sobowtóry człowieka, że da się powstrzymać jego starzenie się, uczynić go silnym jak superbohaterowie z młodzieżowych komiksów. Tymczasem nasze wyobrażenia są nadzwyczaj optymistyczne. A co się stanie, gdy pierwszy ludzie, poddawani eksperymentom, by spróbować nieśmiertelności, przerodzą się w cierpiące, zmutowane istoty, których los będzie niezrównanie gorszy niż śmierć z powodu choroby? Co jeśli nie powstrzyma to naukowców i ich filantropów przed dalszym uporczywym szukaniem niemożliwego?

Kryzys ludzkości może wtedy przekroczyć najbardziej szalone przewidywania. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... cmentarz

Etymologia wyrazu „cmentarz” sięga greki, w której „koimeterion” oznaczało „miejsce pochówku zmarłych”, a dosłownie „miejsce snu”, od połączenia słów „koimeo”, czyli „układam do snu”, i „tereo”, czyli „ochraniam, czuwam, zachowuję”. Określenie to przejęli Rzymianie, tworząc słowo „cemeteryum (coemeteryum, cimetryum)”, które wprowadziliśmy do polszczyzny w postaci „cmyntarz” albo „cmyntorz” lub „cmynterz”, aż w końcu „cmentarz”. Spora część naszych przodków była jednak przekonana o tym, iż wyraz „cmentarz” wywodzi się od słów „smutek, smęcić, smędzić”, czyli „smutek, smuć się”, i mówili „smyntarz, smyntorz, smętarz, smętorz”, określając w ten sposób cmentarz jako „miejsce, gdzie ludzie się smęcą, tzn. smucą”. Ta ludowa forma, choć etymologicznie i ortograficznie nieuzasadniona, trafiła nawet do słowników jako forma oboczna.

Cmentarz nazywany jest też czasami „nekropolią”, słowem oznaczającym dosłownie „miasto umarłych”, od połączenia greckich słów „nekros”, czyli trup”, i „polis”, czyli „miasto”.

Kiedy stajemy nad grobami naszych bliskich, wypowiadamy słowa: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci”. Cmentarz to miejsce, w którym modlitwa ta nabiera wyjątkowego znaczenia. To tu bowiem przywołujemy pamięć o tych, którzy odeszli i potrzebują naszej modlitwy. Na znak „światłości wiekuistej” zapalamy znicze.

Tradycja palenia ognia na miejscu pochówku sięga czasów przedchrześcijańskich, w których odprawiano obrzęd dziadów, mający na celu przywołanie duchów zmarłych. Światło miało im wskazywać drogę do domu i je ogrzać. Chrześcijaństwo radykalnie zmieniło symbolikę światła zapalanego na grobach – stało się ono znakiem Boga, symbolem wiary w życie wieczne, radości i prawdy. Światło rozjaśnia niewiedzę, niszczy kłamstwo i grzech. Sprawia, że drogi zmarłych w ciemnościach zaświatów zostają „oświecone”.

Cmentarz to wspólnota żywych i zmarłych, związana różnymi więzami – rodzinnymi, narodowymi, kulturowymi i wyznaniowymi – i wyrażająca się na wiele sposobów. Cmentarze poszczególnych wyznań różnią się między sobą, co wynika z innych koncepcji eschatologicznych, cmentarz oraz sposób grzebania zmarłych odzwierciedla bowiem zawsze

stosunek poszczególnych społeczeństw czy grup wyznaniowych do śmierci, a zatem również – do życia. Cmentarz to też zapis obyczajowości ludzi i ich materialnej kondycji.

Cmentarz jest przede wszystkim przestrzenią sakralną, jego semantyka jest zaś niezwykle bogata. Widać ją przede wszystkim na nekropoliach starych. Od czasów rzymskich to przestrzeń nienaruszalna, ziemia poświęcona, ochraniana ogrodzeniem, wszystko bowiem, co znajduje się na niej, należy do zmarłych. Mury stano-

„OJCZYŻNA TO ZIEMIA I GROBY. NARODY
TRACĄ PAMIĘĆ, TRACĄ ŻYCIE”. CZŁOWIEK
POTRZEBUJE BOWIEM KORZENI, A CMEN-
TARZ BUDUJE I UTRWAŁA NARODOWĄ TOŻSAMOŚĆ.

wią granicę między sacrum a profanum, a brama symbolizuje przejście, zbawienie, przebaczenie i odpuszczenie wszelkich win. Środek, centralne miejsce cmentarza, wyznacza krzyż lub kaplica, wcześniej kościół, od niego odchodzą zaś drożki jak ramiona krzyża. Każdy punkt w przestrzeni cmentarza ma swoje znaczenie i napięcie. Miejsce pochówku od zawsze odgrywało wielką rolę, oznaczało bowiem pozycję zmarłego w hierarchii społecznej. Im bliżej środka, tym wyższa była ranga i społeczny prestiż danego człowieka za jego życia. Pod ogrodzeniem cmentarza i w jego kątach chowani zaś byli ci, którzy zasłużyli na potępienie.

Cmentarz to przestrzeń pamięci. Nie tylko w odniesieniu do naszych najbliższych. Na drewnianej tablicy przy bramie wejściowej na Stary Cmentarz w Zakopanem na Pękowym Brzysku widnieje napis: „Ojczyzna to ziemia i groby. Narody tracą pamięć, tracą życie”. Człowiek potrzebuje bowiem korzeni, a cmentarz buduje i utrwała narodową tożsamość.

Kiedy pochylamy się nad mogiłami tych, którzy znaleźli się „po drugiej stronie życia”, rozmyślamy o kruchości ziemskiej egzystencji i o śmierci, o przemijaniu. Współcześnie obserwujemy zjawisko uśmiercania śmierci, jeśli jednak nie rozumiemy, czym ona jest, nie będziemy potrafili w pełni żyć. ■

**SZUKAJĄC
ŹRÓDEŁ
LEKARSKIEJ
MORALNOŚCI**

Różnice między bioetykami nie dotyczą tylko kwestii praktycznych: aborcji, eutanazji czy samobójstwa, lecz także głębszych sfer: rozumienia fundamentów moralności, człowieka i człowieczeństwa, relacji człowieka do świata, natury i jej poznawalności czy wreszcie podejścia do rozmaitych systemów religijnych. Wszystko to razem prowadzi do całkowitego – o czym pisze H. Tristram Engelhardt Jr. – „upadku konsensusu” w dziedzinie bioetyki. Nie istnieją ani wspólny język, ani wspólne założenia tej dziedziny wiedzy, a filozofowie, a niekiedy filozofujący lekarze, różnią się w każdej niemal kwestii. Co zrobić w takiej sytuacji? Jak spróbować odbudować choćby lokalną wspólnotę przekonani? Co zrobić, by szukać wspólnych nam wszystkich elementów etyki zawodu lekarskiego czy bioetyki? Wydaje się, że optymalnym rozwiązaniem pozostaje powrót do korzeni, do pierwszych wieków rozwoju nie tylko medycyny, lecz także ściśle z nią powiązanej moralności, czyli do Grecji. Jest to tym bardziej oczywiste, że grecka medycyna – na co zwraca uwagę Werner Jaeger [niemiecki filolog klasyczny, autor słynnego dzieła „Paideia” – przyp. red.] – była nie tylko wiedzą, nie tylko sztuką, lecz także paideią, metodą wychowania cnotliwego człowieka i w ówczesnej swojej postaci „wzniosła się ona po raz pierwszy ponad poziom zwykłego rzemiosła i stała się jedną z naczynnych sił kształtujących życie kulturalne narodu greckiego”. Nigdy później medycyna jako gałąź wiedzy nie uzyskała już takiego statusu i nigdy nie traktowano medycyny jako modelu dla myślenia etycznego. I już choćby dlatego warto wracać do jej tekstów źródłowych, do fundamentów, na których zbudowana jest nasza cywilizacja i jej myślenie, i to – co ciekawe – niezależnie od jej religijnego zakorzenienia. Takim tekstem źródłowym, choć jestem świadomy, że medycyna, a nawet medytacja nad jej moralnym wymiarem, zaczęła kształtować się wcześniej, choćby w starożytnym Egipcie, pozostaje dla cywilizacji zachodniej tekst przysięgi Hipokratesa, która nawet jeśli nikt jej już niemal nie składa, pozostaje określeniem symbolicznym przywołującym rozmaite formuły, jakie przybiera przysięga lekarska, wciąż składana przez adeptów zawodu lekarskiego.

Tomasz P. Terlikowski



Nie ma, i to od dawna,
jednej bioetyki czy
etyki medycyny.
I właśnie dlatego
warto wracać do
tekstów źródłowych,
choćby do przysięgi
Hipokratesa,
ale nie tylko.

► Przysięga Hipokratesa jako rękojmia uczciwości sztuki medycznej

Aby dobrze zrozumieć kontekst powstania przysięgi Hipokratesa, trzeba powrócić do sytuacji historycznej medycyny w tym czasie. Nie istniało wówczas prawo medyczne, zawód lekarza nie był ograniczony regułami prawnymi, a po Grecji wędrowały setki szarlatanów, którzy za nic mieli nie tylko reguły moralne, lecz także ówczesną wiedzę, a liczyły się dla nich wyłącznie środki

finansowe. W takim świecie uroczyscie składana przysięga, wraz z odwołaniem się do bogów, była jedynym wyrazem wiarygodności lekarza, a także zawierała najbardziej fundamentalne zasady moralne, których składający przysięgę miał się trzymać. Jej treść, choć pozostaje zakorzeniona w tamtym myśleniu medycznym, filozoficznym i kulturowym, wydaje się godna przypomnienia.

Nie będę tu przypominał wszystkich elementów przysięgi, bo nie ma na to miejsca, ale warto przywołać ten najważniejszy fragment, który stał się źródłem obrazy dla wielu współczesnych lekarzy i etyków. „Nie podam nikomu śmiertelnego leku, nawet jeśli będzie mnie prosił, ani nie udzieli nikomu takiej porady, jako też nie podam kobiecie środka poronnego” – głosi Hipokrates. To właśnie ten fragment lekaarskiej przysięgi sprawił, że jest już ona niemal nieobecna na uczelniach medycznych. Dla pewnej części bioetyków to właśnie ten fragment pozostaje głównym powodem nieaktualności przysięgi. Zbigniew Szawarski przekonuje nawet, że nigdy nie można jej było tak traktować, bowiem już w czasach starożytnych aborcja była czymś absolutnie powszechnym i tylko jedna ze szkół, do której należał sam Hipokrates, była zdania, że aborcja (i eutanazja) powinna być zakazana. „Gdybyśmy mieli ów starożytny spór wyrazić w języku współczesnej filozofii, powiedzielibyśmy, że lekarze należący do pierwszej grupy, wywodzący się przede wszystkim z kręgów kultów religijnych i filozofii Pitagorasa, sądzili, że istnieje tylko jedna wartość fundamentalna, a jest nią życie. Życie jest święte i wobec tego nie należy nigdy zabijać. Współcześnie jest to stanowisko, które zajmuje etyka chrześcijańska. Lekarze należący do drugiej grupy byli pluralistami moralnymi – sądzili, że istnieje wiele równie ważnych wartości, że mogą one ze sobą kolidować, i że może się zdarzyć tak, że inne wartości stają się ważniejsze niż życie” – wskazuje etyk medycyny.

Ten spór pozostaje oczywiście żywy, i to nie tylko na gruncie etyk świeckich, lecz także religijnych (bo warto przypomnieć, że judaizm i islam wcale nie są jednoznacznie i zawsze przeciwko aborcji, różniąc swoje podejście w zależności od rozmaitych okoliczności), ale... W historii ludzkiej myśli, aż do czasów współczesnych, zwyciężać pozostaje myślenie hipokratejskie, które uznaje za wartość fundamentalną właśnie ludzkie życie. Zbigniew Szawarski ułatwia sobie zresztą polemikę z takim podejściem, bowiem od razu odsyła do kategorii religijnych i wskazuje, że „życie ludzkie jest święte”, co wprowadza do elementu filozoficznego i etycznego element religijny. W istocie zaś sformułowanie „wartość fundamentalna” może i powinien być rozumiane z perspektywy świeckiej, pozbawionej konotacji religijnych, jako „wartość, na której bazują wszystkie inne wartości”. Nie można

mówić o innych wartościach (zdrowiu, jakości życia, wygodzie, szczęściu), jeśli człowiek nie żyje, i to właśnie dlatego obrona wartości życia powinna zostać fundamentalnym zadaniem każdej etyki, w tym także etyki medycyny. Oczywiście rozwój technik medycznych, a także głębokie zmiany obyczajowe zachwiały takim myśleniem, ale nie sądzę, by można było – bez poważnych szkód dla etosu medycyny – odrzucić akurat to założenie. Odrzucenie zasady „fundamentalnej wartości życia” gruntownie zmienia etos lekarza i wprowadza do niego niespotykane wcześniej elementy, choćby ten dotyczący decydowania o tym, kto ma prawo do życia, a kto go nie ma.

► Bez Transcendencji nie ma moralności

Tego fragmentu nie da się zrozumieć bez poprzedzającego go wezwania, które uświadamia, jakie są prawdziwe źródła tego myślenia. „Przysięgam na Apollona lekarza, na Asklepiosa, Hyg(i)eję, Panakeję, na wszystkich bogów i boginie, czyniąc ich świadkami, że będę podług mej zdolności i mego sądu wypełniać tę przysięgę i ten zapis” – wskazuje Hipokrates. A te słowa odsyłają nas do Transcendencji, do istnienia sił wyższych niż człowiek, które mają być gwarantem wiarygodności składanej przysięgi. Człowiek nie jest i nie ma być jedynym źródłem swojego zobowiązania, ale odwołuje się do siły wyższej, która nie tylko uwiarygadnia jego słowa, lecz także zobowiązuje do posłuszeństwa im pod kryterium religijnym. I choć oczywiście przywołane są tu bóstwa greckie, to odwołanie do Transcendencji wydaje się aktualne do dziś.

Chrześcijaństwo zresztą – bardzo wcześniej – po oczyszczeniu z elementów jednoznacznie pogańskich przyjęło hipokratejski etos medyczny, choć w pierwszych wiekach nieczęsto wprost odwoływało się do tekstu przysięgi czy szerzej do tekstów hipokratejskich. Jasne odwołania do nich znaleźć możemy w tekstach Cyrpiana z Kartaginy, Grzegorza z Nazjanzu i Grzegorza z Nyssy, a także u Euzebiusza z Cezarei, ale... dotyczyły one nie tyle założeń etycznych, ile odwołań do przekonań dotyczących natury, zdrowia i człowieka. Na Zachodzie Europy inspiracją do opieki medycznej pozostawał jednak miłosierny Samarytanin, którego przykład zapisał już w pierwszych wiekach chrześcijan do zakładania przytułków, szpitali, domów opieki, a także bezinteresownego zajmowania się potrzebującymi. Powrót do greckich źródeł zaczął następować pod wpływem medycyny arabskiej w XI i XII wieku, ale ostatecznie o wpływie przysięgi Hipokratesa można zacząć mówić od czasów renesansu. To wtedy, wraz z wielkim powrotem do antyku, nastąpił odwrót od samarytańskich źródeł filozofii medycyny i ich nakierowanie na Hipokratesa, który po łagodnym schryścianizowaniu

stał się jednym z istotnych źródeł myślenia etycznego dla lekarzy.

Wewnątrz Kościoła zainteresowanie Hipokratesem aż do czasów współczesnych nie było jednak wielkie. Źródło etycznego myślenia na temat medycyny poszukiwano w innych miejscach, a wprost do myślenia hipokratejskiego zaczął odwoływać się dopiero Pius XII. „Pisma Hipokratesa są bez wątpienia jednym z najwznioślejszych wyrazów etyki zawodowej, która nakazuje przede wszystkim poszanowanie życia i ofiarną służbę choremu” – mówił papież w przemówieniu do uczestników XIV Międzynarodowego Kongresu Historii Medycyny 17 września 1954 roku. Paweł VI wskazywał na Hipokratesa jako na „obrońcę życia”, który może powinien stać się wzorem dla współczesnych lekarzy. Jednak naprawdę często do Hipokratesa zaczął się odnosić dopiero święty Jan Paweł II. Już w przemówieniu z 28 grudnia 1978 roku skierowanym do członków Włoskiego Stowarzyszenia Lekarzy Katolików papież z Polski wzywał ich do obrony życia i przypominał, że aborcja i działania przeciw życiu są sprzeczne „nie tylko z chrześcijańską, lecz także naturalną moralnością, a także sprzeczne z etyką zawodu wyrażoną w słynnej przysiędze przez starożytnego lekarza”. Cztery lata później w przemówieniu wygłoszonym do uczestników Światowego Towarzystwa Lekarskiego święty Jan Paweł II przypominał, że medycyna musi odpowiedzieć sobie na pytanie o to, jakie są jej korzenie, źródła, fundamenty. „Chodzi ostatecznie o odpowiedź na pytanie, czy medycyna pozostaje w służbie osoby ludzkiej oraz jej godności w tym, co jest w osobie jedyne i transcendentne, czy też uważa ją przede wszystkim za czynnik życia społecznego, służący interesom zdrowych, którym ma być podporządkowana troska o chorych. Otóż od czasów Hipokratesa moralność lekarska zawsze była określana przez szacunek dla osoby ludzkiej i jej ochronę. Chodzi tu o coś dalece więcej niż tylko o obronę tradycyjnej deontologii; w grę wchodzi tu poszanowanie pojęcia medycyny, która zachowuje swą wartość dla ludzi wszystkich czasów, i które broni człowieka jutra dzięki uznaniu ceny osoby ludzkiej, podmiotu praw i obowiązków, nigdy zaś przedmiotu, który może być użyty do innych celów, choćby chodziło o rzekome dobro społeczne” – wskazywał święty Jan Paweł II. Te słowa wskazują, w jakim kierunku idzie obecnie interpretacja przysięgi Hipokratesa wewnątrz oficjalnej doktryny Kościoła. Jan Paweł II wyjmuje ją z kontekstu greckiej filozofii inspirowanej religijną, z kontekstu pitagorejskiego pojmowania źródeł etyki życia i uznaje ją za wyraz linii obrony godności człowieka sięgającej aż do starożytności. Hipokrates zostaje uznany za przedstawiciela linii godnościowej, a szerzej – obrony praw człowieka, w tym fundamentalnego

prawa do życia. Papież zdaje się rekonstruować pewien ciąg historyczny rozwoju myśli medycznej, która sięga aż do Hipokratesa, a która opiera się na zasadzie fundamentalnej wartości życia.

► Szukanie innych inspiracji etyki medycyny

Jeśli chodzi o obronę życia, jest to strategia słuszną, bowiem pozwala ona uniknąć oskarżeń o czysto religijne źródła obrony życia i skonstruować historyczną linię ciągłą tych, którzy rzeczywiście bronią bezwarunkowej godności osoby ludzkiej. Nie sposób jednak nie zadać pytań o to, czy po pierwsze takie, a nie inne zakorzenienie katolickiej etyki medycyny nie pozbawia jej pięknych ewangelicznych odniesień zawartych w przypowieści o dobrym Samarytaninie? Istotniejsze jednak wydaje się inne pytanie: czy nie istnieją teksty lepiej ukazujące religijny i etyczny komponent sztuki medycznej? Wydaje się, że taki tekst istnieje, a jest nim „Modlitwa Lekarza” autorstwa żydowskiego rabin, filozofa i lekarza Majmonidesa. I na koniec tego tekstu chciałbym ją przytoczyć

„Boże, napełnij duszę moją miłością do mej sztuki i dla wszystkich stworzeń. Nie dopuść, aby pragnienie zarobku lub poszukiwanie sławy kierowały sztuką moją, gdyż wtedy wrogowie prawdy i miłości mogliby to wyzyskać i odsunąć mnie od szlachetnego obowiązku czynienia dobrze dzieciom Twoim.

Podtrzymuj siły mego serca, aby zawsze było gotowe służyć zarówno ubogiemu, jak i bogatemu, przyjacielowi, jak i wrogowi, człowiekowi złemu, jak i dobremu. Spraw, abym w tym, który cierpi, widział tylko człowieka. Niechaj umysł mój przy obcowaniu z chorymi pozostać jasny, nie obciążony żadną myślą uboczną, ażeby wyraźnie uprzytomnił sobie, czego nauczyciela go doświadczenie i wiedza, gdyż wielkie i wspaniałe są dociekania naukowe, których celem jest podtrzymywanie życia i zdrowia wszystkich stworzeń. Spraw, aby moi chorzy mogli zaufać mnie i mojej sztuce.

Jeśli nieuki potępią mnie i wyśmiewają, spraw, aby ukochanie mego zawodu było puklerzem, czyniącym mnie niewzruszonym, abym mógł wytrwać w prawdzie bez względu na znaczenie, rozgłos lub wiek moich nieprzyjaciół. Użycz mi, Boże mój, wyrozumiałości i cierpliwości wobec chorych, upartych i grubiańskich.

Spraw, abym był we wszystkim umiarkowany, lecz nienasycony w umiłowaniu wiedzy.

Oddal ode mnie przekonanie, że wszystko potrafię. Daj mi siłę, wolę i możliwość rozszerzania swych wiadomości, dzisiaj jeszcze bowiem mogę odkryć w świadomości swej rzeczy, których istnienia wczoraj nie przypuszczałem, ponieważ wiedza jest olbrzymia, a umysł ludzki sięga wciąż naprzód”.

Małgorzata Matuszak



AAA DZIECKO

– kupię, sprzedam

Prawnicy i osoby zajmujące się prawami dziecka na co dzień szacują, że liczba nielegalnych adopcji w Polsce wynosi od kilkuset do nawet kilku tysięcy rocznie. Wiele par w Polsce wykorzystując luki w prawie, decyduje się na skorzystanie z tego typu usług.

Niedawno posłowie niemal jednogłośnie przegłosowali zmiany w Kodeksie karnym, które mają spowodować, że choćby pojedyncze nielegalne adopcje nie pozostaną bezkarne. Na nawet pięć lat będą mogli trafić do więzienia nie tylko ci, którzy organizują taki proceder na szeroką skalę, lecz także ci, którzy przysposabiają dziecko, oraz rodzice naturalni, jeśli zgodzą się na adopcję swojego potomka w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej i zatają ten fakt przed sądem orzekającym w postępowaniu o przysposobienie. Zdaniem resortu sprawiedliwości „obecne rozwiązania prawne niedostatecznie chronią dzieci przed groźbą dostania się w niepowołane ręce” i październikowa nowelizacja prawa ma przeciwdziałać temu procederowi.

► Nielegalne adopcje w Polsce

Wydawałoby się, że problem surogacji w Polsce jest czymś marginalnym i rzadkim. Jeśli przyjrzymy się danym dotyczącym ilości spraw zgłaszanych i prowadzonych przez policję, to naprawdę nie jest ich aż tak wiele, choć trzeba pamiętać też o tym, że za każdym takim przypadkiem stoi konkretny człowiek, który został „przehandlowany”, kryje się ludzkie życie. Bo surogacja tak naprawdę nikomu nie służy, nawet jeśli ubierze się ją we wzniosłe słowa i przedstawi jako szlachetny czyn, który pozwala mieć dzieci tym, którzy z jakichś powodów mieć ich nie mogą.

Jak wynika z danych Komendy Głównej Policji, w 2014 roku stwierdzono 9 przypadków nielegalnej adopcji, w 2015 roku – żadnego, a w 2016 roku ujawniono 2 takie czyny. W 2017 roku potwierdzono 61 przestępstw z art. 211a kk, a w 2018 roku wszczęto 7 postępowań przygotowawczych z tego artykułu, 8 zakończono, w tym 7 – wydaniem decyzji o umorzeniu postępowania z powodu braku znamion przestępstwa. Część tych spraw kwalifikowanych jest również jako przestępstwo z art. 189a kk, czyli handlu ludźmi. Prawnicy i osoby zajmujące się prawami dziecka na co dzień szacują jednak, że liczba nielegalnych adopcji w Polsce wynosi od kilkuset do nawet kilku tysięcy rocznie. Resort sprawiedliwości w uzasadnieniu konieczności zmian w prawie podaje, że jest ich rocznie około 2 tysięcy. (Dla porównania – w Polsce rocznie dochodzi do 3 tys. legalnych adopcji). Nie wiadomo, ile z nich dotyczy konkretnie surogacji, można jednak przypuszczać, że większość. Wiele par w Polsce wykorzystując luki w prawie, decyduje się na skorzystanie z tego typu usług.

W jednym z artykułów poświęconych surogacji w magazynie „The New York Times” Polska – obok Ukrainy, Cypru czy Indii – wymieniona jest nawet jako jeden z ważnych krajów na mapie globalnej turystyki reprodukcyjnej. Wiele Polek bowiem świadczy i korzysta z usług za granicą. Surogacja jest legalna m.in. w Rosji, Gruzji, Grecji, Wielkiej Brytanii, Finlandii, USA, Indiach,

Meksyku, Armenii, Czechach, Tajlandii, na Ukrainie. Z surogacji altruistycznej – czyli takiej, w której kobieta rodzi dziecko wskazanej parze, ale nie otrzymuje za to pieniędzy, para jedynie pokrywa koszty leczenia i zabiegu in vitro – można skorzystać zaś w Australii, Nowej Zelandii czy Kanadzie.

► Pomoże Internet

Problemy z płodnością mogą być różne, a w pewnych sytuacjach macierzyństwo zastępcze wydaje się „atrakcyjnym rozwiązaniem” – kiedy na przykład kobiety posiadają własne, zdrowe komórki jajowe, a z jakichś powodów nie mogą zająć w ciąży czy jej donosić, albo gdy są bezpłodne i wolą „zlecić” urodzenie dziecka innej kobiecie, niż adoptować cudzy zarodek. Zdarzają się i takie sytuacje, kiedy kobieta po prostu nie chce być w ciąży, bo obawia się chociażby pogorszenia komfortu swego życia, albo takie, w których dziecko pragnie mieć męska para homoseksualistów, dla której skorzystanie z usług surogatki zdaje się być najlepszym wyjściem. Powodów, dla których niektórzy decydują się na macierzyństwo zastępcze, może być wiele, zawsze jednak rodzi się pytanie: dlaczego ktoś decyduje się na krok, który stwarza coraz więcej problemów prawnych i moralnych?

Chęć posiadania dziecka, w szczególności wśród kobiet, czasami jest tak duża, że przestają się liczyć z wszelkim ryzykiem, z konsekwencjami, z problemami – różnego rodzaju – które mogą się wiązać z wyborem sposobu, który sprawi, że upragnione dziecko wreszcie będą mieć. Bez względu na wszystko. „Starałam się o dziecko długo (a są kobiety, które walczą o macierzyństwo znacznie, znacznie dłużej) i uwierz mi... byłam w stanie wydać wszystkie możliwe pieniądze, żeby być matką” – czytamy na jednym z forów internetowych. Inna internautka napisała w odpowiedzi na tego posta: „Gdybym dysponowała dużymi, wolnymi pieniędzmi to nie ja bym była teraz w ciąży, ale czekałabym na swoje biologiczne dziecko :) Ja mogę mieć dzieci, ale dla mojego organizmu to ogromne obciążenie i dlatego chętnie bym poprosiła kogoś o pomoc, gdyby było mnie na to stać”. Jak widać, różne są przyczyny sięgania po ten sposób na posiadanie dziecka...

W Internecie znajdziemy wiele ogłoszeń kobiet, które szukają surogatek dla swoich dzieci. Jak choćby to ze strony „oglaszamy24.pl”: „Witam. Szukam dziewczyny, co chciałaby urodzić dziecko. Niestety ja nie mogę zająć w ciąży z powodów zdrowotnych. Szukamy dziewczyny najlepiej z Radomia bądź okolic, wiek do 30 lat, oczywiście dziewczyna musi być zdrowa. Oferuję bardzo duże wynagrodzenie. Proszę o kontakt tylko zdecydowane dziewczyny, zaznaczam, że dziecko musi być mojego męża. Więcej informacji w wiadomościach”. Jeszcze więcej ogłoszeń znajdziemy na najpopularniejszej w tym względzie stronie „robimy dzieci.com”, na której

w ofertach można wręcz przebierać. Ogłaszają się tam zarówno pary czy też kobiety, które poszukują surogatek, jak i kobiety, które chętnie „udostępnią swój brzuszek” tym, które pragną mieć dziecko. W Internecie bez problemu znajdziemy też anonsy typu „Brzuszek rośnie i szuka rodziny dla maluszka”, jak i ogłoszenia rodziców, którzy gotowi są przyjąć „niemowlaka niechcianego”. Wszystkie cieszą się dużym zainteresowaniem.

O tym właśnie czytamy w uzasadnieniu projektu dotyczącym zmian w prawie odnośnie do nielegalnych adopcji, który został zamieszczony na stronie Rządowego Centrum Legislacji: „O ogromnej skali procederu świadczyć może fakt, że jedna ze stron internetowych, gdzie znajdują się tego typu ogłoszenia, ma dziennie około 400 użytkowników, a w sumie odwiedziło ją już ponad 1,3 mln osób”.

► Jak to się odbywa?

Internet jest najlepszym medium dla tych, którzy szukają surogatek, i dla kobiet, które pragną nimi być. Kiedy już dojdzie do porozumienia się dwóch stron, trzeba omówić warunki „współpracy”, szczegółowo, najlepiej na piśmie, by później nie było niepotrzebnych sporów. Następnie należy znaleźć odpowiednią klinikę, która podejmie się dokonania zabiegu in vitro. Jeśli surogatką jest równocześnie dawczynią komórki jajowej, nie jest to trudne, wiele klinik wykona zabieg bez zadawania zbędnych pytań, sprawa jednak komplikuje się, gdy matka zastępcza nie jest dawczynią – w Polsce to zazwyczaj zabiegi mało skuteczne i kliniki wyciągają pieniądze od zdesperowanych rodziców, choć dokonywane w nich tego typu zabiegi in vitro rzadko kończą się ciążą surogatki. Wówczas zaleca się dokonywanie zabiegu za granicą. Można się o tym dowiedzieć z internetowych „rad dla surogatek”. Aby nie komplikować sytuacji prawnej nowo narodzonego dziecka, matka zastępcza powinna być niezamężna. Wówczas ojciec biologiczny dziecka może go bez problemu uznać. Może to zrobić nawet już w czasie ciąży, notarialnie. Następnie przychodzi to, co najtrudniejsze: po sześciu tygodniach od narodzenia dziecka surogatką musi się zrzec praw do dziecka na rzecz kobiety, która ją „wynajęła”, lub zostać tych praw pozbawiona. Procedura ta jest stresująca dla obydwu stron. Chociaż nie zawsze. Jedna z kobiet, która surogatką była dwa razy, mówi wprost: „Wymyślasz w sądzie historię, że ty i biologiczny ojciec dziecka mieliście romans i zaszłaś, ale nie możesz wychować tego dziecka”. Przy rejestracji dziecka w Urzędzie pamiętać trzeba też o tym, by zaznaczyć, że dziecko będzie zameldowane „przy ojcu”.

Ile to wszystko kosztuje? „120 tysięcy złotych. Ani mniej, ani więcej. Bez dodatkowych kosztów utrzymania mnie podczas ciąży” – tyle żąda jedna z kobiet za swą usługę. Całkowity koszt wynajęcia surogatki może być jednak dużo wyższy. Jeśli bowiem do wynagrodzenia matki zastępczej, które wynosi nawet 130 tys. złotych, dodamy

koszty wyżywienia (na przykład 800 zł miesięcznie, da to 7,2 tys. podczas całej ciąży), zabiegu in vitro (to koszt 10–12 tys., a nawet 20 tys. złotych) oraz opieki medycznej (2–3 tys. złotych za cały okres ciąży) i porodu w prywatnym szpitalu, gdzie zapewniona jest dyskrekcja (to kolejne 6–10 tys. złotych), a także opłaty sądowe, to wychodzi na to, że koszt wzrasta o kolejne 40 tys. złotych i więcej. Zdarza się jednak i tak, że kobiety w trudnej sytuacji finansowej godzą się na znacznie niższe warunki finansowe, przystając nawet na zapłodnienie „tradycyjne”, by po porodzie wskazać ojca dziecka i zrzec się swych praw rodzicielskich.

► Niebezpieczeństwa suragacji

Aktualna zmiana w prawie, jak podkreślał wiceminister Michał Wójcik, ma na względzie to, by mogło być ono wykorzystywane w sprawach indywidualnych. Między innymi właśnie w tych, gdy matka biologiczna dziecka pozwala mężczyźnie niebędącemu ojcem biologicznym dziecka na uznanie go przed urzędem stanu cywilnego, a następnie zrzeka się nad nim władzy rodzicielskiej. Czy to powstrzyma ten proceder? Dlaczego niektórzy decydują się na surogację, zamiast legalnie adoptować dziecko?

Powody wymieniają różne. Uważają na przykład, że legalna adopcja trwa zbyt długo i ma niepewny skutek. W surogacji natomiast przynajmniej jedno z rodziców jest tym biologicznym. Ma się także kontrolę nad przebiegiem ciąży. Wiele par boi się, że tradycyjnie adoptowane dziecko może mieć na przykład zespół FAS (płodowy zespół alkoholowy), który ujawnia się dopiero po pewnym czasie. Mówi się też o kosztach – wynajęcie surogatki jest mimo wszystko mniej kosztowne niż leczenie niepłodności, które poza tym może trwać bardzo długo i nie wiadomo, jakí odniesie skutek.

Korzystanie z usług surogacji i bycie nią niesie jednak ze sobą wiele niebezpieczeństw i rodzi mnóstwo pytań. Pamiętać bowiem trzeba o tym, że w polskim prawie jedyną matką dziecka jest ta, która je urodziła. Co wtedy, gdy surogatką nie będzie chciała zrzec się swych praw rodzicielskich? Czy poradzi sobie emocjonalnie z sytuacją po oddaniu dziecka? Co się stanie z nowo narodzonym dzieckiem, jeżeli urodzi się poważnie chore czy niepełnosprawne? Jak zachowają się zleceniodawcy? Czy nadal będą chcieli je adoptować? Jakie problemy emocjonalne i tożsamościowe mogą pojawić się u dziecka, kiedy dowie się, jak doszło do jego poczęcia? Nie można też przemilczeć faktu, że ogromne nadzienie z rozwojem tych usług wiąże pary homoseksualne.

Nie tylko sam proceder budzi poważne, etyczne zastrzeżenia. Zatrważające jest to, że na świecie wyspecjalizował się już rynek usług komercyjnych wraz z castingami na surogatki i coraz szerszą ofertą usług. Czy naprawdę chcemy żyć w czasach, w których wszystko można kupić za odpowiednią sumę? Nawet dziecko? ■



POLAK Z SERCEM

11 edycja

**Podziel się z potrzebującymi
Rodakami na Wschodzie!**

do 30 czerwca 2020

11-24 listopada 2019

WEŹ UDZIAŁ W ZBIÓRCZE ONLINE
FANIMANI.PL/ZBIORKA/POLAK-Z-SERCEM

**PODARUJ ARTYKUŁY
SPOŻYWCZE, CHEMICZNE,
SZKOLNE I GRY**

**WYŚLIJ SMS O TREŚCI „KRESY”
POD NUMER 72052** KOSZT: 2,46 ZŁ Z VAT

**ZBIÓRKI W PARAFIACH,
SKLEPACH I SZKOŁACH**



WESPRZYJ FINANSOWO
SZCZEGÓŁY: KSM.ORG.PL/POLAK-Z-SERCEM

NIE BĄDŹ OBOJĘTNY
Pomóż!



ORGANIZATORZY:



Kołomyjskie
Stowarzyszenie
Młodzieży

GOTÓW
Wydawnictwo i Księgarnia KSM

FDM
„FUNDACJA DLA MŁODZIEŻY”

PARTNERZY:



CARITAS GRODNO



CARITAS LUBLIN

PATRONAT MEDIALNY:



**POLSKIE RADIO
DLA ZAGRANICY**

PATRONAT HONOROWY:



WICEPREZIDENT MIASTA
KOŁOMYJ POLSKIEGO
Miasto Kołomyje



MIĘDZYNARODOWY
STOWARZYSZENIE
MŁODZIEŻY



MIĘDZYNARODOWY
STOWARZYSZENIE
MŁODZIEŻY



MIĘDZYNARODOWY
STOWARZYSZENIE
MŁODZIEŻY



MIĘDZYNARODOWY
STOWARZYSZENIE
MŁODZIEŻY

KONFERENCJA
EPISKOPATU
POLSKI



CARITAS LUBLIN



CARITAS LUBLIN

W POLSCE PL

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI

**WOLNE
PAŃSTWO**

wzrastanie

idziemy

wiara.pl

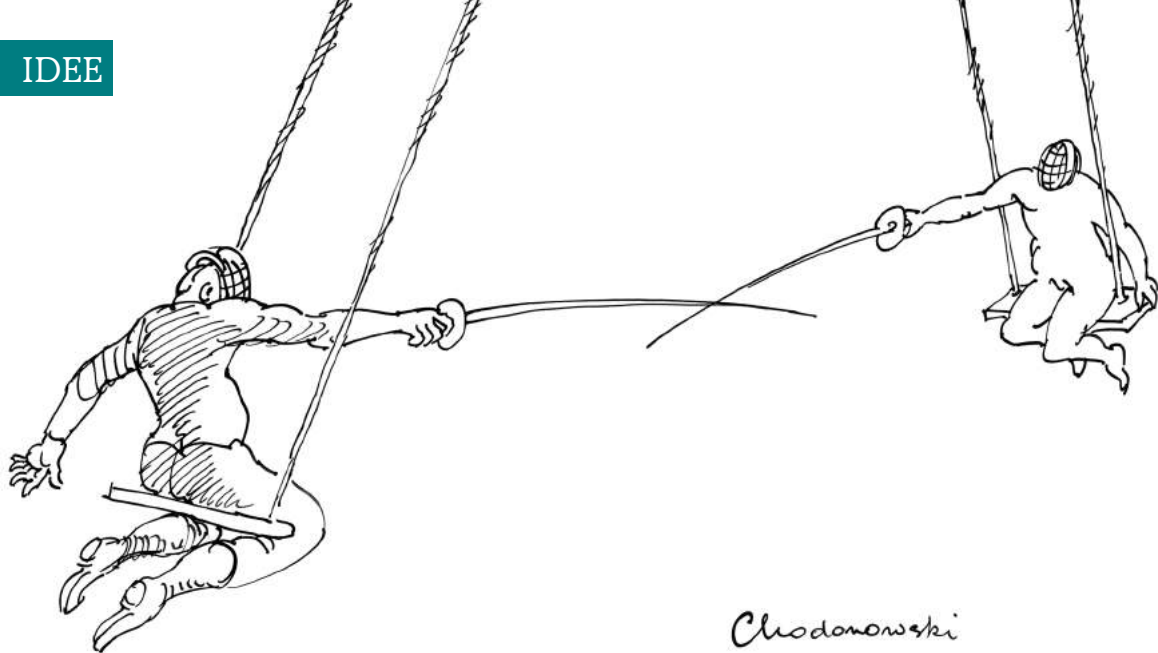
kai

GAZETA POLSKA

niezależna.pl

niezależna.pl

PRZEKAŹ
1% PODATKU
NA FUNDACJE
DLA MŁODZIEŻY
KRS 0000339553



Ewa Polak-Pałkiewicz



NIEPODLEGŁOŚĆ I CHOROBA NASZYCH CZASÓW

Chorobę naszych czasów można nazwać chorobą przywleczoną ze Wschodu. To nie odra, można ją jednak nazwać chorobą rosyjską.

Kolejna rocznica odzyskania niepodległości, a zarazem wygrana Prawa i Sprawiedliwości w wyborach parlamentarnych, wita nas w czasie, gdy jesteśmy w Polsce niespokojni. Można powiedzieć, że wielu z nas przyjmuje ten moment z zaczerwienionymi oczami. Nie tyle od łez wzruszenia, ile ze zmęczenia. Z upartego wypatrywania w oddali czegoś, co będzie przypominało ideał. Ideał ojczyzny, idealną Polską. I ideał Polaka. Idealnego człowieka. A tu, jak na złość, tylu wokół ludzi pokręconych, powyginanych dziwnie.

► Moda na stan umysłu

Choroba naszych czasów rozwija się powoli. Najpierw dzielimy ludzi z grubsza na swoich i obcych. Potem zastanawiamy się, ilu w tych „swoich” jest swoich naprawdę. Widzimy, że czasem tylko udają, bo są jakby z innej gliny. Nie mamy wspólnego języka. Denerwują nas ich głupie dowcipy, gruboskórność, przechwałki. Prowincjonalizm, banalne uwagi. Wygląd nawet. Okazuje się niebawem, że wśród „swoich” jest naprawdę dużo podejrzanych typów.

„Jakiś Rosjanin wrócił z Petersburga do Paryża. Rodaczka spytała go: – Jak się czuje nasz pan? – Bardzo dobrze. – A człowiek? – Człowieka nie widziałem” (Asthore de Custine „Listy z Rosji”). „Św. Jan Chryzostom mówi: »Człowiekiem nazywamy tego, kto zachowuje w całości obraz człowieka. Co jest obrazem człowieka? Być istotą rozumną. Być człowiekiem to być rozumnym, to jest działać, kierując się rozumem, a nie popędami zmysłowymi” (św. Alfons Maria de Liguori).

Chorobę naszych czasów można nazwać chorobą przywleczoną ze Wschodu. To nie odra, można ją jednak nazwać chorobą rosyjską. W Polsce ma swoje komiczne lub tragikomiczne epizody. Oto pewien znany naukowiec z Poznania (profesor uniwersytetu) i pisarz, człowiek niewątpliwie inteligentny i dowcipny, pisze list otwarty do Jarosława Kaczyńskiego, zarzucając mu w podniosłym tonie, że w TVP nie ma już jego ulubionej spikerki. Całkiem na serio. Jest ciężko obrażony na Prezesa. Jest złośliwy.

Choroba naszych czasów rozwija się szerokim wachlarzem zachowań – które uchodzą za poważne, patriotyczne i szlachetne – w środowiskach narodowych, gdzie postacią najbardziej złowrogą, czarnym charakterem numer jeden jest od dzieiątków lat Józef Piłsudski.

W ślad za istną fobią wobec tego człowieka czynu – który jak mało kto rozumiał, że niepodległości nie otrzymamy w prezencie od wygodnych, coraz bardziej nadętych swoją wielkością i coraz mniej rycer-

skich rządów Europy, o ile jej sobie nie wywalczymy – idą najdalsze inwektywy, najbardziej niesamowite legendy. Bezbożnik, wróg Kościoła, tchórz, mitoman, zdrajca... Józef Piłsudski nie był barankiem. Porywcy, nieprzejeđnany, pamiętliwy. Spryciarz i cwaniak, który potrafił z ludzi wyciągnąć to, co chciał. W dodatku kochliwy, „kobieciarz” – w opinii przeciwników politycznych. I antyklerykał. To fakt. Ale tego człowieka Pius XI nazywał Obroncą Kościoła – z uwagi na jego zasługi w odparciu nawały bolszewickiej – i swoim przyjacielem. Nad drzwiami pokoju w pałacu w Castel Gandolfo kazał powiesić herb Piłsudskich – Kościeszka. „Eravamo, amici” – „Żegnaj, Przyjacielu” – powiedział, gdy przyniesiono mu wiadomość o śmierci Marszałka. Achilles Ratii potrafił oddzielić istotę rzeczy od czegoś drugorzędnego. Wiedział, że ludzie mają skazy, bo grzech pierworodny jest faktem. Ale docenił prawdziwą wielkość umysłu, odwagę, szlachetność, charakter, polityczny geniusz, odpowiedzialne przywództwo jest obowiązkiem każdego myślącego i uczciwego człowieka, tym bardziej zaś głowy Kościoła. Pius XI znał Marszałka osobiście. Przez wiele późniejszych lat uważnie obserwował z Rzymu jego poczynania. Był w swej ocenie stateczny i sprawiedliwy.

Choroba naszych czasów jest chorobą umysłu. Jak przypomina Vittorio Messori, nie sposób ukryć, że istnieją stany umysłu, które odpowiadają pewnej modzie; „wciskają się w schematy tego, co jest politycznie poprawne w każdej epoce i determinują historię”. Umysł zaczyna ignorować fakty. Zaczyna unikać przyglądania się temu, co jest, co istnieje. Odrzuca w rezultacie wszystkie niewygodne dla niego hipotezy o „prawdziwym źródle zła”, fakty z historii. Jest niezwykle podatny na propagandowe uproszczenia. Odrzuca oczywisty pewnik, że w każdym człowieku – i w nas samych także – jest coś słabego, ułomnego. Jest jakiś cień brzydoty, jest niedoskonałość. I z tego właśnie punktu zaczepienia: braku, niedoskonałości czy wady – zaczyna się czynić przedmiot głównych obserwacji. Przenikliwych dociekań. I dokładnie tak jak czynili to faryzeusze, czyni się z tego sztandar, a w końcu – przedmiot nienawiści.

► Dobry sport dla przyzwoitych ludzi

„Zwykle nie wie się nic o ludziach, na których się najgorzej psioczy” – skarżyła się Kazimiera Iłakowiczówna na atmosferę, w której musiała przebywać, pracując jako niższa urzędniczka Ministerstwa Spraw Zagranicznych; była też bezpośrednim świadkiem zabójstwa prezydenta Gabriela Narutowicza; wychodziła z Zachęty z jego krwią na rękach i ubraniu. „Opinia puszcza o nich plotki, plotki te

stylizuje się, jak dekorację ujętą w rytm rysunku. W kompozycji, jaka w ten sposób powstaje, jest tylko motyw człowieka, z którego kompozycję wykonano; podobieństwo i prawdopodobieństwo – dawno znikły. Zdekomponować tę kompozycję, uczłowieczyć na nowo to odczłowieczenie – to dobry sport dla porządných, przyzwoitych ludzi. To jest to prawdziwe »odbronzowienie«, o którym tyle się słyszy, odbronzowienie z potwora na człowieka” (pisownia oryginalna).

Choroba naszych czasów szerzy się dziś z tak zawrotną szybkością, bowiem jesteśmy nieustannie pobudzani emocjami. Emocje blokują działanie rozumu, zaciemniają go. Powodują, że wyższe władze ludzkiej duszy więdną, słabną, usychają. Takie jak wspaniałomyślność, przebaczenie, wznoszenie się ponad urazy, a nawet doznane krzywdy, zdolność do ponoszenia ofiar. Nasze emocje są pożywką dla tych, którzy nauczyli się nimi sterować. Za pomocą obrazów, dźwięków. Za pomocą nieustannego nagłaśniania zła i ludzkiej ułomności. Za pomocą fantastycznych scenariuszy pobudzających wyobraźnię. Nie da się ukryć bodźców coraz mocniejszych, coraz silniej oddziałujących, coraz precyzyjniej skierowanych na odpowiednie ośrodki nerwowe. Wśród tak intensywnie pobudzonych emocji podejrzliwość szerzy się niczym burza, wzburzenie stanu lęku, zagrożenia jest wprost dziecienną igraszką. Wielki potwór o stu twarzach może być za każdym razem czymś innym.

Łatwo wziąć jest pozory za rzeczywistość. Łatwo ulec złudzeniu, które ma tym bardziej przemożny wpływ na człowieka, że jest zupełnym wymysłem, całkowitą fantazją – ale dobrze zakomponowaną, malowniczą, pobudzającą wyobraźnię. „Solidnie obstalowaną” przez tych, którzy zawsze, w każdej epoce historycznej uważali się za inżynierów ludzkich dusz. I byli w swoim rzemiośle biegli. Zawsze stawiali na teatr. Zawsze interesował ich cyrk.

„Co obchodzi przywódców Rosji nędza, błądłość żołnierzy cesarza?” – pisał w 1839 roku w „Listach z Rosji” Astolphe de Custine. „Te żywe widma mają najpiękniejsze mundury w Europie: kogo obchodzi zgrzebne kapoty, którymi się owijają w głębi swych kwater te pozłacane zjawy? Niech tylko będą ubodzy i brudni w sekrecie i niech błyszczą, kiedy się pokazują, niczego się od nich nie wymaga i niczego się im nie daje. Udrapowana nędza: oto bogactwo Rosjan. Dla nich pozory są wszystkim, a pozory u nich kłamią bardziej niż u innych. Toteż ktokolwiek ośmiela się unieść rąbek zasłony, traci na zawsze reputację w Petersburgu”.

Kiedy wszyscy wokół są podejrzani, umęczone umysły spoglądają z podziwem, z nadzieją na fajer-

werki, na obramowania, na efektowne dekoracje, na połyskliwe guziki, na pióra przy kapeluszach. Udręczeni do ostateczności stają się największymi ofiarami własnych fobii.

► „...jakoby zwalczał buntowników”

Adam Mickiewicz w jednym z wykładów w Collège de France ukazywał przyczynę okrucieństw, jakich Rosja dopuszczała się wobec Polaków. „Rzecz to mało znana, a jednak niezaprzeczalna, że wojsko rosyjskie ma toż samo uczucie [podobne do tego, które żywiła armia starożytnego Rzymu – przyp. E.P.P.], co prawda niejasne, swojej wyższości; mniema, że tylko ono jest armią w pełnym słowa znaczeniu; na wszelkie inne wojsko spogląda tak, jakby na przykład armia regularna patrzyła na oddział ochotniczy; ma je za coś, co przedrzeźnia wojsko, za coś przemijającego [...] rząd rosyjski walcząc z wrogami nie może oprzeć się myśli, jakoby zwalczał buntowników, a wojsko rosyjskie uważa ich zawsze za zdrajców”.

Messori dodaje, że obrzucanie bliźnich inwektywami jest często uzasadnione skalą odczuwanego bólu. Tak często „jest to porywczność właściwa tragiczności tematu oraz rozległości cierpień”.

Choroba naszych czasów może być jednak pokonana bez antybiotyków i zastrzyków propagandy. Jednym ludzkim, chrześcijańskim „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Jako i my... Wtedy zamiast krosty na obliczu drugiego człowieka zobaczy się cień smutku. Zmarszczkę utrudzenia. Bruzdę samotności. Zamiast pazerności i kłamstwa dostrzeże się w jego duszy zagubienie, zwątpienie, rozpacz. Wtedy i w sobie samym zobaczy się coś ułomnego, słabego, szpetnego, godnego współczucia... Ale zarazem – nie popadnie się w pychę, nie ulegnie się zwątpieniu. Wybaczyć innym, to także wybaczyć sobie. Spójrzeć w górę, ku Temu, Kto może te skazy naprawić, te fałdy wygładzić, te paskudne, cuchnące rany uleczyć. Wtedy pomożemy sobie i innym być trochę lepszymi ludźmi, lepszymi Polakami. Po to – tak naprawdę – mamy Niepodległość. Po to mamy wolną Ojczyznę. Byśmy wspólnie dźwignęli się ku Niebu.

► Gdy powietrza przybywa

Ludzie Prawa i Sprawiedliwości z pewnością nie są idealni. Popołniają błędy. Jak każdy z ludzi – nie są doskonali. Ale w oczach przeciwników, którzy przyjęli mentalność faryzejską, nie zasługują nie tylko na pochwały, lecz także na jakiekolwiek w ogóle usprawiedliwienie. Przede wszystkim dlatego, że realizują rację stanu Polski. Rację

nadrzędną, zasadę główną – która ma źródło nie tylko w dziedzinie politycznej, lecz także duchowej – rację, dla której Polska od tysiąca lat istnieje. Ta racja decyduje, że o Polskę trzeba stale walczyć, bo jest ona wielkim dobrem. Ludzie, którzy tę walkę podejmują, nie szczędząc trudów i ofiar, stają się automatycznie „winni”.

Nie jest to żadna nowość. Sto lat temu „winni” byli Legioniści, którzy, chcąc nie chcą, samym swoim wyborem, postawą demaskowali oportunizm części dobrze przystosowanych do warunków niewoli rodaków. Odium „złych Polaków”, niebezpiecznych szaleńców ciążyło na nich w pewnych środowiskach przez całe dwudziestolecie międzywojenne. „O, żołnierze Pana Marszałka!” – pisała we wspomnieniach Kazimiera Iłłakowiczówna, pełniąca przez wiele lat rolę sekretarza osobistego Józefa Piłsudskiego – „Z wad waszych kręcono na was bicze; potknięcia się nóg o strzaskanych na wojnie gołeniasz, liczono ze śmiechem; klęski wasze w zmaganiu się z objętą pracą obwieszczano szyderczo; trud wtaczania bezwładnej, obwieszzonej trutniami, ojczyzny na szczyt – wytykano palcem jak przestępstwo. Jakże cieszone się, kiedy byliście bezspornie w czemkolwiek winni, jakże ubolewano, kiedy się wam coś udało... Choćby się udało dla ojczyzny, choćby się udało ojczyźnie przez was, żołnierze pana Marszałka...”.

Nie ludźmy się, bycie Polakiem to nie romantyczna bajka, to nie sielanka, lecz zobowiązanie, to ciężar. Przeszłości nie da się wymazać.

Jak ważne jest, byśmy nie dali się emocjonalnemu szantażowi. Byśmy odzyskali zwykły, niezakłamany język ludzi wierzących, katolików, ludzi, dla których wiara nie jest tylko rodzinnym obyczajem czy patriotyczną tradycją. Tacy ludzie chcą po prostu traktować poważnie prawdy wiary, by „przeobrazić wiarę z mglistego uczucia w siłę przewodnią” – jak stwierdzał Vittorio Messori, nawrócony u progu dorosłego życia sceptyk i liberał, wychowywany i kształcący się w atmosferze całkowitej laickiej – w siłę pozwalającą zajmować postawę bezkompromisową wobec każdego kłamstwa, prowadząc konkretną walkę, która zawsze przystoi katolikowi. Tym prawdziwym przeciwnikiem człowieka wierzącego nie jest nigdy drugi człowiek, lecz bezbożność, niereligijność, bluźnierstwo, życie bez Boga. Przyjmują one dziś tysiące masek, stroją się w setki kostiumów. Prowadzą nieustającą teatr. Trzeba ukazywać maskaradę, która niszczy życie duchowe i cywilizację jako taką; tę, którą odziedziczyliśmy po przodkach. Po to, byśmy mogli odzyskać – a może też w miejscach najbardziej zdewastowanych, odbudować – naszą ojczyznę duchową, Christianitas, bez której, co przeciw oczywiste, narażony jest także byt naszej ojczyzny ziemskiej.

Problem jest bowiem nie politycznej natury, lecz duchowej. Modelem są faryzeusze z czasów Jezusa. Oni pierwsi padli ofiarą fałszywego widzenia rzeczywistości. Nie byli w stanie ani chwili dłużej znieść obecności Jezusa. Jezus był winien, bo odbierał im spokój, pozbawiał ich wygodnej pozycji moralizatorów, obnażał dwulicowość. Był niebezpieczny, groźny. Wyrok musiał zapaść nieodwołalnie. On musiał zniknąć, wcześniej osądzony i publicznie znieważony, opluty i wyszydzony.

Koncentrując się na bliźnich, łatwo w nich dostrzeżemy domniemaną przyczynę naszych porażek. Gdy wypieramy się autorstwa naszych upadków i zaniedbań, to oni stają się idealnym alibi dla nas. Skutek jest murowany: „To nie ja, to ona podała mi jabłko...”. Obraz winowajcy, który tworzymy w naszej głowie, którym nasycamy wyobraźnię, rośnie i potwornieje. Ten, kto nas irytuje, złości, przestaje wtedy być tym, którego trzeba znosić cierpliwie, wytrzymywać denerwujące niekiedy zachowanie, lenistwo, głupotę czy nawet nielojalność, komu trzeba pomagać, by był bardziej stabilny. Staje się kimś, kogo trzeba za to wszystko ukarać, wyrzucić, zdeptać. Wcześniej czy później stanie się on dla nas totalnym zagrożeniem, śmiertelnym wrogiem, którego trzeba zniszczyć.

Pewien francuski ksiądz katolicki zauważa z całą prostotą, jaki jest sposób, by nie dać się spętać przez dwuznaczną zawilść tropienia u innych wad i słabości: „Nie jesteśmy Bogiem – konieczne jest więc, byśmy poszukiwali naszego celu poza nami samymi. Popychając nas do wykroczenia poza nas samych, miłość przywraca ład w naszej naturze oraz pozwala na normalne i właściwe ukierunkowanie korzystania z wszystkich naszych władz. Kluczem do szczęścia, oddechem duszy i naszym spełnieniem jest pragnienie dobra innych, nawet kosztem naszego własnego interesu” (Yves le Roux).

Po czterech latach rządów Prawa i Sprawiedliwości możemy powiedzieć, że wiele w naszym kraju się zmieniło. Lżej jest, jakby powietrza przybyło. Wielu Polaków pozbyło się poczucia zagrożenia, które towarzyszyło im na co dzień. Utrwała się nadzieja na dobry kurs we wszystkich niemal dziedzinach życia kraju. Nie są to marzenia, puste obietnice, fantastyczne projekty, na których realizację życia nie starczy. To są rzeczy prawdziwe, odczuwalne każdego dnia – owoc pracy intelektualnej grona twardych i odpowiedzialnych ludzi, którzy znaleźli się przy władzy. Warto okazać im szacunek i wdzięczność. Po to mamy wolną Polskę. Po to mamy wiarę. Żeby kochać, nie nienawidzić. ■

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl

eprasa.pl 7ae073aa23



Ryszard Czarnecki

Kontrowersyjny Nobel i ciężki los Ossich

Brexitek powoduje, że trawestując Boya-Zeleńskiego: „paraliż postępowy najrozsądniejsze trafia głowy”. Oto bowiem Niemiecka Izba Przemysłowo-Handlowa (DIHK) w swoim najnowszym rocznym raporcie uznała, że po wyjściu Londynu z Unii „mogą powstać stosunki celne UE z Wielką Brytanią przypominające te z Kambodżą czy Mongolią”. Cóż, nawet nad wyraz zdroworozsądkowi (pomijając kwestię imigrantów) Niemcy zupełnie potracili głowy albo odlecieli w kosmos. Z drugiej strony niemiecka nerwowość ma pewien kontekst: oto bowiem firmy z RFN stały się ofiarami... wojny handlowej Chiny-USA. Aby bowiem niemieckie firmy mogły dowieść na przykład amerykańskim służbom celnym, że ich produkcja ma miejsce nad Renem, a nie nad Jangcy, muszą mieć tzw. świadectwo pochodzenia. Uchroni je to przed sankcjami celnymi. Już w zeszłym roku liczba owych „świadectw” wzrosła do 1 mln 430 tys.

Piszę te słowa w Strasburgu, a stąd rzut beretem do Niemiec. Ostatnio nawet uroczystości NATO-wskie urządzono po obu stronach przechodzącej tuż za Strasburgiem granicy – także w niemieckim Kehl. Dopiero co nasi zachodni sąsiedzi świętowali 29. rocznicę zjednoczenia obu państw niemieckich. Pesymistycznie zabrzmiało wystąpienie z tej okazji kanclerz (po raz czwarty!) Merkel, która stwierdziła, ni mniej ni więcej, że większość Niemców z dawnej NRD, a więc „Ossi”, w dalszym ciągu czuje się obywatelami drugiej kategorii... Ba, mniej niż 50 proc. jest zadowolone z ustroju demokratycznego! Te dane robią wrażenie, ale też dowodzą swojej beznadziejności Republiki Federalnej, która w myśl maksymy „dwa państwa – jeden naród” dokonała połączenia NRD z RFN (a właściwie absorpcji komunistycznych Niemiec przez Niemcy kapitalistyczne), zafundowała swoim Niemcom Wschodnim duży wzrost gospodarczy, ale nie umiała wytworzyć dostatecznych więzów narodowych czy tożsamościowych. Problem leży też w tym, że owe kwestie tożsamościowe mogą w szybkim tempie rozstrzygnąć muzułmanie nad Sprewą i Renem,

bo ich liczba wzrasta, zdaje się, szybciej niż towarzyszące procesowi imigracji wątpliwości niemieckich elit...

Żeby nie było, że i tym razem tylko o Niemczech, teraz słów parę o państwie zupełnie, a to zupełnie innym od RFN – czyli o... Austrii. Tak, to była ironia. Oto bowiem 15 lat po literackim Noblu dla, pozał się Boże, Elfriede Jelinek nagrodę tę otrzymał pisarz i tłumacz Peter Handke. O literaturze Herr Handke nie wspomnę jednak, bom nie krytyk, ale co mnie zafrapowało, to fakt, że laureat Handke nie tylko wyraża swoje poglądy polityczne (do czego ma prawo), lecz także robi to w sposób dość „hardkorowy”. Oto bowiem przed ćwierćwieczem, podczas wojen wszystkich ze wszystkimi na Bałkanach, ów pisarz poparł... serbskiego zbrodniarza wojennego Slobodana Miloszevicia. Gdyby pan pisarz nie był Austriakiem, tylko Polakiem, a do tego jeszcze sympatykiem PiS, to dopiero byłaby wobec niego jazda bez trzymanki i modelowa nagonka. Ale jak się wybaczyło Günterowi Grassowi namiętny młodzieńczy romans z Hitlerjugend, to dlaczego nie można wybaczyć sąsiadowi – Austriakowi – fascynacji czystkami etnicznymi na Bałkanach oraz ich współautorem.

Wracając nad Ren: systematycznie spada tam wzrost PKB, a teraz na dodatek skurczył się niemiecki eksport i to aż o 200 mld euro w porównaniu z rokiem ubiegłym. Czy w związku z tym znajdzie się jakiś niemiecki paprykarz, który wzorem paprykarza polskiego zada fundamentalne pytanie „Frau Kanzlerin, jak żyć?”. Ba, jakby tego było mało, obniżyły się zarobki szefów 30 największych korporacji w Niemczech. Ich pensje spadły o 2 proc. Z głodu jednak korporacyjne elity nie umrą, bo prezesi firm notowanych na DAX (giełdowy indeks największych firm w RFN) inkasowali średnio około 6 mln euro rocznie, a więc pół miliona euro miesięcznie. Szefowie Rad Nadzorczych też będą mieli mniej – tyle że ich wynagrodzenie to „raptem” 325 tys. euro rocznie.

Cóż, trudno być w Niemczech w dzisiejszych czasach wilkiem z Wall Street. „Gorszym” Niemcem z NRD też niełatwo ...





Piotr Lisiewicz

Hokejowy kij złamany w Katyniu

„Zawsze mówiłaś, że przestrzegam zasad obowiązujących w sporcie, niczym rycerz swego kodeksu. To prawda. Wychowano nas w duchu *fair play* i uczono poszanowania przeciwnika. To, co z nami uczyniono, nie podlega żadnym zasadom” – pisał hokeista Aleksander Kowalski w liście do żony Janiny z obozu w Kozielsku. Porucznik Kowalski był dwukrotnym olimpijczykiem, wicemistrzem Europy, a przede wszystkim prekursorem hokeja na lodzie w Polsce, jednym z najlepszych polskich zawodników w historii tej dyscypliny. „Januś, pilnuj Smolusków [dzieci – przyp. P.L.] i siebie, o mnie myśl tak, jak powinno się myśleć, o żołnierzu” – sprowadzał jej rozpacz do właściwych żonie żołnierza Rzeczypospolitej proporcji.

„W poniedziałek, w godzinach wieczornych, odbył się rewanżowy mecz w hokeju na lodzie pomiędzy drużynami Stanów Zjednoczonych i Polski. Mecz skończył się porażką drużyny polskiej w stosunku 0:5. W pierwszym meczu ze Stanami przegraliśmy 1:4. Mecz powyższy był najszybszym wśród rozegranych dotychczas spotkań olimpijskich. W dwóch pierwszych tercjach Polacy byli drużyną zupełnie równorzędną. Amerykanie musieli dokonywać cudów, aby zdobyć dwie bramki. W pierwszej tercji schodzi z boiska Aleksander Kowalski, z kontuzją oka. Po krótkiej przerwie wraca jednak na boisko i walczy dalej” – relacjonował „Kurier Warszawski” z 10 lutego 1932 roku.

► Zawziętość

Bez tej zawziętości Polacy nie tylko nie odnieśliby olimpijskich sukcesów, lecz w ogóle nie pojawiliby się na Zimowych Igrzyskach w Lake Placid, gdzie odbywał się relacjonowany mecz. Hokeista Kazimierz Sokołowski, lwowiak po wojnie mieszkający w Tarnowie, wspominał w 1989 roku, po niemal 60 latach, na łamach krakowskiego „Tempa”: „Na igrzyska w Lake Placid płynęliśmy do Ameryki statkiem. Długo nie mieliśmy pieniędzy na podróż, bo PKOl był ubogi. Pomogła nam Polonia amerykańska, zwłaszcza Jan Styka, syn słynnego malarza, współtwórca Panoramy Racławickiej. Zebrali pieniądze, mogliśmy zostać olimpijczykami”.

W Lake Placid Polacy zajęli ostatecznie czwarte miejsce, ocierając się o medal. Ostatni mecz z Rzeszą Niemiecką był bardzo zacięty. Niemcy wygrali go 2:1. Trener polskiej reprezentacji, Tadeusz Sachs, w wywiadzie powiedział, że jednym z najlepszych graczy narodowej drużyny, był obrońca Aleksander Kowalski – pięciokrotny mistrz Polski, zawodnik AZS Warszawa. „Jest bardzo zwinny, szybki i nie boi się przeciwnika. Myślę, że na kolejnych igrzyskach w 1936 i 1940 Polska nie będzie schodzić z podium, mając w składzie tak dobrych graczy” – przewidywał.

Rzesza Niemiecka, podobnie jak Związek Sowiecki postawiły jednak na zupełnie inne od sportowych sposoby konfrontacji. W 1940 roku Aleksander Kowalski nie mógł być na Olimpiadzie nie tylko dlatego, że się nie odbyła...

► „Zginął na obczyźnie”

W PRL nie wolno było mówić prawdy o losach Aleksandra Kowalskiego. Jak pisał w „Dzienniku Polskim” Jan Otałęga, znany krakowski dziennikarz sportowy, w prasie PRL, gdy chodziło o sportowców zabitych przez Niemców, podawano datę i miejsce śmierci. Natomiast w przypadku tych, którzy zginęli

w Katyniu, albo fałszowano tę datę, pisząc o 1941 roku, by przypisać zbrodnię Niemcom, albo posługiwano się zagadkową formułką „zginął na obczyźnie”.

Pierwszy tekst mówiący prawdę o losach Kowalskiego ukazał się dopiero w 1989 roku, choć to nie było pewne. Otałęga, jego autor, wspominał: „Kolumna gazety z tekstem powędrowała do... cenzury. Przypomnę, był rok 1989, cenzura PRL działała jak zwykle, kontrolowała wszelkie teksty. W redakcji z duszą na ramieniu czekaliśmy na werdykt. W tekście przecież padły zakazane słowa: »Katyni«, informacja, że Kowalskiego zabiło NKWD, prawdziwa data śmierci 1940 r. Takich stwierdzeń dotąd oficjalnie w druku nie było, a cenzura interweniowała nieraz w bardziej błahych sprawach. Tymczasem tekst wrócił z cenzorskiego biurka bez ingerencji, można było drukować. Znak, że powiały nowe wiatry: w Moskwie trwała pierestrojka, w Polsce było już po obradach Okrągłego Stołu”.

► Ruch, życie, wesołość

„Do chwili wybuchu wojny byliśmy normalną, szczęśliwą rodziną. Nasze życie z dwiema córeczkami płynęło spokojnie, było piękne i radosne. Mieszkaliśmy na warszawskiej Sadybie, nazywanej ogrodem Warszawy, projektowaliśmy wkrótce kupno domu. Olek był wspaniałym mężem i ojcem, pogodny, opanywany, pełen humoru. Lubił ruch, życie, wesołość, zabawy z dziećmi. Wszelchstronnie wysportowany, uczył starszą Hanię jazdy na łyżwach, nartach, pływania” – pisała Janina Kowalska, żona wielkiego sportowca. Jej wspomnienie odnajdujemy na stronie swiadkowiehistorii.pl.

Aleksander Kowalski urodził się 7 października 1902 roku w Warszawie. Był synem Józefa Kowalskiego i Leokadii z Kowczyńskich. Uczył się w Gimnazjum św. Stanisława Kostki, a potem studiował na Wydziale Bankowym Szkoły Głównej Handlowej. Ale w tym samym czasie zaczęła się jego hokejowa pasja. „Hokej lodowy” – tak nazywano wówczas w Polsce tę dyscyplinę. Niekiedy zastępczo używano nazwy „hokej kanadyjski”. Drużyny z ojczyzny hokeja Kanady i Stanów Zjednoczonych były wówczas poza zasięgiem Europejczyków. Na ziemiach polskich dyscyplinę tę zaczęto uprawiać jeszcze w XIX wieku. W 1869 roku założono Lwowskie Towarzystwo Łyżwiarские. W klubie Cracovia hokej na lodzie w wersji „bandy”, czyli z użyciem piłki zamiast krążka, uprawiano co najmniej od 1910 roku. Na hokejowy krążek przestawiono się w 1912 roku.

Na serio uprawianie hokeja zaczęło się jednak dopiero w niepodległej Polsce, a Kowalski należał do pierwszych hokeistów z prawdziwego zdarzenia. Grał na pozycji obrońcy w AZS Warszawa od 1923 ro-

ku, czyli jeszcze przed powstaniem Polskiego Związku Hokeja na Lodzie, do czego doszło 22 lutego 1925 roku. W tym samym roku powołano męską kadrę narodową, w której zawodnicy warszawskiego AWF wiodli prym. Kowalski reprezentował ten klub przez dziesięciolecie – w latach 1923–1933. W tym czasie zdobył z drużyną aż pięć tytułów mistrza Polski.

► Para najlepszych obrońców świata

Od 1926 roku grał w reprezentacji Polski. Mając znakomite warunki fizyczne – 186 centymetrów wzrostu – został jej najlepszym obrońcą. Miał wielki udział w jej sukcesach. Dwa razy wystąpił na mistrzostwach świata i cztery razy na mistrzostwach Europy – w tym w 1929 roku, gdy Polacy zostali wicemistrzami kontynentu. „Przegląd Sportowy” tak pisał wówczas o grze polskich obrońców: „Para naszych obrońców Kowalski i Kulej jest ze sobą tak zgranych, że przez cały przeciąg meczu nie zrobili ani jednego błędu taktycznego. Ciekawe, że Kulej jest lepszy w defensywie – natomiast Kowalski przewyższa swojego kolegę w ataku, doskonale dryblujący – i nieraz dojeżdżając do bramki przeciwnika”. Z kolei po przegranym meczu o złoto czytamy: „Udane wypady Czechów świetnie likwidują Kowalski i Kulej, którzy na meczu tym byli bodajże najlepszą parą obrońców całego turnieju”.

O znaczeniu sukcesu dziennikarz Przeglądu Sportowego pisał: „Sport polski doczekał się wspaniałego sukcesu na forum międzynarodowym. Na stadionie lodowym Budapesztu w walce z reprezentacjami 8-miu państw, polski zespół hokejowy zdobył zaszczytny tytuł wicemistrza Europy. Cała prasa zagraniczna stwierdza zgodnym chórem, że Polska jest dziś obok Czechosłowacji najlepszym zespołem hokejowym Europy”.

► Reprezentant Europy

Jak dodawano, „fakt wywalczenia przez Polskę tytułu wicemistrza Europy, na oczach przedstawicieli kilkunastu narodów, zgromadzonych na kongresie międzynarodowym hokeja lodowego, wzmacnia potężnie ogólny autorytet sportu naszego za granicą”.

To nie był incydentalny sukces. Rok wcześniej, podczas igrzysk zimowych w St. Moritz polska reprezentacja hokejowa znalazła się w grupie III wraz ze Szwecją i Czechosłowacją. Mecz ze Szwecją Polacy zremisowali 2:2, mając jednak dużą przewagę nad bardziej renomowanym rywalem. Wściekle atakujący Polacy oddali 20 strzałów, podczas gdy Szwedzi tylko 8. Po tym kapitalnym meczu ze Szwecją Polska zaczęła być faworytem do medali, obok... Kanady. Jednak w kolejnym meczu wyczerpani polscy hokeiści przegrali z Czechosłowacją 2:3.

W 1930 roku Aleksander Kowalski znalazł się wraz z kolegami Józefem Stogowskim i Tomaszem Adamowskim w Reprezentacji Europy, która zmierzyła się z reprezentacją Kanady. Jego drużyna zdobyła też tytuł akademickiego mistrza świata.

► Krynica – bajkowe miasteczko hokeja

Popularyzowane wówczas przez polskie władze sporty zimowe zyskiwały renomę, piękniały też polskie kurorty zimowe. W 1931 roku mistrzostwa świata odbyły się w polskiej Krynicy. Polską reprezentację zdominowali zawodnicy AZS Warszawa, Legii Warszawa i Lechii Lwów, Pogoni Lwów, AZS Wilno i TKS Toruń.

Witold Domański w książce „Śladem hokejowego krążka” cytował wrażenia Vico Rigassiego, szwajcarskiego dziennikarza, który pisał: „Kiedy w Krynicy wysiedliśmy z pociągu, myśleliśmy, że jesteśmy krasnoludkami mieszkającymi w cudownym, bajkowym miasteczku. Wszystko było barwne, wszystko lśniło, a wszyscy ludzie byli mili i uprzejmi, że trudno będzie kiedykolwiek spotkać im podobnych”.

W turnieju wzięły udział reprezentacje wszystkich liczących się państw świata w tej dyscyplinie sportu. Spotkania rozegrano na krynickim lodowisku z trybunami, z których część – dla tysiąca osób – posiadała, co brzmi nieprawdopodobnie – zadaszenie i centralne ogrzewanie. Obok znajdowało się lodowisko treningowe, wyposażone w kabiny służące do przebierania się zawodników. Każdy z nich miał swój boks oznaczony tabliczką z nazwiskiem. Tak wyglądał ówczesny ośrodek światowej klasy. Turniej wygrała po raz piąty z rzędu Kanada. Srebrny medal wywalczyła reprezentacja Stanów Zjednoczonych, a brązowy reprezentacja Austrii. Polacy byli na czwartym miejscu.

► „Przyszłość rysowała się w jasnych barwach”

Jak hokeista poznał swoją żonę? Była wtedy jeszcze studentką. Janina Kowalska studiowała filologię polską na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego. Ślub odbył się w 1930 roku. Niebawem przyszła na świat ich pierwsza córka, a w 1938 roku druga.

Po zakończeniu czynnej kariery sportowej, Aleksander Kowalski nadal związany był z hokejem. Został sędzią i działaczem Polskiego Związku Hokeja Lodowego. Podobnie jak inni wielcy polscy sportowcy z tamtego czasu, Kowalski pracował zawodowo – najpierw jako urzędnik w Ministerstwie Kolei, później w Komunalnej Kasie Oszczędności miasta stołecznego Warszawy. Na początku 1939 roku awansował na stanowisko dyrektora V Oddziału

KKO. „Przyszłość rysowała się w jasnych barwach” – komentowała ten zawodowy i finansowy awans Janina Kowalska.

Gdy chodzi o szkolenie wojskowe, Kowalski miał stopień porucznika. Po maturze ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie, a w latach 1931–1934 przebywał na obozach wojskowych w okolicach Baranowicz, gdzie uzyskał awans na porucznika.

► „Tylko niespełna 9 lat trwało nasze szczęście”

Jak wspominała Janina Kowalska, „latem 1939 roku, pewnego wieczoru Olek powiedział mi: »Będzie wojna, pójde i nie wróce«. Walkę w obronie Ojczyzny uważał za swój święty obowiązek. Mundur, czapka, buty były już przygotowane, aby mógł być w każdej chwili gotowy na wezwanie”.

Wezwanie pojawiło się. „Opatruję go jeszcze »na drogę« wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, fotografiami moją i dzieci i srebrną papierośnicą (ma go ochronić przed strzałami w serce!). Ostatnie wspólne chwile i ostatnie polecenia, troska o mnie i o dzieci: »Wierzę, Januś, że wychowasz je na dzielnych i uczciwych ludzi« – tak pożegnanie wspominała żona. „Tylko niespełna 9 lat trwało nasze szczęście – tak mało, tak wiele... I odtąd będę już zawsze sama, samiuteńka w chwilach grozy i niebezpieczeństwa, sama będę brać na siebie odpowiedzialność za los i życie naszych dzieci” – myślała.

Ta odpowiedzialność miała być wyjątkowo trudna: „Bombardowanie, braki żywności, mleka dla małej Ewy. W pokojach wyleciały szyby, chronimy się w holu i to może ratuje nam życie, bo do pokoju wpadły odlamki pocisku rozbitego przed naszym domem, przebiły grube ściany szafy i wszystkie ubrania”.

Zmobilizowany porucznik Kowalski 3 września 1939 roku udał się przez Chełm do Równego, miejsca stacjonowania 13. Kresowej Dywizji Piechoty. To do jej 3. batalionu otrzymał przydział. Po agresji sowieckiej z 17 września dywizja maszerowała przez Hrubieszów na Rawę Ruską w kierunku Lwowa. Z powodu ataku sowieckiego, brygada została skierowana 20 września na Tomaszów Lubelski, skąd miała dotrzeć do lasów Puszczy Solskiej, a stamtąd do Beskidów i na Węgry.

Taki był plan, natomiast od 21 do 22 września toczyła ona ciężkie walki z niemiecką 28. Dywizją Piechoty o Łaszczów, Werechanie, Pawłówkę, Rachanie. Starła się zdobyć Tomaszów. 23 września atak zalał się, a dywizja się rozproszyła. Porucznik Kowalski został aresztowany 25 września w Dubnie. Stamtąd trafił do obozu w Kozielsku.

► „Januś, pilnuj Smolusków”

Żona pełna najgorszych myśli czekała na jakiegokolwiek informacje na temat losów męża. Nadzieja wróciła przed świętami Bożego Narodzenia. Janina Kowalska notuje: „przed świętami Bożego Narodzenia list od niego z obozu w Kozielsku, z niewoli. List pełen nadziei, że może wkrótce się zobaczymy. Natychmiast wysłałam przez PCK list i nasze fotografie (list ten otrzymał, jak dowiem się po latach z »Dokumentów zbrodni katyńskiej«)”.

Potem były kolejne sygnały, że mąż żyje. Wiosną dotarł do niej list pisany... cztery dni po wyruszeniu na wojnę – 7 września 1939 roku – z Równego, w dniu, w którym dopiero dotarł do swojej formacji. Jak się okazało, list wędrował przeszło pół roku, bo był w rękach cenzury niemieckiej. „Januś, pilnuj Smolusków (tzn. dzieci) i siebie, o mnie myśl tak, jak powinno się myśleć, o żołnierzu” – pisze.

Pod koniec marca 1940 roku Janina Kowalska otrzymała z prywatnego Biura Poszukiwania Rodzin kartę pocztową z datą 11 lutego 1940 roku, pisaną z Kozielska do tegoż Biura z prośbą o odszukanie jej oraz dzieci. „Za pośrednictwem tego Biura wolno mi było przesłać tylko 20 słów, które miały być zamieszczone w zbiorowym piśmie do obozu. Była to ostatnia wiadomość od Olka” – wspominała.

Potem już była cisza, coraz bardziej złowroga. Wspomina: „Przezwyciążam ból, bo mam dzieci, które muszę wychować, tak, jak powiedział Olek wyjeżdżając: »na dzielnych i uczciwych ludzi« – to pozostało przykazaniem naczelnym mego życia. Gnieździćmy się w jednym pokoju, opalając go żelaznym piecykiem. Reszta mieszkania jest nieopalaną, pękają dwa razy rury w łazience, woda zalewa mieszkanie. Żadnej wiadomości od Olka, dochodzą do nas złe wieści: Polska między dwoma wrogami”.

► „Nędzne strzępy oderwane piorunem”

Modlitwa napisana przez jeńców Kozielska wspólnie z ks. ppłk. Czesławem Wojtyniakiem, nazwana później „Litanią Katyńską”, znaleziona podczas ekshumacji w Katyniu przy por. Witoldzie Klarnerze, głosiła:

Z głębi udręczonych serc wołamy do Ciebie, Panie!

Nędzne strzępy oderwane piorunem Twego wyroku od ziemi ojczystej i wichrem Twego gniewu ciśnięte w daleką obczyznę. Przez przyczynę Panny Najświętszej Matki Boga Żywego, która od wieków zlewać raczyła na Polskę z Jasnej Góry, Ostrej Bramy czy Zbrzydowskiej Kalwarii strumienie łask swoich – Błagamy Cię, Panie:

o moc cierpliwości i wytrwania o możliwość dalszej walki orężnej za Polskę o opiekę Twą Boską nad krajem zbezczeszczonym przez wrogów.

O dar wiary niezłomnej w tryumf Twego imienia.

O dar nadziei, że nikłymi siłami swemi potrafimy się przyczynić do tego tryumfu.

O dar miłości czynnej i żywej dla udręczonej Ojczyzny

O dar miłosierdzia dla naszych nieprzyjaciół

O Polskę wolną i niepodległą...

Z dokumentów wynika, że na podstawie listy NKWD z 3 kwietnia 1940 roku, poz. 31 porucznik Aleksander Kowalski został wywieziony do Łasku Katyńskiego i tam zamordowany. Zidentyfikowano go pod numerem 2129.

► „Pamiętki zakopuję w dwóch walizkach w ogródku”

Jakie były losy jego rodziny po katyńskiej zbrodni? Janina o śmierci męża dowiedziała się, gdy na wiosnę 1943 roku w gazetach zaczęto codziennie drukować listy – wykazy „pomordowanych w ZSRR w lesie Katyńskim oficerów polskich”. „Tak się boję! Pewnego kwietniowego dnia, gdy getto się pali, na liście tej zamieszczone jest nazwisko Olka – nr 2129. Staram się nie ugiąć pod tym ciosem, bo jestem potrzebna dzieciom, ale jak mogę żyć bez Niego?” – zapisuje.

Janina Kowalska przeżyła Powstanie Warszawskie, w czasie którego ukrywała powstańców, nawet gdy groziła za to śmierć. „Do domu przyjechałam kilka osób – uciekinierów ze zbombardowanych domów z innych dzielnic, jest nas 11 osób, wody już nie ma, zasypujemy okna do suteryn – tam będzie schron. Cenniejsze rzeczy, fotografie, pamiętki – zakopuję w dwóch walizkach w ogródku” – czytamy w jej wspomnieniu.

Przeprana powstania wygląda tak: „Każą nam iść pod eskortą i razami kolb przez płonącą Warszawę całą nosz prawię: przez Służew, Okęcie, Ochotę na Dworzec Zachodni. Ewa, biedactwo, zasypia idąc. Trzymamy ją obie z Hanią pod ręce, boję się, by nie zgubić dzieci. Wywożą nas do obozu w Pruszkowie”.

Jakie były powojenne losy żony Aleksandra Kowalskiego? „Wiosną 1946 roku zaczęłam pracować w Warszawie. Dziewczynkami w Radomiu opiekowała się matka Olka, która wraz z jego siostrami wróciła z obozu niemieckiego w Ravensbrück – straciły również absolutnie wszystko. Rodzina odnajduje się, ale dwóch ciotecznych braci poległo w czasie działań wojennych i powstania. Szczególnie osierocone jesteśmy jednak my. Smutek i żal zaciążył nad naszym życiem”.

W końcu mogła zamieszkać w Warszawie. Na jakich warunkach? Janina opisuje to szczegółowo: „W sierpniu 1946 roku dzięki pomocy brata otrzymuję kwaterekowe małe mieszkanie (piec, bez łazienki) i mogę przywieźć dzieci do Warszawy. Powoli odbudowuję nasze życie, na zawsze jednak już okaleczone. Trauma wojenna, spowodowana w szczególności straszną śmiercią męża w Katyniu, wypędzeniem z domu i utratą całego naszego majątku naznaczyła trwale nasze życie”.

► Awansował Kowalskiego na kapitana, zginął w Smoleńsku

W PRL wielki polski sportowiec skazany miał być na zapomnienie. Jego upamiętnianie było możliwe w bardzo ograniczonym stopniu. Tam, gdzie zawsze byliśmy wolni. I tylko dzięki uporowi żony tablice upamiętniające Aleksandra Kowalskiego pojawiły się w Warszawie w kościele św. Antoniego z Padwy przy ulicy Senatorskiej w 1977 roku i na ścianie „Golgota Wschodu” w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach.

Po 1989 roku, gdy o Katyniu można było już mówić, jego nazwisko znalazło się na tablicy „Sportowcy Polscy Olimpijczycy zamordowani przez NKWD w Katyniu i Charkowie wiosną 1940” umieszczonej w bazylice katedralnej św. Michała i św. Floriana w Warszawie, a także na tablicy „Olimpijczycy Polscy polegli i pomordowani w latach 1939–1945” w Akademii Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

5 października 2007 roku minister obrony narodowej Aleksander Szczygło, który później zginie w Smoleńsku, awansował go pośmiertnie na stopień kapitana. W listopadzie 2008 roku ulica jego imienia powstała na warszawskim Bródnie. Zgodnie z oszczędnościowymi obyczajami radnych w III RP, nazwę ulicy odebrano w tym celu komunistycznemu działaczowi, który... również nazywał się Aleksander Kowalski.

Trzy dni po tragedii smoleńskiej, 13 kwietnia 2010 roku, w ramach akcji „Katyń... pamiętamy” / „Katyń... Ocalić od zapomnienia”, Zespół Szkół w Słupnie zasadził Dąb Pamięci i ustawił kamień upamiętniający Aleksandra Kowalskiego. W uroczystości wzięły udział jego córki Hanna Kowalska-Grzebuła i Ewa Osiecka.

Wkrótce jego nazwisko zostało niespodziewanie w wielu mediach przywołane, bo w Smoleńsku zginął prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Piotr Nurowski. Wspomną one, że Nurowski leciał do Katynia, by uczcić 263 sportowców, którzy tam zginęli. Wśród ośmiu olimpijczyków spośród nich wymieniany jest Aleksander Kowalski. ■

„Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować”
Ewangelia św. Jana (J 15, 20)

BAĆ SIĘ TRZEBA TYLKO ZDRADY CHRYSTUSA

Dariusz Jarosiński



35 lat temu został zamordowany ks. Jerzy Popiełuszko, legendarny kapelan „Solidarności”, męczennik za wiarę i ojczyznę, błogosławiony Kościoła katolickiego.

W czasie stanu wojennego sprawował Msze św. za Ojczyznę w warszawskim kościele św. Stanisława Kostki. W każdą ostatnią niedzielę miesiąca stawał przy ołtarzu niemal przed całą Polską. Na Msze za Ojczyznę przyjeżdżały tysiące wiernych z różnych stron kraju. Wierni, dla których nie starczyło miejsca w świątyni, zajmowali miejsca w pobliskim parku, na ulicy, wokół parkanu. W homiliach duchowny mówił o obronie ideałów „Solidarności”, a także o sprzeciwie wobec przemocy. Publicznie napiętnował niegodziwość komunistycznej władzy, wystrzegając się przy tym głosem nienawiści do przeciwników – walczył ze złem, a nie ze sprawcami zła. Siłą Mszy była wiara, a nie polityka. W jednej z homilii wygłoszonych podczas Mszy za Ojczyznę ksiądz Jerzy powiedział, iż współczuje ludziom, którzy służą komunistycznemu systemowi, ponieważ jego prawdziwym celem jest walka skierowana przeciwko Bogu i człowiekowi. Słowa „Zło dobrem zwyciężaj” zaczerpnął z „Listu do Rzymian” św. Pawła, stały się one jednak tak nierozzerwalnie związane z życiem i śmiercią kapelana „Solidarności”, że to jemu przypisujemy ich autorstwo. Ksiądz Jerzy miał charyzmat mobilizowania ludzi do wiary, nadziei i miłości – mówił jeden z zeznających w procesie beatyfikacyjnym kapłana. W czasie Mszy za Ojczyznę panowała atmosfera pokoju i modlitwy. Kapelan „Solidarności” nie uczynił nic, co mogłoby zakłócić porządek lub bezpieczeństwo publiczne. Motyw nawoływania do pokoju powtarza się w zeznaniach wszystkich osób, które uczestniczyły w Mszach.

Ksiądz Jerzy sam był zdumiony: „To niesamowite, jak ci ludzie mogą wystać ponad dwie godziny na trzęskającym mrozie. A wszystko po to, by znaleźć się bliżej Kościoła albo wrócić do wiary. Nie było tygodnia, by ktoś dorosły nie poprosił o chrzest, nie wyspowiadał się po dziesięciu czy dwudziestu latach”. W parafii prowadził działalność charytatywną, do której wdrażał młodych ludzi. Wspomagał prześladowanych i internowanych oraz ich rodziny. W podziemiach kościoła św. Stanisława Kostki gromadzone były m.in. żywność i leki.

► „Zrób coś z nim, niech przestanie szczeekać”

Po wprowadzeniu stanu wojennego ksiądz Jerzy był nieustannie szykanowany i inwigilowany. Funkcjonariusze SB wszczęli przeciwko kapłanowi operację „Popiel”, zwerbowali do współpracy agentów, również spośród księży, którzy donosili na kapelana „Solidarności”, m.in. ks. Michała Czajkowskiego TW „Jankowski”, ks. Andrzeja Przekazińskiego TW „Kustosz”, ks. Jerzego Czarnotę TW „Roland” i „Poeta”. W grudniu 1983 roku

Kiedy zabrakło „Solidarności”, bo komuniści ją rozwiązali, kiedy zabrakło działaczy związkowych, liderów opozycji, bo komuniści ich uwięzili, wówczas ten wątły, słabego zdrowia kapłan stał się przywódcą duchowym, przewodnikiem narodu, wrogiem numer jeden komunistów. To dzięki księdzu Jerzemu Popiełuszce w czasie stanu wojennego serce Polski biło w żoliborskim kościele św. Stanisława Kostki, a nadzieja w sercach tysięcy Polaków nie gasła.

kapelan „Solidarności” został aresztowany. Prokuratura Wojewódzka w Warszawie zarzuciła mu „nadużywanie w okresie od 1982 r. wolności sumienia i wyznania na szkodę PRL przy sprawowaniu obrzędów religijnych”. W lipcu 1984 roku, po interwencji sekretarza generalnego Episkopatu Polski abp. Bronisława Dąbrowskiego, postępowanie zostało umorzone i ksiądz Jerzy został zwolniony.

Prymas Józef Glemp, starając się zachować dobre stosunki z komunistyczną władzą, próbował w sposób niezwykle ostry wpłynąć na zmianę postawy żoliborskiego kapłana. Chciał też wysłać księdza Popieluszkę na studia do Rzymu. Ksiądz Jerzy miał zawsze tylko jedną odpowiedź: „Nie, ja nie zostawię tych ludzi. Tu jest moje miejsce, ja nigdzie nie wyjadę”.

Pierwsza próba zamachu na życie księdza Jerzego miała miejsce 13 października 1984 roku i zakończyła się niepowodzeniem. 19 października 1984 roku, w drodze powrotnej z Bydgoszczy, gdzie odprawiał Mszę dla ludzi pracy, ksiądz Jerzy został porwany i zamordowany przez funkcjonariuszy SB. Podczas ostatniego nabożeństwa kapłan powiedział m.in. do wiernych: „[...] bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa za parę srebrników jałowego spokoju”. Jedenaście dni później jego ciało wyłowiono z zalewu na Wiśle koło Włocławka. Było ono obciążone workiem kamieni, a ręce duchownego związane tak, by przy każdym ruchu zaciskały pętlę na szyi, w usta miał wepchnięty knebel. Ciało kapłana nosiło ślady torturowania – było jedną, wielką, rozległą raną, z trudem rozpoznawali je najbliżsi. Sekcja zwłok wykazała: wybite trzy zęby, połamanych sześć żeber, wyrwane trzy palce ręki, 61 ran sześciocentymetrowych na całym ciele, połamany nos, wyrwane ucho, powyrywane włosy, przypalenia ciała, wyrwany język, duszenia, zmiążdżone kolano, wyrwane paznokcie, siniaki od uderzenia pałąk. Księdza Jerzego pochowano 3 listopada 1984 roku w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie. W uroczystościach pogrzebowych wzięło udział około 900 tys. wiernych z całej Polski. Była to jedna z największych manifestacji patriotyzmu, przywiązania do dziedzictwa narodowego i religijnego w historii Polski.

W prowadzonym od 27 grudnia 1984 do 7 lutego 1985 roku ustawionym przez MSW procesie toruńskim skazano czterech oprawców, funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa – Grzegorza Piotrowskiego (25 lat pozbawienia wolności), Adama Pietruszkę (25 lat), Leszka Pękale (15 lat), Waldemara Chmielewskiego (15 lat). Wszyscy podlegali kolejnym peerelowskim amnestiom, opuścili dużo wcześniej zakłady karne. Nie ukarano nikogo z ich przelożonych. W 1994 roku sąd uniewinnił z zarzutu współsprawstwa Władysława Ciesionia i Zenona Płatka. Czesław Kiszcak i Wojciech Jaruzelski zagwarantowali sobie bezkarność w czasie rozmów z tzw. opozycją demokra-

tyczną w Magdalence. Jak wynika choćby z akt sprawy „Trawa”, znajdujących się w archiwum IPN, Jaruzelski w lipcu 1983 roku nakazał Kiszcakowi: „Zrób coś z nim [ks. Jerzym – przyp. D.J.], niech przestanie szczebrać”. No i gorliwi podwładni „coś” z nim zrobili.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że za zabójcami z IV Departamentu MSW stali wyżej usytuowani mocodawcy. Prokurator Andrzej Witkowski był bliski w 1991 roku postawienia zarzutów Czesławowi Kiszcakowi i Wojciechowi Jaruzelskiemu, jednak ówczesny minister sprawiedliwości, Wiesław Chrzanowski, odebrał mu śledztwo. Potem śledztwo przywrócono na krótko, ale Witold Kulesza, były szef pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej, ponownie je odebrał w 2004 roku, gdy było blisko ustaleń.

► Poszukiwanie i zacieranie śladów zbrodni

Prokurator Witkowski ustalił wiele nowych faktów dotyczących przebiegu zdarzeń, w efekcie których doszło do zabicia księdza Jerzego. Wersja śmierci duchownego przedstawiona na procesie toruńskim okazuje się nieprawdziwa, zmanipulowana przez podwładnych Kiszcaka. Nawet data śmierci księdza wydaje się nieprawdziwa. W 2008 roku prokurator Witkowski postawił hipotezę, że zanim zabito kapłana, przez pięć dni więziono go i torturowano na terenie bazy wojsk sowieckich koło Kazunia – ksiądz został zamordowany 25, a nie 19 października. W porwaniu kapłana, w opinii Andrzeja Witkowskiego, miało brać udział sześć osób, a nie cztery – dwie pozostałe były z Wojskowej Służby Wewnętrznej, przebieg operacji zaś dodatkowo był monitorowany przez sowieckich oficerów GRU.

Andrzej Witkowski dotarł do zapisu nagrania rozmowy odbytej 30 października 1984 roku, a więc w dniu wydobycia ciała kapłana z Wisły. W rozmowie wzięli udział: „antykomuniści” Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Gerek (przyjaciela ks. Jerzego), a ze strony władz PRL – Wojciech Jaruzelski, Mieczysław Rakowski i Czesław Kiszcak. Ten ostatni, jak to było w jego zwyczaju, nagrywał rozmowę, w czasie której padły zawołowane deklaracje o wspólnym budowaniu przyszłości Polski. Może to był właściwy moment poczęcia tzw. III RP?

Barłomiej Adach, publicysta „Teologii Politycznej”, sformułował tezę, że „W momencie podjęcia decyzji o zabójstwie ks. Jerzego Popieluszki, zamordowany został prawdziwy fenomen etosu „Solidarności” w swoim wymiarze duchowym. Dalszy bieg wydarzeń był już tylko tuszowaniem prawdy”. Był tuszowaniem prawdy, ale też budowaniem na tej zbrodni, na kłamstwie podwalin pod nowy Peerel, system stwarzający dużo lepsze warunki bogacenia się komunistów. Komuniści, mordując księdza Jerzego, osiągnęli swój cel, którego być może nawet się nie spodziewali – na pewno na początku chodziło im głównie o złamanie ducha narodu, opozycji, ale po rozmowach 30 października 1984

roku z Geremkiem i Mazowieckim dostrzegli, że istnieje szansa współpracy z ważną i uległą częścią opozycji. Magdalena była konsekwencją zbrodni na księdzu Jerzym. Czesław Kiszczak okazał się fachowcem najwyższej klasy w swoim bandyckim fachu. Długo jeszcze będziemy jako naród odczuwali skutki jego działań.

Warto sięgnąć przy okazji do tekstu prof. Sławomira Cenckiewicza „Magdalena. Teoria spiskowa, która okazała się prawdą” („Rzeczpospolita” „Plus Minus” 18.10.2013). Widać tutaj czarno na białym, jak po 1985 roku grupa z Lechem Wałęsą na czele realizowała posłusznie polecenia komunistów. We wrześniu 1986 roku Wałęsa zignorował dotychczasowe statutowe podziemne struktury NSZZ „Solidarność” wybrane w 1981 roku, a powołał sobie całkowicie uległą jawną strukturę władzy nad zdelegalizowanym związkiem – Tymczasową Radę „Solidarności”, której skład dobierał, konsultując się ze środowiskiem Kuronia i Michnika.

W oficjalnej wersji, spreparowanej przez resort MSW, mord na księdzu Jerzym został przedstawiony jako prowokacja wymierzona w ówczesne władze PRL na czele z Jaruzelskim i Kiszczakiem.

Analizując przebieg śledztwa prowadzonego przez niezłomnego prokuratora Andrzeja Witkowskiego, widać, że na wyjaśnieniu okoliczności śmierci księdza Popieluszki nie zależało nie tylko uczestnikom paktu w Magdalence, lecz także Kościołowi. Mało tego – zależało im na zatartciu wszelkich śladów. Dzięki redaktorowi Piotrowi Litce, niestrudzonemu dziennikarzowi, publicyście zajmującemu się od wielu lat badaniem okoliczności zabójstwa kapłana, dowiedzieliśmy się m.in. na początku 2017 roku, że ks. Tomasz Kaczmarek, rzymski postulator procesu kanonizacyjnego bł. ks. Jerzego Popieluszki – według akt był zarejestrowany przez SB jako agent o pseudonimie „Calm”. Nie jest to na pewno dzieło przypadku, że akurat osoba uwikłana we współpracę z komunistycznymi służbami obejmuje taką funkcję. Ksiądz Kaczmarek odrzucał na przykład ustalenia wynikające ze śledztwa prowadzonego przez prokuratora Andrzeja Witkowskiego, zaś za prawdziwe uznał zeznania esbeków w czasie procesu toruńskiego: Piotrowskiego, Pękali, Chmielewskiego. Widać, że ciągle żyją i aktywne są osoby pilnujące tajemnicy związanej ze śmiercią kapłana. Piotr Litka mówi wprost: „[...] sprawa ks. Jerzego Popieluszki jest morderstwem założycielskim III RP. Tuż po zakończeniu sterowanego procesu toruńskiego zaczęły się negocjacje z rządu i ówczesnej opozycji. Pojawiły się plany rozmów, które zakończyły się w 1989 roku obradami „okrągłego stołu” (Polskie Radio 24).

Jako znak Boży można odczytać, że niemal w przeddzień 35. rocznicy śmierci księdza Jerzego, 3 października, dotarła do nas wiadomość o zgodzie na beatyfikację Prymasa Tysiądecia – kardynał Stefan Wyszyński zostanie ogłoszony błogosławionym. Prymas Wyszyński pozosta-

wał wierny przez całe swoje życie wezwaniu św. Pawła: „zło dobrem zwyciężaj”. To pod wpływem przykładu Prymasa starał się ją realizować w swym działaniu ksiądz Jerzy Popieluszko. Nie zapominajmy, że całe zdanie św. Pawła brzmi: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” (Rz 12, 21). Nie możemy być bierni, kiedy dzieje się zło.

Obaj ci wielcy kapłani, służący Bogu i ojczyźnie, prezentowali tzw. katolicyzm ludowy polegający na odwoływaniu się do tradycji religijnej i narodowej poprzez nabożeństwa oraz rozbudowaną liturgię, gromadzeniu wokół Kościoła jak najszerzych mas społeczeństwa. Kim bylibyśmy dzisiaj jako naród, gdyby zabrakło Prymasa Wyszyńskiego, jego odwagi, mądrości i roztropności? To on przeprowadził polski naród przez czerwone morze komunizmu, to on powiedział komunistom: *Non possumus!*

Ksiądz Jerzy Popieluszko stanął podobnie jak kardynał Stefan Wyszyński przeciwko komunistom, którzy chcieli zniszczyć naszą narodową tożsamość. W kazaniach mówił, czym są prawda, wolność, przebaczenie, ale zawsze w kontekście Ewangelii. W jednym z nich mówił: „Naród polski nie nosi w sobie nienawiści i dlatego zdolny jest wiele przebaczyć, ale tylko za cenę powrotu do prawdy. Bo prawda i tylko prawda jest pierwszym warunkiem zaufania. [...] Słowa prawdy, życie w prawdzie może kosztować, jest czasami ryzykowne, ale jak mówił prymas kard. Wyszyński: »Tylko za plewy się nie płaci. Za pszeniczne ziarno prawdy trzeba zapłacić«”.

► „Bo przecież najważniejsze w życiu to dać dzieciom Boga”

Źródła świętości księdza Jerzego możemy odnaleźć w silnej ludowej pobożności domu rodzinnego, w suchowolskim kościele, w podlaskiej ziemi, gdzie polskość zapuściła głęboko korzenie. Mieszkańcy tej ziemi bili Moskali w powstaniu styczniowym, bronili niepodległości Polski w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, po roku 1944 stawiali długo opór komunistom. Ostatni Żołnierz Wyklęci w gminie Suchowola zginął z rąk komunistów w walce 30 sierpnia 1952 roku.

Ksiądz Jerzy urodził się 14 września 1947 roku, w święto Podwyższenia Krzyża, we wsi Okopy, leżącej kilka kilometrów od miasteczka Suchowola w powiecie Sokółka na Podlasiu. Ojciec prowadził dziesięciohektarowe gospodarstwo rolne. Alek (Alfons), bo takie imię otrzymał na chrzcie świętym i nosił do czasu wstąpienia do seminarium, bardzo wcześniej zaprzyjaźnił się z Panem Jezusem. Jego droga życiowa, religijna, kapłańska z rodzinnego domu w Okopach do Domu Pana była niezwykle konsekwentna. A konsekwentna, bo zgodna z Ewangelią i Dekalogiem. To ten lekceważony przez intelektualistów katolickich, wyznawców filozofii, jaką reprezentowali Jacques Maritain i Emmanuel Mounier,

„katolicyzm ludowy”, który wyniósł z Podlasia ks. Jerzy i któremu pozostał wierny, okazał się magnesem dla wierzących i niewierzących robotników i inteligentów, okazał się siłą jednoczącą wobec Boga i Dobra. Nawet najbardziej zatwardziały ateizm wobec głoszonej przez niego Ewangelii miękły serca – nawracali się, zmieniali swoje postępowanie, odnajdywali nowe życie w pojednaniu z Bogiem.

Jak wspominała matka błogosławionego, Marianna Popiełuszko, która miała największy wpływ na jego wychowanie, Alek już jako mały chłopiec ustawiał na stole z obrazków świętych i kwiatów ołtarzyk i się modlił. W 1954 roku zaczął chodzić do Szkoły Podstawowej w Suchowoli. Każdego dnia służył też do Mszy świętej jako ministrant, w związku z czym wychodził z domu przynajmniej godzinę wcześniej niż jego koledzy. Często po lekcjach zachodził do kościoła na modlitwę.

Po latach, w czasie przesłuchania przed Trybunałem Beatyfikacyjnym w 1997 roku, matka mówiła m.in.: „Bo przecież najważniejsze w życiu to dać dzieciom Boga. [...] Czcę go i kocham jako męczennika za sprawy Boże”. „Do pierwszej spowiedzi świętej i I Komunii przygotowywał się w kościele parafialnym [w Suchowoli], bo wtedy nie było religii w szkole. Jerzy musiał być jednym ze zdolniejszych w grupie, ponieważ zdarzało się, że zastępował siostrę zakonną w nauczaniu kolegów i koleżanek katechizmu. Po I Komunii św. został ministrantem i był nim aż do wstąpienia do seminarium. Jako ministrant wyróżniał się w gorliwości. Mimo 5 km do kościoła zajął pierwsze miejsce za ilość wysłuchanych Mszy św. Dostał wtedy nagrodę: lyżwy i śpiewnik z pieśniami kościelnymi. [...] Mój syn Jerzy okazywał znaki powołania od małego. Do momentu otrzymania matury nikomu nie mówił o chęci wstąpienia do seminarium. Było to podyktowane obawami. Młodzieńcy, którzy wyrazili ochotę pójścia do seminarium, byli szykanowani przez Służbę Bezpieczeństwa. Jerzy również w klasie maturalnej miał propozycję pójścia na studia do Moskwy. Bezpieczniej więc było przed otrzymaniem świadectwa maturalnego nic nie mówić o swoich zamiarach”.

► „Ciągłe mówię: zadziwiłeś mnie!”

Niuta Wanagiel, która pochodzi z Suchowoli, a od lat 70. mieszka w Olsztynie, chodziła do jednej klasy szkoły podstawowej i liceum z Alkiem Popiełuszką. Mówi, że śmierć księdza przeżyła jak śmierć brata, bardzo ją odchorowała. Ciągłe jej trudno zrozumieć, jak ludzie mogli być zdolni do zabicia tak dobrego człowieka.

„Z Alkiem łączy mnie urodzinowe »powinowactwo« – pisała na łamach olsztyńskiego pisma „Bez Wierszówki”. „On urodził się 14 września, a ja 15. Z opowiadań mojej mamusi wiem, że rodziły nas w izbie porodowej w Suchowoli. W 1954 roku zaczęliśmy chodzić do Szkoły Podstawo-

wej w Suchowoli. Alek mieszkał w Okopach. Do szkoły dochodził 4 kilometry. Jakimi byliśmy dziećmi? Normalnymi – училиśmy się, bawiliśmy, śpiewaliśmy w chórze, który prowadził ksiądz Grądzki. Ksiądz na próbach grał na klawikordzie. Również wypożyczał nam książki ze swojej biblioteczki. Przez rodziców byliśmy wychowywani w rytmie liturgicznym. Niedzielne i świąteczne Msze święte, majowe nabożeństwa, październikowy Różaniec, a przede wszystkim codzienne wstępowanie do kościoła na krótką modlitwę przed szkołą – było dla nas codziennością. Alek już w szkole podstawowej wyróżniał się szczególnie tym, że był ministrantem. Był bardzo dzielnym chłopcem, bo przecież musiał pokonywać te 4 kilometry na poranną Mszę, niezależnie od pory roku. A zimy były inne! Pamiętam taką, że chodziło się w śnieżnym tunelu...”

Od starszego kolegi, który prowadził bibliotekę, dowiedziałam się, że Alek wcześniej niż my wypożyczał Trylogię Henryka Sienkiewicza. W latach 1961–1965 училиśmy się w Liceum Ogólnokształcącym w Suchowoli. Było nas dużo, bo gdy oglądałam listę uczniów klasy A i B – jest nas aż 66 osób! Liceum – to oczywiście nauka, ale to również Beatlesi, to koncerty w sali gimnastycznej obwodowej Filharmonii, to kino, do którego chodziliśmy bardzo chętnie. To czas sobotnich potańcówek, które organizowały różne klasy. Ale Alek nie uczestniczył w tym życiu licealistów. To był chłopak, który mieszkał w Okopach i jego popołudniowy czas był inny niż nas z Suchowoli. Nasz licealny kolega – Piotr Smarkusz – opowiadał nam, że kiedy zimą Alek mieszkał w internacie, to wyróżniała Go jego pobożność. On się modlił. [...] Z naszego rocznika dwóch naszych kolegów poszło do seminarium. Dyrektor Liceum, pan Bronisław Bochenko, na zjeździe absolwentów zwierzał się, że z tego powodu, że chłopcy szli do seminarium duchownego, miał dużo nieprzyjemności od władz. [...] Kiedy wspominałam Alka, księdza Jerzego Popiełuszkę, myślę sobie, że to coś niebywałego, że z tak skromnego, spokojnego, cichego chłopaka, który był na drugim planie, wyrósł gigant ducha i wiary, i wrażliwości! Ciągłe mówię: zadziwiłeś mnie!

Były 60. urodziny przy jego grobie, 20. rocznica śmierci w Suchowoli na zjeździe »Solidarności«, Msza święta beatyfikacyjna w Warszawie i w październiku 2010 roku na podziękowaniu i poświęceniu pomnika w rodzinnej Suchowoli. Mamu Błogosławionego Kolego! Wierzmy, że zostanie Świętym. A kiedy »rozmawiam« z moim Błogosławionym Kolegą, to proszę o wstawiennictwo u Boga w moich małych sprawach, bo nas łączy – przede wszystkim – małe sprawy” („Bez Wierszówki” nr 12 (114), grudzień 2014).

► „Nie można mnie złamać groźbą ani torturami”

Mieszkańcy Podlasia dobrze wiedzieli, czym jest komunizm. 10 lutego 1940 roku miała miejsce w po-

wiecie sokólskim masowa wywózka Polaków na Syberię. Po 1944 roku, za „drugiego Sowietą”, istniało tutaj silne podziemie niepodległościowe, antykomunistyczne. Ksiądz Jerzy na chrzcie świętym otrzymał imię Alfons, Marianna Popiełuszko chciała w ten sposób przechować pamięć swego brata Alfonsa Gniedziejko, żołnierza AK, który został zamordowany przez Sowietów w 1945 roku.

Pułkownik Janusz Neugebauer, który później zmienił nazwisko na Zarzycki, z Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego LWP, tak opisywał w 1946 roku sytuację w województwie białostockim: „W danej chwili teren województwa białostockiego jest kompletnie zanarchizowany. Urzędy gminne pracują tylko w dwóch gminach. Posterunki MO są systematycznie rozbrajane. Poruszanie się po drogach jest połączone z poważnym niebezpieczeństwem. Świadczenia rzeczowe są ściągane w wysokości 12%, i to wyłącznie przy pomocy wojska. W niektórych gminach władza była budowana czterokrotnie. Przychodziło wojsko, wybierano władze gminne, które zaczynały pracę. Natychmiast (częstokroć tego samego dnia) po wyjściu wojska przychodziła banda i władze likwidowała. [...] Tereny w okolicach Goniądza, Suchowoli, Szczuczyna, Białej, Wysokiego Mazowieckiego są jak gdyby autonomicznymi republikami bandyckimi”.

Legendą podziemia antykomunistycznego w gminie Suchowola był Jan Hońko „Plug”, który dowodził kompanią terenową o kryptonimie „Peluszką” Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Ostatni Żołnierze Wyklęci na ziemi sokólskiej, Edward Topczewski „Toporek”, Stanisław Orłowski „Piorun”, NN „Czesiek Curzon”, ukrywali się w zabudowaniach gospodarczych Henryka Gniedziejki na kolonii wsi Pokośno w gminie Suchowola. Jak wiadomo, matka księdza Jerzego, Marianna, jest z domu Gniedziejko. 30 sierpnia 1952 roku funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa i żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w sile batalionu otoczyli zabudowania Gniedziejków i osaczyli partyzantów. Po półgodzinnej walce partyzanci zginęli. Gospodarze udzielający schronienia żołnierzom podziemia antykomunistycznego byli traktowani jak bandyci – tracili swoje majątki, jeżeli udało im się uniknąć kary więzienia, byli bezwzględnie szykanowani.

W 1965 roku, po maturze, Alek Popiełuszko wstąpił do Metropolitalnego Seminarium Duchownego pw. św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Na początku drugiego roku studiów został wcielony do wojska, do specjalnej jednostki dla kleryków w Bartoszycach. Pobór kleryków do wojska stanowił jedną z najbardziej wyrafinowanych metod represji wobec Kościoła, wobec przyszłych kapłanów. Wiadomo, że do seminarium trafiali chłopcy wrażliwi, nie wszyscy wytrzymywali dryl wojskowy stosowany przez bezdusznych trepów – znę-

canie się nad nimi fizycznie i psychicznie. Specjalnie przeszkoleni oficerowie od musztry i politycy robili wszystko, żeby kleryków upokorzyć, pozbawić godności, wyrwać z serca wiarę w Boga.

W wojsku Alek Popiełuszko zdał kolejny swój trudny egzamin życiowy – nie tylko nie dał się złamać wojskowym trepom, którzy stosowali wobec niego kary wielogodzinnych ćwiczeń, czołgania się, stania boso na mrozie, czyszczenia toalet w masce przeciwgazowej, lecz także podtrzymywał kolegów na duchu, namawiał do oporu. Nie dał sobie odebrać różańca i medalika. Kiedy odmówił wykonania rozkazu zdjęcia z palca różańca, został poddany brutalnym represjom. W liście do swojego ojca duchownego księdza prałata Czesława Miętka kleryk Jerzy Popiełuszko pisał w lutym 1967 roku: „Okazałem się bardzo twardy, nie można mnie złamać groźbą ani torturami. Może to dobrze, że akurat to jestem ja, bo może ktoś inny by się załamał, a jeszcze innych wkopał”.

Przejścia w wojsku odbiły się mocno na jego zdrowiu, wątłym organizmie. Po powrocie do seminarium, w 1970 roku, ciężko zachorował. Trafił do Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie. Istniały obawy, czy przeżyje. Z kłopotami zdrowotnymi zmagał się już do końca życia.

Świecenia kapłańskie otrzymał 29 maja 1972 roku z rąk kardynała Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski. Po święceniach został skierowany jako wikariusz na placówkę duszpasterską w Żąbkach koło Warszawy. Potem pracował w kościele św. Anny w Warszawie. Przez krótki czas był wikariuszem w parafii Dzieciątka Jezus na Żoliborzu. W maju 1980 roku został przeniesiony do parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Inicjatorem Mszy św. za Ojczyznę był proboszcz parafii, ks. prałat Teofil Bogucki, w czasie okupacji kapelan Armii Krajowej. W 1980 roku wprowadził zwyczaj modlitwy w intencji Ojczyzny, odwołując się do tradycji historycznej. „Miłość do Ojczyzny, serdeczna o niej pamięć w dobrym i złym czasie – to była najgłębsza pobudka wprowadzenia modłów za Ojczyznę i jej pomyślność” – tłumaczył. Przypominał, że Msze św. za Ojczyznę znane były jeszcze w średniowiecznej Polsce, kiedy to modlono się za króla i wojsko; odprawiano je też w czasie narodowych powstań i rozbiorów, a także w dwudziestoleciu międzywojennym i po II wojnie światowej.

Tutaj, w warszawskim kościele na Żoliborzu, zakończyła się posługa kapłańska Alka – Jerzego Popiełuszki, która zaczęła się na stole zastawionym świętymi obrazkami i kwiatami w rodzinnym domu w Okopach koło Suchowoli.

6 czerwca 2010 roku ksiądz Jerzy został beatyfikowany przez papieża Benedykta XVI. Czekamy na zakończenie procesu kanonizacyjnego, chociaż i tak już od dawna kapelan „Solidarności” jest dla nas świętym. ■

Agnieszka Osiecka wspominała, jak na jakichś wakacjach siedziała z koleżanką w pokoju zajmowanym przez pisarza Jerzego Andrzejewskiego. Pili gin, gadali. W pewnym momencie Andrzejewski poczuł się zmęczony trajkotaniem podchmielonych pańienek. Udał więc bardziej pijanego, niż był, i mówi do swojego znajomego: „Słuchaj, czy my jesteśmy u nich, czy one są u nas? Bo jeżeli my jesteśmy u nich, to ja bym już poszedł”.

Magdalena Złotnicka



Apelacja POPIOŁÓW





fot. Sławomir Dąbrowski/PAP

Powyższą historyjkę wspominała sama Osiecka („Zdjęcia czarno-białe”, „Polityka”, 17 grudnia 1988 rok) kilka lat po śmierci pisarza. Mówiła też, że z początku nie przepadała za Andrzejewskim, zresztą z wzajemnością. „Myślałem, że ma pani oczy głodnej wdowy, ale z bliska, to tak nie jest” – powiedział jej kiedyś, gdy już się polubili.

Strasznie nie lubię określić „kontrowersyjna” i „skomplikowana” w odniesieniu do biografii pisarzy czy poetów. Słowa te są bowiem zarazem banalne i usiłujące usprawiedliwiać. Już słowo „niejednoznaczna”, choć też należy do oklepanych, jest bardziej neutralne znaczeniowo. Skąd ten wstęp? Właściwie większość osób piszących o Jerzym Andrzejewskim używa podobnych terminów. Tymczasem zaś sprawa jest prosta i jednoznaczna: Andrzejewski był pisarzem sławiącym reżim Polski Ludowej, a później został pisarzem opozycyjnym. Nie ma w tym nic skomplikowanego ani nawet oryginalnego. Literatów, którzy – czy to zaślepieni ideologią, czy też ze względów koniunkturalnych – poszli na lep systemu, a potem się obudzili i działali w opozycji, trochę w historii Polski by się znalazło. Skomplikowane i zarazem niepowtarzalne są motywy, jakie za każdym razem towarzyszyły tego typu decyzjom. Zarazem trzeba przyznać, że sam Andrzejewski był postacią niebanalną i utalentowaną pisarcko. Co ciekawe, książka, z której znany jest najlepiej (i niekoniecznie jest to sława dobra!) bynajmniej nie stanowi najlepszej pozycji w jego dorobku i właściwie gdyby nie film Andrzeja Wajdy i porywająca rola Zbigniewa Cybulskiego, nikt zapewne już by o niej nie pamiętał. Ale czy to znaczy, że nie należy pamiętać o Andrzejewskim?

► Gombrowiczowski pojedynek z Miłoszem

Pisarz przyszedł na świat 19 sierpnia 1909 roku w Warszawie. Swoje najmłodsze lata wspominał jako „świetne”. Tym samym słowem określał w rozmowie z Teresą Krzemień („Dziwiata dziewiętnastka. Z Jerzym Andrzejewskim rozmawia Teresa Krzemień”, „Kultura”, 8 marca 1981 rok) przedszkole czy też – jak to się wówczas zwało – freblówkę pani Rontalerowej. W młodzięcym wieku zaliczył pierwsze próby literackie. Wspominał o tym w wywiadzie udzielonym Wojciechowi Myślenickiemu („Rozmowa z Jerzym Andrzejewskim sprzed 50 lat. Wspomnienia przedwojennego dziennikarza, „Głos Szczeciński”, 19 marca 1989 rok). Opowiadał wówczas, że kiedy miał 11 lat, postanowił przygotować oryginalny prezent dla mamy na święta Bożego Narodzenia. Otóż sprezentował jej zeszyt z własnymi wierszami, na dokładkę własnoręcznie ilustrowany. Z poezji przerzucił się na dramat: w czasach młodości szkolnej pochłaniał namiętnie dramaty Szekspira.

rowskie i klasyczne. Uczęszczał do Gimnazjum Towarzystwa im. Jana Zamoyskiego; starszymi lub młodszymi absolwentami tej samej szkoły byli Melchior Wańkowicz, Jerzy Giedroyc i Bolesław Piasecki. We wspomnianym już wywiadzie dla „Kultury” Andrzejewski zaznaczał, że późno zrozumiał, iż szkoła jest „endecka”. Fakt ten dotarł do pisarza w 1921 roku. Wówczas niektórzy uczniowie starszych klas wywoływali awantury na placu Trzech Krzyży, podczas gdy Gabriel Narutowicz jechał do sejmku, by składać przysięgę prezydencką.

Maturę zdał w 1928 roku, później poszedł na studia polonistyczne. W tym czasie pisał już prozę. Jak sam przyznał w rozmowie z Myślenickim, były to „świadome wysiłki”, a „opanowanie sztuki pisarskiej” zajęło mu „kilka lat rzetelnej pracy”.

Jej efektem był debiut w 1932 roku na łamach „ABC”, dziennika o linii sprzyjającej środowiskom narodowym. Pisarz zamieścił tam opowiadanie zatytułowane „Wobec czyjegoś życia”. Cztery lata później nakładem Biblioteki „Prosto z mostu” – czyli tygodnika kierowanego przez Stanisława Piaseckiego – ukazały się opowiadania „Drogi nieuniknione”. Prawdziwy przełom przyniosła jednak powieść „Ład serca”, która ukazała się rok przed wybuchem II wojny światowej i przyniosła Andrzejewskiemu nie lada wyróżnienie: Nagrodę Młodych Państwowej Akademii Literatury. Książka opowiada o dylematach moralnych pewnego księdza, który musi wybierać między Bogiem i powołaniem a miłością do kobiety. Tematyka utworu sprawiła, że do pisarza przylgnęła łątka „pisarza katolickiego”, choć, jak wspominał Tomasz Potkaj („Czyściec mój będzie trwał długo”, „Tygodnik Powszechny” nr 16, 2003 rok), Witold Gombrowicz kpił z religijności pisarza. Kiedy spotkali się w kawiarni Zodiak, złośliwy autor „Ferdurke” pytał: „Jak się miewa Pan Jezus?”. Na to Andrzejewski odpowiedział, że Jezus ma się dobrze i że serdecznie Gombrowicza pozdrawia. Może zresztą kpiny Gombrowicza nie były zupełnie wzięte z sufitu, bo Anna Arno („Podzwonne dla przyjaźni”, „Znak” nr 689, 2012 rok) zaznacza, że wraz z Czesławem Miłoszem Andrzejewski jeździł na rekołeksy do podwarszawskich Lasek, jednak jak wynikało ze wspomnień poety, „asceza oraz głębia i szlachetność pogrążania się w duszę” wywoływały w literatach „dziki apetyt na wódkę i krwiste befsztyki”.

Z Miłoszem i Gombrowiczem łączy się także inna historia, poświadczona przez krytyka literackiego i teatralnego Jana Kotta. Były to już czasy okupacji niemieckiej. Otóż po całej nocy chłania na umór Andrzejewski i Miłosz w jakimś pijackim widzie urządzili sobie pojedynek... na miny. Wygrał ostatecznie poeta, który zrobił minę Pana Boga. Wówczas Andrzejewski, porażony i pokonany, upadł na ziemię. Czasy okupacji

to osobny rozdział w życiu pisarza. Nie uprzedzajmy jednak faktów, wróćmy do okresu przedwojennego.

W pewnym momencie Andrzejewski rozwiązał współpracę z „Prosto z mostu”. Nawiasem mówiąc, przedstawiciele innych mediów nie mogli nachwalić się pisarza, a to za sprawą tego, że przeznaczył kilkanaście złotych na potrzeby Żydów wypędzonych z Niemiec. Tak mówił o tej sprawie w rozmowie z Myślenickim: „Skandal. Wszystko, co ma posmak skandalu lub choćby skandaliku, rozdmuchuje się do fantastycznych rozmiarów. Sukces pisarza, ani żaden inny, nie byłby sukcesem, gdyby nie był podlany sosem bodaj małego, nieważnego, bezsensownego skandalu. Gdy była składka wśród pisarzy – dałem 15 złotych. Usłudźni publicyści podwyższyli to o 5 złotych, zaokrąglili tę ofiarę do dwudziestu – i zrobili skandal”.

► Wojenne bohaterstwo, wojenna dezynwoltura

Jeszcze przed ukazaniem się „Drog nieuniknionych”, bo 28 sierpnia 1934 roku, pisarz wstąpił w związek małżeński. Jak podaje Anna Demadre-Synoradzka („Epitafium dla E.B. O pewnym wątku w twórczości Jerzego Andrzejewskiego”, „Odra” nr 3, 2013 rok), wybranką serca Andrzejewskiego była rok starsza od niego Nona Barbara Siekierzyńska, zamieszkała przy ulicy Wolskiej. Jak podaje biografka pisarza, panna młoda i pan młody znali się od gimnazjum, razem występowali w studenckim teatrze Syrena. Świadkiem na ślubie byli ekonomista Bolesław Wścieklica i muzyk Eugeniusz Biernacki. Wścieklica był świadkiem od strony pana młodego, więc Demadre-Synoradzka zakłada, że Biernacki musiał być świadkiem panny młodej. Dlatego to tak istotne? Otóż ów Biernacki okazał się wielką miłością Andrzejewskiego. Relacja nie tylko niekorzystnie wpłynęła na małżeństwo pisarza, lecz także sama nie przetrwała próby czasu. Kiedy w 1936 roku Biernacki rzucił się pod koła kolejki w okolicach Powisna, Andrzejewski pisał o nim już jako o kimś z przeszłości. Tragicznie zmarły muzyk nie był zresztą jedyną ani ostatnią fascynacją homoseksualną pisarza. W kilku tekstach, m.in. u Krzysztofa Vargi („Miazga z życia”, „Newsweek Polska” nr 50, 2017 rok) pojawiają się wzmianki, że wielką, choć niespełnioną fascynacją pisarza był zabity w Powstaniu Warszawskim poeta Krzysztof Kamil Baczyński. Zresztą być może właśnie w związku ze śmiercią Baczyńskiego u Andrzejewskiego pojawiły się problemy alkoholowe, z którymi zmagał się – z różnym skutkiem – do końca życia.

Jednak mimo tych relacji męsko-męskich z całą pewnością można zaryzykować stwierdzenie, że najważniejszym partnerem jego życia była druga żona – muzyk i muzykolog Maria Abgarowicz. Co znaczące, kobieta wiedziała o inklinacjach męża do płci własnej.

Bronisław Mamoń („Półcień i półblaski”, „Tygodnik Powszechny”, 27 kwietnia 2003 roku) przytacza korespondencję, jaką do Marii Jerzy słał z Paryża. „Jeżeli wrócę – pisał – to chyba skromniejszy niż wyjechałem i bardziej czuły dla elementów mojej rzeczywistości. Nie prowadzę tutaj życia rozpustnego, chociaż ktoś, kto by krok w krok za mną chodził, mógłby tak pomyśleć. Znam z lokali, w których bywam wieczorami, ogromną ilość tzw. *mauvais garçons* [fr. niedobrych chłopców – przyp. M.Z.], dawałem im bardzo dużo pieniędzy, ale wcale nie dlatego, żeby poszli ze mną do łóżka – tu dopiero poznałem wszystkie kłęski młodości [...]”.

Demadre-Synoradzka podaje, że Maria i Jerzy mieszkali razem od późnej wiosny 1942 roku. Rok później urodził się syn pisarza, Marcin, jednak związek został zalegalizowany dopiero po wojnie, w 1946 roku, kiedy to zmarła pierwsza żona pisarza, która nie zgadzała się na rozwód.

Nie sposób odmówić Andrzejewskiemu właściwej postawy podczas II wojny światowej. Nie tylko działał w podziemnych organizacjach kulturalnych, lecz także wślawiał się odwagą osobistą: cytowany już Potkaj wspomina, że pisarz nie bał się na przykład nie podać ręki Janowi Emilowi Skiowskiemu, którego uważano za niemieckiego kolaboranta (ocena tego zarzutu to inny temat, Skiwski został skazany przez sąd orzekający w imieniu PRL za „współpracę z okupacyjną prasą niemiecką wydawaną w języku polskim” prawdopodobnie dlatego, że był, obok Józefa Czapskiego i Ferdynanda Goetela, świadkiem ekshumacji ofiar sowieckiej zbrodni w Katyniu).

To Andrzejewskiemu oraz Janinie Cękalskiej Czesław Miłosz zawdzięcza podziemną edycję swoich wierszy, wydanych pod pseudonimem „Jan Syruć”; późniejszy autor „Miazgi” angażował się także w pomoc Żydom. Cytowana już Anna Arno pisała, że odwaga Andrzejewskiego nie przejawiała się tylko w picu ponad miarę. „Wobec Niemców wykazywał się nieomal hardością i dezynwolturą. To on zainicjował wydawanie »Magazynu Literackiego«”.

Powstanie Warszawskie Andrzejewski wraz z Marią i synem spędzili w stolicy, na Bielanach. Jak wynika z notatek, które później ukazały się drukiem jako „Zeszyt Marcina”, nagle naloty, zejścia do piwnic i nieustające życie na walizkach z przekonaniem, że za moment będzie się trzeba ewakuować, stanowiły codzienne życie pisarza i jego rodziny. Opuszczenie Warszawy stało się koniecznością w połowie września.

► „Gówno i zamęt”

Polskie filmy z okresu komuny przeżywały jakiś czas temu drugą młodość – gdy byłam w liceum, niektóre obrazy uchodziły za klasyki, które wypada po prostu

znać. I chociaż myślę tu raczej o takich filmach jak „Do widzenia, do jutra” czy „Niewinni czarodzieje” (tu zresztą Andrzejewski maczał palce w scenariuszu!), to „Popiół i diament” (1958 rok), wcześniejszy o dwa lata od wymienionych tytułów, także był nam świetnie znany. Film Andrzeja Wajdy powstał właśnie na podstawie prozy Jerzego Andrzejewskiego; książka pod tym samym tytułem ukazała się w 1948 roku. Jak podawała Wanda Zwinogrodzka („Spopielony diament: nieprawy mit”, „Dialog” nr 5–6, 1996 rok), powołując się zresztą na dzienniki pisarza, pierwsze pomysły dotyczące fabuły pisarz zaczął komponować już w 1946 roku. „Kilka miesięcy wcześniej przez prasę przetoczyła się dyskusja o losach i postawie młodzieży akowskiej. Dyskusja w specyficznej sytuacji: równolegle trwały aresztowania i procesy” – zaznacza Zwinogrodzka.

Streszczanie samej powieści nie ma specjalnie sensu, dość powiedzieć, że dotyczy ona młodych ludzi, dziś znanych jako Żołnierze Niezłomni. Oraz że nie są tam oni przedstawieni w najlepszym świetle. Krzysztof Kąkolewski, autor reportażu „Diament odnaleziony w popiele” (1995 rok), który dotarł do pierwowzoru Macka Chelmskiego (nawiasem mówiąc, opowieści tego człowieka, któremu dane było dożyć wolnej Polski, są po prostu wstrząsające, żałuję, że nie dane mi jest w niniejszym artykule rozwinąć tego wątku), stawia tezę, że proza Andrzejewskiego powstała z inspiracji partii. Patrząc na nakład książki, nie można tego wykluczyć.

Cytowana już przeze mnie Zwinogrodzka zauważa, że powieść, ciesząca się zresztą sporą poczytnością, była milowym krokiem ku rozprawieniu się z „duchową spuścizną Drugiej Rzeczypospolitej”. Zaś Maria Dąbrowska, która oficjalnie starała się jakoś układać z systemem, na kartach prywatnych dzienników pisała o powieści jako o „paszkwilu na młodzież polską, na Polskę w ogóle, nazywanym powszechnie »Gówno i zamęt«”.

O szkodliwości – bo tak to trzeba nazwać wprost – powieści dziś raczej nie pamiętamy, ponieważ jej obraz zaciera wspomniany wcześniej film Andrzeja Wajdy, nakręcony już w zdecydowanie innych okolicznościach od tych, w których powstawała książka. Wanda Zwinogrodzka podkreśla, że Chelmski w wykonaniu Zbigniewa Cybulskiego, na dokładkę ubranego współcześnie, a nie historycznie, Chelmski swoją nonszalaną przypominający gdzieś Jamesa Deana i jednocześnie Marka Hłaskę, budził sympatię i wydawał się ukłonem w stronę środowisk AK. Zarazem jednak autorka artykułu zaznacza, że film prezentował zmianę jedynie stosunku emocjonalnego do działaczy antykomunistycznego podziemia. „Gdy jednak idzie o historyczną ocenę ich postawy, utrwał propagandowy stereotyp lat czterdziestych, zgodnie z którym »zdezorientowa-

ni», sterowani przez reakcyjne dowództwo akowcy w imię fałszywie pojętego honoru i wierności łądowni na »śmietniku historii«, tak malowniczo ukazanym w scenie ekranowej śmierci Chełmickiego” – pisze Zwi-nogrodzka.

Kilkanaście lat później Mariusz Solecki nazwał rzecz jeszcze ostrzej („Popiół i żołnierze wyklęci”, „Rzeczpospolita” nr 106, 2010 rok), pisząc wprost, że w książce bohaterów akowskiego podziemia ukazano „w duchu marksistowskiego obiektywizmu”, jako wpływowych i mających nawet swoje wtyki w aparacie bezpieczeństwa, ale zarazem służących „zdetronizowanemu bogu historii, dlatego towarzysz Szczuka wieści im w epicedionie na pogrzebie robotników klęskę absolutną”.

► Święto Pracy w Sowietach

Rodzi się pytanie, co skłoniło Andrzejewskiego do napisania tej powieści i w ogóle – do zbłątowania się z komuną? Pisarz wielokrotnie opowiadał o tym okresie w różnych wywiadach. W cytowanej już rozmowie z Teresą Krzemień przyznawał, że przeszedł przez „chorobę” i że to był „narodowy dur”.

Niespecjalnie ufnie do tych tłumaczeń podchodzi Krzysztof Głogowski („Kto kogo broni?”, „Polska Zbrojna” nr 182, 1993 rok), który polemizując z Wiktoorem Woroszylskim, zaznacza, że okres, w którym pisarz ufał systemowi Polski Ludowej, trwał „podejrzanie długo”, i przypomina, że jeszcze w wydanym w 1956 roku zbiorze felietonów Andrzejewski krytykował oficerów oskarżanych w procesach politycznych. Autor polemiki podkreśla również, że jest raczej trudne do wyobrażenia, by Andrzejewski naprawdę wierzył w dobre intencje władzy ludowej po chociażby tzw. procesie 16 (poprzedzony aresztowaniem i wywiezieniem do Moskwy proces polityczny przywódców Polskiego Państwa Podziemnego; podsądnych postawiono przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRS, wśród ofiar byli m.in. skazany na 10 lat ostatni dowódca AK, gen. Leopold Okulicki, najprawdopodobniej zamordowany w sowieckim więzieniu po roku odsiadki kary, czy skazany na 8 lat wicepremier, Delegat Rządu na Kraj Jan Stanisław Jankowski, który również nie dożył końca wyroku). „A bzdurność oskarżeń w procesach zarówno politycznych cywilnych, jak i wojskowych, w których mieszano z błotem ludzi mających chlubną wojenną kartę? Przecież o tym wszystkim się po cichu mówiło, mówiły zachodnie radiostacje” – pisze Głogowski.

Prawdziwe motywacje pisarza pozostaną już na zawsze jego tajemnicą, aczkolwiek powiem szczerze, że jeśli w jakimś przypadku skłonna jestem – a rzadko miewam takie skłonności – uwierzyć w zwyczajną głupotę i zaślepienie, to akurat w przypadku Andrzejew-

skiego jakaś iskierka takiej wiary się u mnie pojawia. Nie zmienia to oczywiście faktu, że „wierzący” w komunizm Andrzejewski funkcjonował sobie z tą wiarą całkiem nieźle. Między 1949 a 1952 rokiem mieszkał w willi w Szczecinie, był też pierwszym prezesem tamtejszego oddziału Związku Literatów Polskich. Dobre układy z władzą wiązały się także z możliwością podróży. W 1950 roku pisarz wszedł w skład dziesięcioosobowej delegacji na uroczystości 1 maja w Moskwie. Swoje impresje po tej podróży ogłaszał w prasie. „Moje pierwsze wrażenie z tego święta to wrażenie przegromnej, nieodpartej siły” – relacjonował („Wrażenia z pobytu w ZSRR. Rozmowa z Jerzym Andrzejewskim”, „Słowo Polskie” nr 140, 1950 rok). Zaznaczał również, że 1 maja jest świętowany w Związku Sowieckim także 2 maja oraz że przez ten czas można było zaobserwować „szereg zabaw ulicznych w parkach, w domach kultury. Wszędzie uderzał nas ten sam przedziwnie radosny i pogodny nastrój”. „Kółchoz imienia Iljicza zwiedzaliśmy przelotnie. Wrażenie, które utkwiło mi najbardziej w pamięci, to swego rodzaju osiadłość życia. Dotyczy to zresztą i innych zakładów pracy, do których ludzie szczerze są przywiązani i które niechętnie opuszczają” – opowiadał. Pytanie, czy to Rosjanie pokazywali polskiej delegacji radosny wycinek rzeczywistości – ostatecznie rosyjska tradycja udawania sięga Potiorkina i czasów carycy Katarzyny II – czy też Andrzejewski ubarwił opowieść. Pewnie się już nie dowiemy. Opowieści o Święcie Pracy w Sowietach to zresztą niejedyna propaganda, jaką pisarz ma na swoim koncie. Wystarczy wspomnieć chociażby broszurkę „Partia i twórczość pisarza”. Jak przypomina cytowany już Potkaj, Andrzejewski pisał także felietony dla „Głosu Szczecińskiego”. „W jednym z nich uchylił rąbka rodzinnej prywatności, opisując, jak jego dzieci [poza wspomnianym już synem miał jeszcze córkę Agnieszkę – przyp. M.Z.] śpiewają przed zaśnięciem na dwa głosy »Międzynarodówkę«, »Czerwony sztandar«, »Naprzód młodzieży świata« i »Miliony rąk«”.

Od 1952 do 1954 roku Andrzejewski pełnił funkcję redaktora naczelnego „Przeglądu Kulturalnego”, przez rok należał także do zespołu „Twórczości”. Przez jedną kadencję (do 1956 roku) był posłem na Sejm. Z PZPR – do której oczywiście się zapisał – wystąpił w roku 1957.

► „Koszmar i chora jest rzeczywistość”

Jeszcze przed opuszczeniem szeregów partyjnych napisał zatrzymany przez cenzurę i krążący w drugim obiegu „Wielki lament papierowej głowy”, będący dowodem na powolne odchodzenie pisarza od komunizmu. Bez wątpliwości charakter rozrachunku ma także powieść „Ciemności kryją ziemię”. Chociaż poświęcona jest hiszpańskiej Inkwizycji, otrzeźwienie Diega,

głównego bohatera, który nagle zaczyna widzieć skutki ideologii, w którą dotychczas wierzył, można odnosić do osobistych przeżyć Andrzejewskiego.

Lata 60. to okres, w którym Andrzejewski walczył z komuną z zapałem równie żarliwym, z jakim jeszcze niedawno komunę sławił. Czy usiłował odkupić swoje winy? Czy też po prostu zaangażowanie na całego było jedną z cech jego charakteru? Był współautorem tzw. listu 34, skierowanego do premiera Józefa Cyrankiewicza. „Ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrożenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani [...] domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez konstytucję państwa polskiego i zgodnych z dobrem narodu” – takie było przesłanie pisma. Andrzejewski sygnował także list do rektora Uniwersytetu Warszawskiego w obronie studentów demonstrujących pod pomnikiem Adama Mickiewicza zimą 1968 roku. W swoich wypowiedziach publicznych otwarcie krytykował politykę kulturalną Polski Ludowej.

W tym samym 1968 roku pisarz otwarcie zaprotestował przeciw udziałowi Polski w inwazji Układu Warszawskiego na Czechosłowację, a także napisał utwór „Apelacja”, który władzę ludową doprowadził do furii. Dzieło zostało wydane – pod nazwiskiem autora, nie zaś pod pseudonimem! – w Instytucie Literackim paryskiej „Kultury”. Jednak Andrzejewski, jak wynika z pisma Wydziału Kultury KC PZPR z 13 grudnia 1968 roku (przytaczam za: Adam Józefski, „Nie »stara szafa« a archiwum”, „Przegląd Tygodniowy”, 22 listopada 1995 rok), złożył „Apelację” także do tygodnika „Twórczość”. Jak nietrudno się domyślić. Główny Urząd Kontroli Prasy uznał, że nie ma możliwości, by to wydrukować, a Wydział Kultury KC PZPR takiemu podejściu do sprawy przyklasnął. „Nowy utwór J. Andrzejewskiego jest szyderczym paszkwilem na polską rzeczywistość, o wyjątkowym, wręcz patologicznym, nasileniu jadu i złośliwości” – indyczył się Komitet Centralny. O co chodziło? „Apelacja” opowiada perypetie obywatela Koniecznego, który z własnej woli chce poddać się leczeniu w klinice psychiatrycznej, obserwując u siebie coraz mocniej rozwijającą się paranoję. Na końcu okazuje się, że to wcale nie domniemany chory psychicznie ma problem. „Pan jest zdrowy!” – uświadamia Koniecznego Docent. Koszmarna i chora okazuje się rzeczywistość, a mieszkańcy kraju – zdeprawowani i zaszczuci. „Zbadać możliwości prawne wszczęcia przeciwko J. Andrzejewskiemu postępowania karnego. Decyzję w tej sprawie uzależnić od dalszego postępowania J. Andrzejewskiego” – taką diagnozę postępowania przewidział Wydział Kultury KC PZPR.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Cenzura bardzo uważnie przyglądała się Andrzejewskiemu, co

w praktyce oznaczało gigantyczne utrudnienia, jeśli w ogóle nie zakaz druku. Mimo to Andrzejewski się nie zniechęcał. Na początku lat 70. podpisał list w obronie skazanych w procesie przywódców organizacji Ruch, znalazł się w redakcji „Zapisu”, pierwszego pisma kulturalnego wydawanego poza cenzurą.

Współzakładał Komitet Obrony Robotników, nie bał się podpisać kolejnego listu protestacyjnego w 1976 roku, przeciw zmianom w Konstytucji PRL (chodziło o wprowadzenie do ustawy zasadniczej zapisów o przewodniej roli PZPR w państwie oraz o trwałym i nienaruszalnym sojuszu z ZSRR).

► Szkoda mi

Marek Barański („Andrzejewski”, „Gazeta Olsztyńska” nr 92, 2003 rok) przypomina opowieść jednego z pisarzy o tym, jak to na jesieni 1970 roku poszedł w Sopocie z Andrzejewskim na wódkę. Pili w klubie studenckim. Młodzież nagle rozpoznała pisarza, zaczęła dosłownie całować go po rękach. Chcieli pić z nim wódkę, wlekli go do bufetu. Jego zachowanie w związku z wydarzeniami marcowymi sprawiało, że studenci wręcz go wielbili. Rok 1970 był dla pisarza szczególnie trudny, wówczas bowiem zmarła jego żona. Sam zaś Andrzejewski coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Mimo to żył jeszcze kilkanaście lat, choć pod koniec prawie nie opuszczał domu. W drugim obiegu w 1979 roku ukazała się „Miazga”. W wersji okrojonej przez cenzurę została wydana oficjalnie w 1981 roku. Zmarł 19 kwietnia 1983 roku, spoczywa na stołecznym cmentarzu Powązkowskim. 3 września 2006 roku Prezydent RP Lech Kaczyński odznaczył go pośmiertnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jeszcze przed napisaniem niniejszego tekstu mówiłam jednemu ze znajomych dziennikarzy, że zamierzam zająć się Andrzejewskim. „A co będziesz o nim pisać, jak on rezimowy był?” – zdziwił się. I mam wrażenie, że nie on jeden tak reaguje na to nazwisko. Jakiś czas temu na łamach „Nowego Państwa” kreśliłam sylwetkę Adama Ważyka. Wiele osób wspominających go, zachowywało się tak, jakby ta biografia zaczęła się dopiero od „Poematu dla dorosłych”. W przypadku Andrzejewskiego jest trochę odwrotnie. Pamięta się „Popiół i diament”, nie pamięta reszty życia. Osobny wątek stanowi fascynacja zwłaszcza części środowisk lewicowych prywatnymi perypetiami pisarza. W tym wszystkim Andrzejewskiego mi po prostu szkoda. Bo był to wspaniały zapowiadający się pisarz, który nie do końca wykorzystał własny talent. ■

Autorka jest pracownikiem POLSKIEGO RADIA A.

Agnieszka Kowalczyk

POLACY NA KRAŃCACH ŚWIATA

Część III

Odkrywczy tajemnic Czarnego Lądu

Konstanty Jodko-Narkiewicz

**Tajemnicza i niezgłębiona
Afryka od wieków
przyciągała białego
człowieka swym
pierwotnym pięknem,
kusiła egzotyką
i fascynowała
odmiennością
kulturową plemion
murzyńskich i ludów
arabskich. I choć
pierwsze wyprawy
Polaków na Czarny
Kontynent miały
miejsce już w wieku
XV i XVI z racji
działalności na tych
terenach rycerzy
zakonu maltańskiego
i peregrynacji setek
pielgrzymów przez
Dolny Egipt do
Ziemi Świętej, to
jednak szczególne
zainteresowanie
Afryką przyniósł
dopiero wiek XIX,
a potem czasy
międzywojennych
odkryć naukowych
i ekspedycji
badawczych
z udziałem Polaków.**

W rejonu Afryki chętnie zapuszczali się Józef Czekalski, Jerzy Loth, Bronisław Malinowski i Kazimierz Michałowski. O tym, jaki był ten kontynent przed wybuchem II wojny światowej, przekonać się mogli w szczególności polscy podróżnicy i odkrywcy jej tajemnic – Kazimierz Prószyński, Jerzy Giżycki, Bogdan Richter i Konstanty Narkiewicz-Jodko, którzy swymi wrażeniami dzielili się z naszymi rodakami w licznych reportażach, szkicach i listach, jak również w książkach podróżniczych, pozwalających zanurzyć się w egzotykę opisywanego świata.

► Niewolnicze wybrzeże

„Krew zakrzepła na czerwonych skałach, które bronią Afryki przed oceanem. Za skalnym łańcuchem ciągnie się wielka skalista sawanna, po której maszerują szeregi ludzi skutych łańcuchami. Ze spalonego stepu wieje smutek, strach człowieka, którego wyobrażenia pracują nad jednym zagadnieniem: jak ująć przed wrogiem? Porabane kadłuby ludzkie miotają się w drgawkach po piasku, gdzieś tam zatknięta głowa ludzka na patyku szczyrzy przeraźliwie zęby, krew wsiąka w ziemię. Mordy, gwałty, wiwisekcja na człowieku!”. Taki obraz Czarnego Łądu spływającego krwią Murzynów daje Kazimierz Prószyński w poruszającym studium „Niewolnicze wybrzeże” (1934). W swej opowieści sięga odległych czasów, gdy ludność tubylczą gnano na statki europejskie i wywożono na obce lądy, skąd nikt już nie wracał. Afrykańczycy sądzili wówczas, że jadą na śmierć, że biali to ludożercy, eksportujący żywe mięso do swoich krajów. Wrodzy sobie przywódcy plemienni niejednokrotnie pomagali ich w polowaniu na ludzi, bowiem z chwilą pojawienia się okrętu handlarzy, ogłaszali w wiosce stan wojenny i „szykowali wyprawę po materiał ludzki”. Biali zaś stosowali sprawdzone już metody osaczania i wylapywania przyszłych niewolników. W tym celu, pędząc przed sobą bydło, ukrywali się gdzieś w pobliżu stada, by rzucić się z nienacka na skuszonych zdobyczą tubylców. Wtedy też „długi rozwidlony kij z drzewa prayombè chwycił jeńca za szyję, wiązano jednych z drugimi i w ten sposób karawana podzielona na oddziały po trzydziestu ludzi z czterema dozorcami wracała na targowisko, gdzie następowały dokładne oględziny [...]. Niewolników myto, czesano pięknie, smarowano olejem palmowym, chudym dawano napoje, od których brzuch pęczniał na poczekaniu. Ba! nawet muzyka brała udział w całej ceremonii, gdyż tylko człowiek wesóło nadaje się do pracy. W tym celu wynajmowano śmieszka, który przy dźwiękach bębna starał się zmusić czarnych do uśmiechu. A gdy pomimo wszystkich

wysiłek białego – niewolnik nie dał się nabrać na uśmiech, harap dozorczy dokonywał potrzebnej przemiany psychicznej. Śmiali się przez łzy, ale się śmiali, bo tego chciał biały”.

Na niewolnictwie pierwsi zaczęli się bogaci Hiszpanie i Portugalczycy. Według obliczeń jezuity Garcia Simoensa w II połowie XVI wieku eksport niewolników z Konga sięgnął liczby 12 tysięcy. W roku 1562 w głąb Czarnego Łądu wyruszył pierwszy handlujący ludźmi Anglik Hawkins. Niebaczny na słowa królowej Elżbiety zwrócone do konkwistadorów: „Wszystkie gwałty i okrucieństwa, których byście dokonali, byłyby mi wstrętne. Zabraniam wam tego, gdyż ściągnie to na nas nienawiść ludzką i zemstę niebios!”, „ładuje czarnych, wozi, zarabia”. Niejednokrotnie taki handlarz ludzkim towarem zrywał ze swoją ojczyzną, wchodził w społeczność murzyńską i zostawał królem dzikich, mając na to przyzwolenie europejskich mocarstw. Przypomniany przez Prószyńskiego zapis z Czarnego Kodeksu Ludwika XIV (1685) zawierał natomiast cały repertuar najbardziej wymyślnych kar wobec nieposłusznego niewolnika – piętnowanie rozgrzanym żelazem, rozcinanie uszu, śmierć za porwanie barana, bat i przypiekanie za kradzież jarzyn, przecinanie ścięgien za ucieczkę.

Na początku XX wieku stosunek białego kolonizatora do czarnoskórego mieszkańca Afryki niewiele się zmienił. Stosował on tylko nieco inne metody zniewalania niż te sprzed wieków, by podporządkować sobie autochtonów i móc dalej eksploatować ich jako darmową siłę roboczą. Prószyński doszedł do wniosku, że Murzyn stał się niewolnikiem administracji. Oznaczało to w praktyce, że musiał płacić podatek na wysokość 30 franków od osoby, co przekładało się na konieczność własnoręcznego zerwania 60 kg orzeszków palmowych, oczyszczenia ich z miększu, wysuszenia i wyluskania. Oprócz tego zobowiązany był do dziesięciodniowej, darmowej robocizny na rzecz państwa, reperacji dróg uszkodzonych w porze deszczowej, a podczas przyjazdu urzędników służył im za wioślarza i tragarza oraz nosił w lektyce po kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Za odmówienie wykonania bezpłatnych prac czekała go kara cielesna, a nawet tortury. Czarnoskórych posyłano też „z listem do sąsiada”, który miał swą plantację 200 km dalej, mówiąc ze śmiechem: „Murzyn ma czas, niech się przejdzie...”.

Próbując wnikać w tajemnice niewolniczego wybrzeża, Prószyński dotarł na wyspę Goreé, pamiętającą czasy pierwszej inwazji białych na ziemię afrykańską. Jej północny cypel stanowił bazaltowy monolit z cytadelą górującą nad małym miasteczkiem, południowy zaś przylądek kończył się rotun-

dą, z której niegdyś straszyły armaty. Goreé żyło podwójnym życiem, bo w jego podziemiach ciągnęło się drugie, niewidzialne miasto. „Przez półrozwalone domy widać jakieś dziwne korytarze, które kręto biegają między ulicami, dając wyloty na wybrzeże, wprost na kamienne molo, gdzie przybijały statki” – opisywał to miejsce Prószyński. Tam wtłaczano pojmanych Afrykańczyków, po czym poganiani rozgrzanym żelazem, pędzeni byli wprost do luki okrętowej. Na wyspie Goreé niejednokrotnie wybuchały bunt. Zdarzyło się nawet, że wepchniętym do mrocznych podziemi udało się przepiłować łańcuchy i rzucić w morze w nadziei dopłynięcia do lądu, lecz gdy w ich stronę zagrzmiały armaty, 90 niefortunnych pochłonęły fale, pozostali zaś, wzięci żywcem, nie uciekli od swego przeznaczenia. Napotkani Murzyni niechętnie rozmawiali z Prószyńskim o wyspie. Jeden zapytany, gdzie są ich dawne więzienia, krzywił się, spłukał i mówił z zaciętością: „Nie będziesz mnie o to pytać”...

► Na Wybrzeżu Kości Słoniowej

Z perspektywy parnej dżungli Wybrzeża Kości Słoniowej afrykańską rzeczywistość oglądał i opisywał inny jeszcze poszukiwacz przygód i odkrywca Jerzy Giżycki – pisarz, podróżnik, w młodości narciarz i taternik, z zamiłowania ciekawy świata wojażer. Jeszcze przed wielką wojną wyruszył do Stanów Zjednoczonych – był kowbojem w Teksasie, poszukiwaczem złota w Kolorado, a nawet kierowcą milionera i filantropa Johna Rockefellera. Prawdziwą miłość swego życia odkrył w roku 1926 – była to zachodnia Afryka, do której wyrpował się jako członek ekspedycji zorganizowanej przez geografa Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego. Na ten egzotyczny ląd powracał jeszcze wielokrotnie, poświęcając mu swoje książki „Biali i czarni” (1934) oraz „Między morzem a pustynią” (1936).

W jednym ze swoich reporterskich obrazków „W ulewny wieczór” przenosi nas do dżungli, na Wybrzeże Kości Słoniowej, pozwalając chłonąć życie dziewiczej natury i zanurzonego w niej człowieka. „Do leja sztucznej, wydartej puszczy polany lał się z rozżarzonego zachodem nieba mokry, lepki war” – wprowadzał w tchnący egzotyka klimat, eksponując niezwykle efekt ciszy i „osypały bezbruch, w którym dźwiga się tylko od miękkiej, elastycznej, bezkamiennych ziemi ciężki opar wieczystego, nieustannego gnicia”. Wtedy to właśnie Giżycki gościł u naczelnika okręgu, komendanta Bergera, który dla ochłody raz po raz pociągał spory łyk anyżówki z wodą. Obaj patrzyli w stronę puszczy, nad którą zbierały się czarne zwały chmur zwiastujące „tornadę”, podzwrotnikową ulewę. Tyle co ukryli się pod słomianym dachem

„kazy”, gdy niebo otwarło się deszczem, jakiego doświadczyć można tylko pod zwrotnikiem. Wówczas to w oddali dał się słyszeć jakiś ludzki głos, po czym z wszechogarniających ciemności wyłoniło się czterech Murzynów niosących na głowach hamak, w którym, jak w kokonie, spoczywał biały człowiek owinięty od stóp do głów gumowym płaszczem. Okazało się, że był to właściciel sąsiedniej plantacji, który odprawiał teraz gestem dłoni swoich „hamakierów”, a ci bez słowa „wsiaкли w smagającą noc ulewę”.

Giżycki rozmyślał o istocie toczącego się tu życia, o tym, jak bujna afrykańska natura osacza człowieka, współpanuje z nim bądź burzy ustanowiony przez niego porządek. Gdzie nie spojrzeć, kręciły się roje ropuszek, „zwinne, beczelne, jakby wiecznie roześmiane rozciętymi od ucha do ucha pyszczkami”, urządziły polowanie na nisko latające termyty, a światło lampy, do którego garnały się owady, jako naturalny wabik zapewniało im żer bez końca. Walka o przetrwanie toczyła się tu bez ustanku. Silniejszy pożerał słabszego. Oto za oknem murzyński boy upolował właśnie węża, „czarna łapa wsuwa się triumfalnie przez okno, pokazując zdobycz”, a dogorywająca w przedśmiertnych konwulsjach bestia trzyma w swej gardzieli jedną z wszędożylnych ropuszek. Chacun son tour (Na każdego przyjdzie czas) – skwitował całą scenę komendant Berger.

Na te słowa plantator poderwał się z miejsca i ruszył do wyjścia pod pretekstem, że jego „negry zaczęły się rozpuszczać bez niego”. Był człowiekiem twardym i bezwzględny. Z dumą mówił, że przez niego powiesiło się już siedmiu Murzynów. Odebrali sobie życie, wierząc, że po śmierci jako „zagrobowi mściciele” dokonają zemsty na złym panu, polując na jego duszę. On jednak pozostawał niewzruszony, śmiał się nawet, mówiąc, że ostatnio dolega mu wątroba, ale to raczej skutek anyżówki niż duchów. Zaraz też wezwał gwizdem tych od hamaka, a rozciągnięty w nim, pokrzykiwał ostro na swych niewolników. „Zniknął w dżungli, unoszony przez czterech ogromnych drabów. Śpieszył do domu, gdzie zachodziła obawa, że negry zaczęły się bez niego rozpuszczać”. Zastanawiające pozostało, czy w jego przypadku spełni się francuskie porzekadło, że na każdego przyjdzie jego czas.

► W sercu Etiopii

W połowie lat 30. XX wieku w głąb Etiopii wyruszył się znawca języków orientalnych, podróżnik i publicysta doktor Bogdan Richter, któremu swoje powstanie zawdzięcza założony na Uniwersytecie Warszawskim pierwszy polski Zakład Kultury Dalekiego Wschodu (1922). Żywiołem Richtera były dalekie wyprawy do najodleglejszych zakątków świata. W swych

pasjonujących reportażach, pisanych pod rozgrzanym niebem Afryki, wnikał w przeróżne sfery jej życia, opowiadając o tym, co odkrywał obecnie, i o tym, co działo się tu przed wiekami. Jeden z takich przekazów poświęcił etiopskiej medycynie, rozpoczynając od przytoczenia miejscowego podania:

„Gdy królowa Saba wybrała się w swą wielką podróż do króla Salomona, znajdowała się w jej świcie także młoda służebna z okropnym wrzodem na nodze, który tylko Mądry Król mógł uleczyć. Głęboka wiedza Salomona rzeczywiście służebną wrzodu pozabawiła, lecz równocześnie nabawiła dziecka (kroniki milczą niestety, czy to było niezbędne do uleczenia) i dziecko to stało się protoplastą słynnego rodu Wag Szumów w Lascie, jednej z centralnych prowincji Etiopii, rodu słynącego ze swej wielkiej wiedzy medycznej, odziedziczonej widocznie po wrzodzie matki i mądrości ojca”. Ta prastara legenda poświadcza, jak wielką wagę mieszkańcy Etiopii przywiązywali do rozwoju medycyny, która liczyła w ich kraju blisko 3000 lat, przeżywając swój niebywały rozkwit w niebotycznych górach. Uprawiali ją tzw. tonquai, czyli „lekarze empiryczni”, operujący odwiecznymi metodami, które były czasem naiwne i dziecinne, czasem okrutne i drastyczne, ale zawsze bardzo skuteczne. Oprócz nich leczeniem zajmowali się też hakimi – w praktyce szarlatani, którzy zerowali na ludzkiej łatwowierności. Wielką popularnością cieszyły się poradnie i przychodnie zakładane przy europejskich poselstwach, które oferowały bezpłatną pomoc lekarską i całkiem darmowe leki, jak szpitale w Addis Abebie, Harrarze i Ankoberze. Trzeba przyznać, że Etiopczycy mieli duże zaufanie do białych medyków, przychodząc do nich nawet ze swoimi zwierzętami. Do jednego z niemieckich specjalistów przyprowadzono muła, by ten odczytał go brzydkiego zwyczaju kopania, a do pewnego szwedzkiego doktora przyniesiono nawet zepsuty gramofon z prośbą, by przywrócił mu zdolność mówienia.

Rukhter zauważył, że z powodu braku wielkich skupisk ludzkich (najludniejsza Addis Abeba liczyła 130 tysięcy mieszkańców) i wielkiego przemysłu z lasami kominów zatrujących powietrze, na wyżynie etiopskiej panowały pierwszorzędne warunki zdrowotne. Nie było więc tam dyfterytu – „zmory europejskich matek”, nie było dżumy, cholery ani gruźlicy. Spośród ciężkich schorzeń trzeba wymienić syfilis – „prawdziwy bicz Boży Etiopii” oraz zdradziecki trąd, dający o sobie znać nawet po 20 latach. W Harrarze istniała kolonia trędowatych, gdzie wśród chorych od 29 lat posługiwał ojciec Julien, który „czekając na zarażenie”, zbudował sobie w tym przeklętym miejscu własną chatynkę, lecz ciągle pozostawał w dobrym zdrowiu.

► Na ucztę z hipopotama

Wśród cudów etiopskiej przyrody niesamowite wrażenie wywarło na Richterze wielkie jezioro Tana, otoczone pierścieniem majestatycznych gór wznoszących się „dwa razy wyżej niż Giewont widziany z Krupówek”. Urzekające to jezioro, do którego wpada aż 30 rzek, porośnięte lasami, okraszone lobeliami i euforbią przypominającymi świeczniki ze świątyni Salomona, to zarazem centrum świata Etiopczyków, kolebka ich cywilizacji liczącej przeszło 2000 lat, wreszcie źródło Błękitnego Nilu, „żywiciela odległego o 3000 km kraju piramid, faraonów i... bawelny”. Wśród jego papirusowych zarośli miały swój dom niezliczone rzesze ryb i hipopotamów, a nad brzegami mieściło się odwieczne siedlisko ludu Woito, zbrojnego w lekkie włócznie, małe strzały i niewielkich rozmiarów łuki. Dla tego plemienia, któremu zazwyczaj doskwierał głód, szczytem ziemskiej szczęśliwości było „najedzenie się do wypęku, do zupełnej utraty tchu, do niemożności podniesienia się o własnych siłach z ziemi”.

I oto na oczach polskiego podróżnika spełniło się marzenie Woito o wielkiej uczcie, przynoszącej poczucie niebańskiej sytości. A wszystko za sprawą jednego hipopotama, ważącego 3000 kg „konia rzecznego”, zdolnego do „napchania brzuchów” całego plemienia. Wpadłszy w zasadzkę, w jakiś zdradziecko wykopany wilczy dół, nie potrafił się z niego wydostać i tam skończył swój żywot żądzany dziurkami tubylców. Myśliwi w istocie mieli dla niego wielką cześć, modlili się nawet do tego stworzenia o krótkich nogach i wlokącym się brzuchu, nazywając je pieszczotliwie „ojczulkiem”.

Gdy jednak ów „ojczulek” dał się już upolować, lud Woito zasiadł do biesiady, która nie miała sobie równych:

„Mężczyźni ostrymi nożami rozcinają różowy brzuch potwora, zwykle już pięknie wzdęty gazami, wskakują po pas do brzucha – i rozpoczyna się uczta, która się nieco różni od proszonych obiadów, jakie się zwykle wydaje w Warszawie.

Nagie postacie z rozkoszą babrzą się w cuchnącym obrzydliwie wnętrzu. Zębami i paznokciami odrywają kawały żółtego, gąbczastego tłuszczu, polykając je, jak indyki, nie gryząc, byle się prędzej dostały do żołądka. Surowe wnętrzności pożerają całymi metrami [...]. Olbrzymie krwawe ochłapy pożerają warząc i mrucząc, mlaskając i stękając, spiesząc się, by towarzysze uczty nie zjedli więcej od nich [...]. Lecz jeść jest nie dosyć. Smakosze kładą sobie olbrzymie kawały hipopotaniny na głowę, albo też jak szaliki, na szyję, rozkoszując się samym dotknięciem mięsa, wchłaniając je także wszystkimi porami skóry”.

Po jednorazowym pochłonięciu od 10 do 15 kg surowego mięsa brzuchy Woito pęcznieją do niesamowi-

tych rozmiarów, a żarłoczni wojownicy postępują z załością na widok nietkniętych jeszcze jego stosów, pożerają je chciwie wzrokiem, ale nie mogą już zjeść ani kęsa... Dla Richtera są po prostu pijani z przejedzenia. Bredzą, ledwo ślaniają się na nogach, zataczają w amoku, a w końcu pokładają, gdzie popadnie i pograżają w słodkim śnie. Wtedy też przychodzi kolej na czekające w oddali zastępy wygłodniałych kobiet i dzieci, które spieszą na hipopotamową ucztę, zanurzając się z rozkoszą we wnętrznościach upolowanego zwierza, czemu towarzyszy nieopisany „pisk, wrzawa, rwetes, poszturchiwanie, wodenie się za łby o lepsze miejsce przy stole”. Gdy się wreszcie nasycą, na ucztę przybędą kolejni biesiadnicy – hieny, szakale i krokodyle, po których pozostanie już tylko szkielet „biednego ojczulka”. Na odchodnym obwieszają się jeszcze kawałami mięsa i tak unurzani w hipopotamiej krwi, wśród chmar brzęczących much, wloką się do swej wioski. Jest to, jak pisze Richter, „jeden z tych obrazów, których nie zapomni nigdy, kto raz go widział”.

► Dziki syn pustyni

Jednemu z najbardziej znanych polskich podróżników międzywojnia, Konstantemu Narkiewiczowi-Jodce, zdobywcy andyjskich szczytów, polarnikowi i miłośnikowi lotów balonem, zamarzyło się zgłębienie tajemnicy największej pustyni świata – Sahary. Gdy w kwietniu 1939 roku znalazł się na wybrzeżu Afryki, pierwszym celem na jego szlaku była Batna – mała osada kabylska leżąca u stóp dzikiego Atlasu Saharyjskiego. To miejsce zatopione wśród głuchej dzicy otaczały górskie łańcuchy o obłych, żółtawych szczytach, strome wawozy, głuche doliny pokryte cedrami. Na tym odludziu Narkiewicz-Jodko poznał człowieka uchodzącego za wcielenie afrykańskiego sprytu. Nazywał się Amer ben Diab, co po arabsku znaczy Syn Szakala. Był on „jednym z tych niewyraźnych mętnych typów grasujących po oazach i miasteczkach północnej Sahary [...]. Łazik, wagabunda, wydrwigrosz i nabieracz”, myślący jedynie o tym, jak przechrzyć białego człowieka i do cna opróżnić jego kieszeń. To, że Narkiewicz-Jodko wybrał go na swego przewodnika – opiekuna, tragarza, służącego, doradcę i tłumacza – było, jak mówił, dziełem przeznaczenia. Razem więc, „zgnieceni jak śledzie w beczce”, ruszyli w rozlekatą ciężarówkę ku nowej przygodzie pod rozpalonym niebem Afryki. Po drodze Amer znalazł człowieka, który miał poprowadzić Narkiewicza-Jodkę przez Saharę. Był nim niejaki Hadzi Berkat – arabski szejek, pierwotny i dziki syn pustyni.

Wyprawa ruszyła nazajutrz o pierwszej w południe. Szli długo, nim dotarli do obozu Beduinów, z którego pochodził Hadzi. Choć przemierzali bezkresne króle-

stwo złotych piasków i ognistego słońca, to oznaki wdzierającej się cywilizacji były tu wszechobecne – pustynie, na której koczowały półdzikie ludy z wielbładami, przecinały raz po raz linie kolejowe i asfaltowe szosy, a pod murami rozbudowywanych miast grasowały hieny i szakale. „Nigdzie może cywilizacja i pierwotność, dzicz i kultura, nie stykają się tak bezpośrednio, jak w Północnej Afryce” – pisał Narkiewicz-Jodko, podkreślając niemożność całkowitego ucywilizowania tej wrogiej i obcej człowiekowi przestrzeni.

Nareszcie nocleg! Wcześniej jeszcze powitanie przez Beduinów, brudną dzieciarnię, głodne psy pustyni i staro, trzęsącego się ojca Hadżiego. Pełen wrażeń Narkiewicz-Jodko, obstawiając się workami, zasypiał u boku półdzikiego koczownika, czując pod sobą zeschniętą glinę pustynnej ziemi i widząc w górze rozgwieżdżony firmament. Rankiem znaleźli się na hamadzie. Był to najbardziej monotony rodzaj pustyni – szara, płaska równina, gdzieś tam porośnięta kępami suchych traw i kłujących krzewów. Gdy wielka, czerwona kula błysnęła na horyzoncie, zwiastując nieznosny upał, Narkiewicz-Jodko postanowił spróbować swoich sił przy dosiadanu wielbłąda. Pierwsza próba była udana, ale przy kolejnej doznał prawdziwego szoku – wyrzucony w powietrze przez dzikie, narowiste zwierzę „sterczał nogami do góry”, z głową wbity w ciemny krzak targy.

Najgorsze było to, że żywność wyczerpywała się powoli, bowiem Hadzi nie zabrał ze sobą żadnych zapasów przekonany przez chytręgo Amera, że jedzenia w zupełności wystarczy. Wkrótce więc jedynym posiłkiem wędrowców stały się daktylę popijane kawą gotowaną na brudnej, pustynnej wodzie. Skazany na głodówkę wielbłąd, dla którego mieli tylko parę garści owsa, chudł w oczach i stawał się coraz bardziej dziki i histeryczny, a do najbliższego Lued było jeszcze dziesięć dni drogi. Niesamowity skwar dnia i przeszywający chłód nocy wyczerpywały siły, a ślaniający się z głodu wielbłąd próbował uszczknąć jeszcze kępę uschniętych traw, które gdzieś tam wyglądały spod piasków. Nocami zaś rwał się do uczciłki, pętano go, przywiązano nogi, a on mimo to, utykając, zapuszczał się w pustynię. Ciągłe trzeba było go szukać, łapać, krępować na nowo. Tymczasem prowiant zeschł się na kamień, upały stały się nie do wytrzymania, piasek patrzył w stopy przy postojach, a olbrzymie stado much krążyło nad wędrowcami nieustannie, ciemną chmurą obsiadając wielbłąda, juki, worki i ludzi. „Sadowiły się bezczelnie na twarzach, głowie, wchodziły w nos, oczy i usta. Przy każdym żywym ruchu chmura much podrywała się z niesamowitym szumem w górę, wisiała chwilę w powietrzu rozbrzęczana, bzykająca i spadała z powrotem”. Teraz bardziej niż kiedykolwiek dawały się we znaki wcześniejsze szachrajstwa Amera, które zdawały się

prowadzić do katastrofy, zwłaszcza w obliczu braku pitnej wody, a co za tym idzie, śmierci z pragnienia. Przechowywana w arabskiej gurdzie (wypatroszone młode koźle, zaszyte na brzuchu, z obciętym łbem) pustynna woda, przeszły zapachem koźlej skóry i wielbłądziejgo potu, który ją zarazem naturalnie nasycił, miała kolor rozrobionej gliny, a smak nadgniętego mułu z dodatkiem smoły, tak że właściwie nie nadawała się do picia. Nic więc dziwnego, że jeden lyk takiej cieczy zwał z nóg białego człowieka.

► Cień Sahary

Naszym wędrowcom poszczęściło się na tyle, że wbrew wszelkim przeciwnościom wkroczyli wreszcie w krainę szottów – słynnych jezior pustynnych, polykujących w słońcu skorupę soli. Tam też doświadczyli zjawiska fatamorgany, mając wrażenie, że wielka, błękitna woda rozlała się po piaskach. Gdy nagle zniknęła, oczom ich ukazała się na powrót ziemia zeschnięta, naga i ziejąca pustką. Prawdziwym zwiastunem nieszczęścia stał się natomiast skorpion, który nocą wygrzebał się spod posłania podróżników. W świecie arabskim była to zła wróżba, w co święcie wierzył przesądny Hadzi, który dopiero teraz zdał sobie sprawę, w jak trudnym znaleźli się położeniu, mając do pokonania zdradziecki szott błyszczący cienką warstwą soli, pod którą kryła się głębia wód, zdolna pochłonąć człowieka bez reszty. Za nią to dopiero otwierała się wyteśniona oaza ze świeżą wodą i daktylami.

W przekonaniu Narkiewicza-Jodki „wielbłąd też musiał to czuć. A jednak zdecydował o tym, co stało się w następnej chwili. Na pół oszalał z głodu i upału bydlę, wbrew wszystkim oczekiwaniom i wszelkiej logice, nie skręciło spokojnie do oazy. Ruszył nagle w bok. Wściekłym galopem. Poniósł! Prosto na szott!... O zatrzymaniu się nie było mowy. Wielbłąd ryczał i pędził na osłep”. Mimo wszystko jeździec miał wiele szczęścia, bo rozsierzdzone zwierzę w ostatniej chwili, tuż przed samym szottem, skręciło w bok i z całych sił zaryło w ziemię. Podczas szaleńczej jazdy kątem oka dostrzegł, że jeden z tobołów z namiotem, śpiworem i żywnością oderwał się i stoczył w dół, wprost do wody. Sam był jednak ocalony. Półprzytomny widział jak przez mgłę nadbiegających z oazy Arabów, którzy obezwładniali rozszalałego wielbłąda. Okazało się, że okulał, więc Hadzi nie mógł już dalej towarzyszyć białemu zdobywcy pustyni. Rozstali się na wzgórzu oazy El Hamraja, gdzie arabski szekj poprzysiął w sercu zemstę Amerowi. Sam zaś Narkiewicz-Jodko ostatecznie nie żałował, że Syn Szakala, ów „ponury cień rozpalonej Sahary”, stanął na jego drodze, otwierając ją ku ziemi piasków, wielbłądów i Beduinów, gdzie najpóźniej odkrywa się, czym jest człowiek, natura i Stwórca.

Gdy wszyscy rozpisują się dziś o Nagrodzie Nobla, która nic nie znaczy, my o Nagrodzie Nobla, której nie było... Poniżej przedrukowujemy za paryską „Kulturą” z 1955 roku tekst znakomitego krytyka Wacława A. Zbyszewskiego o Józefie Mackiewicz i jego „Dro-dze donikąd”, za którą Nobel słusznie mu się należał. Książce trudnej, bo jak pisze Zbyszewski: „Wielkie Xięstwo Litewskie – empirowe i tańczące w takt poloneza u Mickiewicza, jeszcze kraśne ma-kami polnymi i jarzębiną u Orzeszkowej – kona

bez słowa u Mackiewicza, kona w nędzy, w opa-rach samogonu, w upodlającym strachu i w nie-opisanym brudzie”. Mackiewicz antykomunista jest według Zbyszewskiego pisarzem proletariac-kim: „Nasz polski Gorkij. Według mnie – lepszy”. Jest proletariacki, w przeciwieństwie do polskiej literatury przedwojennej, ale także PRL-owskiej, która była – wbrew zakładanym maskom – inteli-gencka... Bardzo ciekawy tekst i bardzo mocny pa-radoks, szczególnie z perspektywy roku 2019, gdy znamy dalszy ciąg tej historii.

Wacław A. Zbyszewski

Nagroda Nobla

Mackiewicz jest pisarzem proletariackim. Prawdziwie wypadają u niego tylko ludzie, którzy nos wysmarkują w dwa palce. Gdy ktoś używa chusteczki do nosa, Mackiewicz natychmiast czuje się jakby nieswojo. Staje się jakby myśliwym albo raczej psem gończym, który zmylił trop, którego zawiódł węch. On, który tak pewną ręką, z tak nieprawdopodobną maestrią rysuje prostaków, niepiśmienną czern, no od biedy jakąś półinteligencję – od razu traci i tę pewność, i tę precyzję, i przede wszystkim tę prawdę życia, gdy zahacza o inteligencję. Od razu nie to.

„Proust wielkim pisarzem? Ce plaisantin?” miał powiedzieć Anatole France, zasłyszawszy pod koniec życia o rosnącej sławie autora „A la recherche du temps perdu” [„W poszukiwaniu straconego czasu – przyp. red. „NP”]. France znalazł Prousta z salonów, widział w nim snoba (trafnie), aroganta (trafnie), nie dostrzegł w nim geniusza. Bóg litościwy pozwolił France’owi nie dożyć czasów, w których jego własny rozgłos wyglądał wobec sławy Prousta jak wytarta, groszowa moneta.

Nie ludzie klasy bądź co bądź France’a, ale niezłazone polskie literaciny, dziennikarzyny, a przede wszystkim urzędniczyńno roześmieją się grubym, wulgarnym, hałaśliwym śmiechem,

gdy usłyszą, iż Mackiewicza (Józefa) śmiano nazwać publicznie najwybitniejszym, najznakomitszym, największym polskim pisarzem okresu powojennego.

Jak to się dzieje? Dlaczego? W jaki sposób prowincjonalny publicysta mógł stworzyć Dzieło, i to Dzieło nie w cudzysłowie, napisać powieść, która będzie należała do żelaznego repertuaru polskiej literatury, gdy nazwiska tylu głośniejszych, reklamowanych jego kolegów po piórze, nie wyłączając jego rodzzonego brata, znane będą chyba tylko molom archiwalnym, bibliofilom, bibliografom, bibliotekarzom. Gdzie, w czym tkwi sekret tego talentu, tej potężnej indywidualności pisarskiej?

► Książka to bez uśmiechu

Sekret to trudny i skomplikowany. „Droga donikąd” jest kroniką okupacji Wileńszczyzny przez Sowietów w roku 1940–1941. Opowieść zaczyna się w chwili włączenia Litwy do Z.S.S.R. w dniu 5 sierpnia 1940 roku, kończy się w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, 22 czerwca 1941. Kronika ta składa się z szeregu fragmentów dość luźno z sobą związanych: można ją porównać do mozaiki, do zbioru nowelek. Losy trzech osób stanowią jakby zawiąsy tej opowieści: Pawła, który ma wyraźne rysy autobiograficzne, jego żony Marty oraz jego kochanki Weroniki.

Ale prawdziwą klamrą tej opowieści nie są osoby, ale kraj. Wilno, ani razu nie wymienione z imienia – wzorem rosyjskim („w gorodzie N.”), autor pisze stale: „w mieście”. Wiadomo. Nikt się nie może omylić. Można poznać i ulicę Mickiewicza, i Zamkową, i Zielonego Strahla, i brzegi Willi. Ale autor pisze stale „w mieście”. Może nie chciał urazić uszu litewskich. Może raczej chciał podkreślić, że dla mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Miasto może być tylko jedno.

Tak, kraj. Podwileńskie osady, z wolna przechodzące w wioski zapadłe, ubogie, w jeszcze biedniejsze pojedyncze chaty na podmokłych łąkach, wreszcie w puszcze rozległe, rojsty grząskie jeziora i bagna. Mackiewicz ma niezrównany, ale ściśle swoisty talent opisywania tego kraju – dla mnie płaskiego i niepociągającego – a który jak żadna inna część Polski został unieśmiertelniony w naszej literaturze. U Mickiewicza, u Weyssenhoffa jeszcze, kraj ten się uśmiecha. U Mackiewicza jest pośepny, trumienny, groźny. Była taka sztuka sowiecka: „Rycyz Kitaj” (Rycie Chiny). Dobra sztuka. Powieść Mackiewicza mogłaby się nazywać: „Szlochaj, Litwo”.

Książka to bez uśmiechu. Tragiczna, bolesna, zła. Ludzie w niej są źli. Przyroda zła. Pogoda – mrozy, zadyмки, wiatry, odwilże, wilgoć, komary – wszystko walczy z człowiekiem. Czasem tylko zwierz jakiś jest dobry, przyjazny: koń, pies, kot, ptaszek, nawet wilki: gdy ktoś się pyta, czy to prawda, że wilki pojawiły się w okolicy, wszyscy się tylko śmieją. Ale choć ponura, tragiczna – książka Mackiewicza nigdy nie wpada w sentymentalizm. Człostkową nie staje się ani na chwilę. Nic z Żeromszczyzny, nic ze Stanisława Mackiewicza, jego typowej irytującej, histerycznej czy histeryzującej self-pity. Książka ma jakąś straszliwie niepolską twardość. Rzadko rozlega się w niej krzyk czy jęk. Gdy Wercie NKWD wywozi na Sybir, to „na nic, ażeby choć na cokolwiek spojrziała. Oczy

tylko wbiła przed siebie jak umarła. Ani słowa. Stary jak siadał, też nic nie mówił...”. Wielkie Xięstwo Litewskie – empirowe i tańczące w takt poloneza u Mickiewicza, jeszcze krasne makami polnymi i jarzębiną u Orzeszkowej – kona bez słowa u Mackiewicza, kona w nędzy, w oparach samogonu, w upodlającym strachu i w nieopisanym brudzie. [...]

► Bard szarych, najmniejszych ludzi

Gdybym pisał traktat ekonomiczny o „skutkach gospodarczych okupacji sowieckiej na podstawie powieści Mackiewicza”, musiałbym stwierdzić, że konsumpcja mydła itd. spadła do minimum, natomiast w co najmniej tymże stopniu wzrosła konsumpcja samogonu. Autorowi z tym brudem, z tym smrodem, z tą nędzą jest jakby dobrze. Mackiewicz jest pisarzem proletariackim. Prawdziwie wypadają u niego tylko ludzie, którzy nos wysmarkują w dwa palce. Gdy ktoś używa chusteczki do nosa, Mackiewicz natychmiast czuje się jakby nieswojo. Staje się jakby myśliwym albo raczej psem gończym, który zmylił trop, którego zawiódł węch. On, który tak pewną ręką, z tak nieprawdopodobną maestrią rysuje prostaków, niepiśmienną czerń, no od biedy jakąś półinteligencję – od razu traci i tę pewność, i tę precyzję, i przede wszystkim tę prawdę życia, gdy zahacza o inteligencję. Od razu nie to. I dialog słabszy. I język uboższy. I psychologia coś nawala. Nie tylko gdy chodzi o rezonujących inteligentów: Tadeusz, Leon, Karol, Konrad są wszyscy jacyś papierowi. Ale nawet ledwo naszkicowani eksziemianie, jak Bogucki, jak Rukowski, jak jego szwagier Witold z Wykont – to też nie to. Nie to. Ot, trudno powiedzieć dlaczego, ale nie to. Mackiewicz jest pisarzem proletariackim, jest bardem szarych, małych, najmniejszych ludzi. Kulak, jak stary Bożek, Żyd, co się dorobił dwunastu fajerek, gajowy, konfident Rymaszewski, stary ptasznik próbujący skojarzyć czyja z samicą kanarka i palący lampadę przed ikoną Kazańskiej Matki Bożej – oto szczyty społeczne dla Mackiewicza. Nasz polski Gorkij. Według mnie – lepszy.

Literatura polska zarówno dwudziestolecia jak i okresu powojennego nie była ani proletariacka, ani chłopska – była i jest typowo inteligencka. Jej warsztatem nie jest ani fabryka, ani zagon małego rolnego – lecz kawiarnia, czasami biuro. I oto ci bezklasowi albo zdeklasowani inteligenci, półinteligenci i ćwierćinteligenci, chcąc sprawić wrażenie „ludowości” czy „postępowości”, chcąc okazać chłopską czy robotniczą „krzepę”, chcąc swej bladej, jak słaba herbata, polszczyźnie nadać rumień-

ców „demokratycznych” czy nawet „sorealistycznych” – uciekają się do kopolalii. Niejedno dzieło, wydane nie tylko w Bierutówce, ale i na emigracji, grzeszy takim beziarnem kopolalicznym beżeństwem i brudów. Wysoka klasa artysty i realizmu (bez „soc.” i bez „pol.”) Mackiewicza przejawia się między innymi tym, że tej kopolalii nie ma ani śladu: gdy stary ptasznik sprzedaje Pawłowi konia, to zachwala go w tych słowach: „Za przeproszeniem, dupka u niego jak u panienci”. Ach, to „za przeproszeniem”... jaka prawda bije z tych zwrotów. [...]

Postacie kobiece są zwykle najsłabszym punktem polskiej powieści. Inaczej u Mackiewicza. W „Drodze...” dał on kilka sylwetek i dwa portrety en pied żony bohatera, Marty, i jego kochanki, Weroniki. Wszystkie typy kobiece Mackiewicza mają pewne cechy wspólne. Naprzód są to pracownice, omal zwierzęta gospodarne, część dobytku. Zapracowane po uszy. Praca to straszliwie mało wydajna, ale nieustanna, ciężka, wyteżona. W rzadkich chwilach, kiedy Paweł chciałby popieścić żonę, ta musi go ofukać, bo ma ręce ubabrane mieszaniną jakiegoś ciasta. Wiadro, przetak, miotła – oto świat kobiet Mackiewicza: nie szminka, nie róż, nie puder. [...]

► Józef jest jako artysta obiektywny

Józef Mackiewicz pod jednym względem bije swego brata: oto jako powieściopisarz, jako artysta Józef umie wyjść z siebie, staje się dzięki jakiemś tajemniczemu procesowi samobójstwa własnej osobowości już tylko fotografem, już tylko autorem, który rejestruje cudze myśli, uczucia, słowa. Józef jest jako artysta obiektywny. W pewnej chwili autor znika. I gdy znika, jego twory, jego bohaterzy zaczynają żyć własnym życiem, poruszają się, mówią, cierpią, czują, wypełniają strony, książki, świat. Stają się żywi. Weronika żyje tym samym życiem co Basia Wołodowska czy Izabella Łęcka czy Hanka od Borynów. Stanisław jako literat może osiągnąć nieśmiertelność wyłącznie pamiętnikami: musi wzorować się na Saint Simonie czy Casanowie, czy od biedy na Goncourtach (przekłamanych). Natomiast Józef musi tylko zapomniać, że istnieje coś takiego, co się nazywa polityką. [...] jako atmosfera, jako nihilizm, jako konstrukcja nawet – powieść jego jest czysto rosyjska, wywodzi się w prostej linii z Gogola i Szolochowa. I jeżeli gdzie zagranicą, to w Rosji „Droga donikąd” znajduje uznanie. W Rosji pobolszewickiej może zostać bestsellerem.

► Wypędki szpiclowskie nienawidzą Mackiewicza

Gdy myślę o Józefie Mackiewiczu, zbiedzonym, ponurym, milkliwym, skrzywdzonym, zgorzkniałym i złośliwym, przychodzi mi zawsze do głowy porównanie z Dostojewskim. Jakież redakcje, klubiki, biura cenzury, mieszczańskie, petersburskie „kwartiry” z ogromnymi orzechowymi kredensami i bufetami, w których przy okrągłym stole, przy ćmiącej lampie naftowej ówczesna elita piła herbatę z dymiących samowarów. I widzę tych Bielińskich, Niekrasowych, Katków, Grigorowiczów i tylu, tylu innych, nadętych, pontyfikujących, uroczystych, z dewizkami, z zegarkami jak cebule, rozwalonych w fotelach, gędzących, jakby to była ówczesna arystokracja warszawskiego Ipsu, a gdzieś na szarym końcu skulony, milczący Dostojewski, który, nie wiem czemu mi się tak wydaje, musiał wiecznie marznąć. Taki sobie mały, brzydki, niechlujny człowieczek, nerwowo patrzący spość łba, którego ręce niespokojnie latają po blacie stołu. Nikt na niego nie patrzy, nikt się do niego nie zwraca. Ledwo jest tolerowany. Czasem gdy go ktoś wspomni: ach, ten epileptyk!

A dzisiaj? To wszystko zapomniane. Nazwiska nie mówiące. Nazwiska, które gdzieś figurują po słownikach bibliograficznych, tylko dlatego, bo kiedyś otarły się o Fiodora Michajłowicza...

Może to samo spotka nas wszystkich. Józef Mackiewicz jest też krzywdzony, spychany na ostatnie miejsce, lekceważony, szkalowany przez sfere pasożytów, którzy tradycyjnie jak pijawki łożą krew i chleb literatów, tych „organizatorów”, tych kontrolerów, tych przewodników, tych polrealistów, poprawiaczy, naprawiaczy i innych łobuzów. Przez zwyczajnych łapsów i prowokatorów policyjnych. Cała ta gadzina, wszystkie te wypędki szpiclowskie i drugooddziałowe nienawidzą Józefa Mackiewicza, szkalują go i denuncjują z tą samą zajądlą nienawiścią, z jaką szczeka na niego ulicznica Odolska, też niemogąca mu darować, że talent wykopał tak nieprzebytą przepaść między bolszewicką dziwką a samotnym pisarzem...

*

Gdyby „Droga donikąd” była napisana po niemiecku czy choćby po rosyjsku, to by Józef Mackiewicz dostał Nagrodę Nobla jeszcze w tym roku.

A tak?

Ech, życie...

Przedruk za: „Kultura”, 1955, nr 10/96, s.148–158. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.

Marek Kalinowski

W starym kinie

„Czy pani umie grać już w yo-yo?” – tym pytaniem Jan Młynarski zaczyna niezwykłą podróż w czasie. Wraz ze swoim kolegą, pianistą Marcinem Maseckim, reaktywowali właśnie swój jazz band, by albumem „Płyta z zadną w sercu” po raz drugi zaczarować nas brzmieniem przedwojennej Warszawy.

Wszystko zaczęło się od wydanej dwa lata temu magicznej płyty „Noc w wielkim mieście”. Wyciągnięte z zapomnianych szuflad przedwojenne hity zaczarowały polską publiczność. A co się zmieniło przez czas oczekiwania na nowy album?

Zespół powiększył się o sześciuosobową sekcję smyczkową, dwóch trębaczy i puzonistów. To poszerzenie składu oddało do dyspozycji aranżera pełną paletę środków, z których w pełni skorzystał, w konsekwencji znacznie wydłużając dawne utwory. Nikt tu jednak raczej nie będzie narzekał, nawet przy rozciągniętym do 10 minut znanym z repertuaru Mieczysława Fogga tangu „Żebyś ty wiedziała, jak mi się chce”. Mamy bowiem do czynienia z plejadą wyśmienitych muzyków, którzy otrzymali dużo miejsca na wirtuozerskie popisy. Zachwycą tu zarówno gra Maseckiego, jak i Michała Feltera, ale czas znalazł się nawet dla niskich tonów ogromnego suzafonu Piotra Wróbla, a wszystko w takt delikatnej perkusji znanego z wielu świetnych projektów wytwórni Lado ABC Jerzego Rogiewicza.

Druga poważna zmiana związana jest z samym brzmieniem zespołu. Muzykom do nagrań udało się wypożyczyć z berlińskiego studia Emila Berlinera dwa zabytkowe mikrofony węglowe z lat 20. minionego wieku. Aby wszyscy byli w pełni słyszalni, nagranie wymagałoby od realizatora i samych muzyków nie lada gimnastyki, z wędrownką po studiu włącznie. Nie udało się zatem uciec od użycia zupełnie współczesnych rozwiązań, co i tak nie zmienia faktu, że efekt jest niesamowity!

Ale czyżby naprawdę utwory są tak wierne epoce? Aranżer Marcin Masecki zapewne nie byłby sobą, zostawia-

jąc wszystko przeszłości. W swoich planach zadbał więc, by w przedwojennej formie zamknąć całkiem współczesne akcenty. Jednym z nich jest choćby solo młodego, topowego saksofonisty Kuby Wiecka, który we wspomnianym utworze „Yo Yo” daje pełne spektrum swoich możliwości. Poszarpane dźwięki saksofonu z powodzeniem mogłyby

zabrznieć w najbliższy weekend w modnym londyńskim jazz klubie, a jednak odnajdują się równie dobrze w reaktywacji przedwojennego, warszawskiego big bandu. Podobnych związków ze współczesnością znajdziemy na tej płycie dziesiątki, dzięki czemu całość jest zupełnie ponadczasowa.

Na światło dzienne wychodzą zapomniane piosenki Mariana Hemara, Henryka Rostworowskiego, Szymona Kataszka czy Zygmunta Karasińskiego. Odtwarzając ich dzieła, Młynarski tak bardzo poczuł klimat epoki, że popadał w swojej starodawnej modulacji w lekką przesadę, stając się „jeszcze bardziej przedwojenny” od śpiewanych oryginałów, co momentami nieco prze-

szkadza. Nie zmienia to faktu, że wykonał kawał znakomitej roboty.

Płytę zamyka kompozycja Karasińskiego „Warszawo, moja Warszawo”, niezwykle hold dla miasta z 1933 roku, tym bardziej wzruszający, jeśli przypomnimy sobie, że dekadę później miasto to wraz z jego wspaniałą muzyką przestało istnieć.

Szkoda, że podobnej płyty nie doczekało pokolenie, które pamiętało przedwojenne występy warszawskich jazz bandów. Proszę sobie tylko wyobrazić, jak wielką radość dałaby możliwość konfrontacji z emocjami i pamięcią.



Jazz Band Młynarski-Masecki, PŁYTA Z ZADNĄ W SERCU,
Agora, Toinen Music



Kamil Goral, ekspert RG SWS

Podatki po nowemu

Kadencja 2015–2019 to okres, w którym Sejm przyjął kilka niezwykle ważnych i bardzo dobrych ustaw. Jako wzór służyć mogą regulacje dotyczące sukcesji w przedsiębiorstwach, wiele pilnych spraw rozwiązuje także nowa ustawa o zamówieniach publicznych czy zatorach płatniczych. Rząd wyszedł naprzeciw licznym postulatam i oczekiwaniom polskich firm, to coś, o czym należy pamiętać w gospodarczych podsumowaniach minionych czterech lat.

Teraz pora poważnie zabrać się za podatki. Polski system podatkowy doczekał się już licznych epitetów pod swoim adresem. Krytykują go praktycznie wszyscy zainteresowani i w tej krytyce mają bardzo dużo racji. Problem polega na tym, że nasze prawo podatkowe to istna kompilatorka rozwiązań przemysłanych bardzo, mniej i zupełnie przypadkowych. Kiedy wszystko to nałoży się na siebie, powstaje istny amalgamat przepisów, interpretacji oraz wyroków sądownictwa krajowego i unijnego. Połapać się w tym nie mogą nawet najlepsi specjaliści w kraju, a ci, którzy coś z tego wszystkiego rozumieją, mówią wprost: dobrze nie jest.

Zaciera się także zaczyna cienka granica między uzasadnionymi działaniami uszczelniającymi system podatkowy a zwykłym dokręcaniem śruby tym, którym można ją dokręcić. Bo jak rozumieć fakt, że uczciwi przedsiębiorcy miesiącami muszą tłumaczyć się skarbowce z rzeczy, z których nie powinni? Jak uczciwy podatnik ma nieprzejeźdnemu urzędnikowi udowodnić, że dopełnił należytej staranności w sprawdzaniu kontrahenta? Jeśli się jednak tego nie udowodni, można zapomnieć o zwrocie VAT lub trzeba już pobrany zwrot oddać wraz z odsetkami. Efekt? Ruina niemal z dnia na dzień.

Normą staje się, że urzędnicy pracujący w aparacie podatkowym bezwzględnie ciągną po sądach ludzi, mimo że w sposób oczywisty nie mają racji, co prędzej czy później zostanie wykazane przed tymże sądem. Nie ma to jednak znaczenia, trzeba bowiem wykorzystać wszystkie możliwości, bez oglądania się na efekt. Dla przedsiębiorcy to często lata ogromnego stresu i straconych pieniędzy. Urzędnik w takich okolicznościach nie ma nic do stracenia, bo za nic nie odpowiada.

W efekcie tracą wszyscy. Najbardziej zaś budżet państwa, który teoretycznie powinien być tutaj jedynym wygranym. Oczywiście jest bowiem, że bez całej rzeszy przedsiębiorstw państwo nie miałoby od kogo ściągać różnego rodzaju danin. Im firmom lepiej się wiedzie, tym lepiej wieść się będzie finansom publicznym. Tak! To takie proste! Co zatem zrobić, aby wszyscy to zrozumieć? Po pierwsze, zmienić prawo tak, aby nie docho-

**IM FIRMOM LEPIEJ SIĘ WIEDZIE, TYM
LEPIEJ WIEŚĆ SIĘ BĘDZIE FINANSOM
PUBLICZNYM. TAK! TO TAKIE PROSTE!**

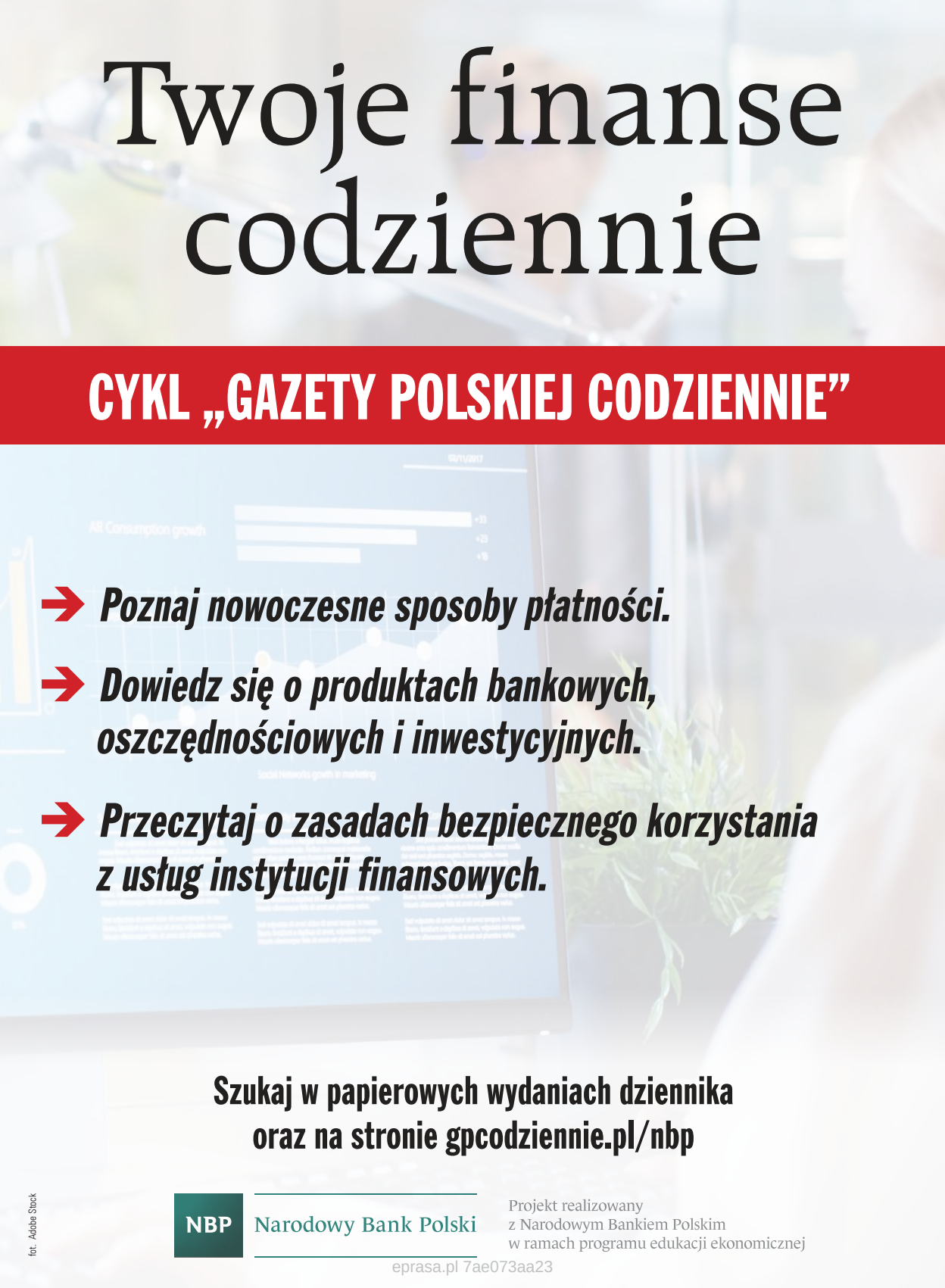
dziło do ciągnięcia ludzi po sądach w bezsensownych sporach. Służyć temu powinny rozwiązania proceduralne, takie jak ordynacja podatkowa. To w niej wprost trzeba zapisać: do sądu idziemy wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne. W przeciwnym wypadku urząd powinien odpuścić.

Kolejna sprawa to koncyliacja, poszukiwanie rozwiązań kompromisowych między urzędem a podatnikiem. Dobrze, że w pracach nad nową ordynacją takie rozwiązania zostały wprowadzone. Warto jednak, aby po ich wprowadzeniu dochodziło także do ich stosowania. Prawo może być znakomite, deklaracje szczytne, ale ostatecznie zdecyduje praktyka. Jeśli w sferze praktycznej nie będzie zmian wyraźnych i jednoznacznych, same regulacje nie wystarczą. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

Twoje finanse codziennie

CYKL „GAZETY POLSKIEJ CODZIENNIE”

- 
- ➔ **Poznaj nowoczesne sposoby płatności.**
 - ➔ **Dowiedz się o produktach bankowych, oszczędnościowych i inwestycyjnych.**
 - ➔ **Przeczytaj o zasadach bezpiecznego korzystania z usług instytucji finansowych.**

**Szukaj w papierowych wydaniach dziennika
oraz na stronie gpcodziennie.pl/nbp**

NBP

Narodowy Bank Polski

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl 7ae073aa23



FOT. ROBERT SCHLESINGER/PAP/PPZ



Olga Doleśniak-Harczuk

Chodź, pokażę ci największy burdel Europy

400, 500 tysięcy, a może nawet milion. Nie wiadomo, ile kobiet w Niemczech trudni się prostytutką. W niewiedzy żyją urzędnicy i ministerstwa. Przyjmuje się jednak, że nawet 90 proc. kobiet w sex-biznesie to cudzoziemki, głównie z Europy Wschodniej.

– W Niemczech trudniej jest otworzyć budkę z frytkami niż dom publiczny – stwierdziła w 2016 roku była minister ds. rodziny Manuela Schwesig. A jak jest dziś? – To wstyd, że Niemcy stały się największym burdelem Europy – mówi „Nowemu Państwu” Marie Merklinger, kiedyś prostytutka, dziś aktywistka działająca na rzecz wprowadzenia w Niemczech prawa wzorowanego na rozwiązaniach obowiązujących w Szwecji.

Wie pani, jakie to uczucie, patrzeć na te młode dziewczyny, w pończochach, półnagie, stłoczone jedna przy drugiej w kącie burdelu? Bo ja wiem. I tego nie sposób wyzmaczać z pamięci. To w człowieku zostaje i budzi przerażenie, a potem bunt. Bo one nawet nie wiedzą, że można się z tego wyrwać. Przyzwyczajają się do bicia i poniewierania – to pierwsze słowa w rozmowie z Marie Merklinger, która zna niemiecki sex-biznes od podszewki. – Nie da się napisać obiektywnie o prostytucji, bo ona jest odczłowieczająca, nie wierzę w wyważenie racji – dodaje. I zaczyna swoją opowieść.

► Inaczej bym oszalała

Zaczęła się prostytuować po czterdziestce. Był rok 2009. Kryzys ekonomiczny dawał się we znaki również Niemcom. Merklinger straciła pracę, nikt specjalnie się nie palił, by ją zatrudnić. Na stole stos rachunków, w kieszeni pusto, znikąd pomocy. Pomysł pojawił się ot tak. Przecież zawsze można przestać. To tylko na chwilę. Pierwszy klient miał ciężką rękę. Pierwszy szok. A potem już poszło swoim trybem. Marie opowiada swoją historię bez znieczulenia, niczego nie upiększa. – Nie pracowałam w domu publicznym, założyłam profil w internecie i w ten sposób docierałam do klientów. To trwało dwa lata, do momentu, aż znalazłam pracę. Prostytucja to nie jest żaden normalny zawód, proszę nie dać się zwieść lobbystom. Pewnie słyszała pani te wszystkie argumenty, że to tylko zarabianie pieniędzy, fach jak każdy inny. Też to sobie wmawiałam. Dopiero z czasem pojęłam, że jakieś 25 procent mojego myślenia o prostytucji, jako o czymś najnormalniejszym pod słońcem, wynikało z potrzeby przekonania do tego samej siebie, a 75 procent – by przekonać o tym moje otoczenie. Inaczej bym oszalała. Mechanizm obronny. Kiedy znalazłam w końcu pracę, wróciłam do zwykłego życia, ale umowa była zawarta na rok i kiedy dobiegła końca, obudziłam się z tymi samymi problemami. I ta pokusa, by wrócić do prostytucji. Tym razem jednak coś się ze mną stało. Nie mogłam. Ciało zbuntowało się na samą myśl. Silny, fizyczny opór organizmu. Wpadłam w depresję. Zaczęłam szukać pomocy. W mojej okolicy było mnóstwo burdeli, ale ani jednej organizacji, która mogłaby mi pomóc. Rozpacz zamieniła się we wściekłość. Nie chodziło tylko o mnie. Myślałam też o tych wszystkich dziewczynach w agencjach. I o tych ze slumsów, które za 20–30 euro od klienta rujnują swoje ciała i psychikę.

Spotykałam Polki, ale zazwyczaj były to luksusowe prostytutki i nie tak młode jak te z biednych rejonów. Tylko jedna z nich została przyciwnie do Niemiec siłą, miała wtedy 16 lat. O takich kobietach się potem píše, że zmuszano je do prostytucji. Tyle że prostytucja

nie jest dobrowolna. Nie spotkałam ani jednej kobiety, która robiłaby to dobrowolnie. I nieważne, czy zarabia 3 tys. euro za noc, czy 17 euro od klienta. Kiedy rozmawiam z młodymi ludźmi, mówię im: wyobraźcie sobie, co musiałoby się wydarzyć, byście się zdecydowały na sprzedawanie własnego ciała. I wtedy zapada cisza. A potem jest mnóstwo pytań – opowiada Merklinger.

Marie wyszła na prostą, prowadzi warsztaty dla młodzieży pod patronatem Diakonii. Mówi młodym o skutkach prostytucji, o handlu ludźmi. Działa też na rzecz wprowadzenia w Niemczech modelu szwedzkiego, który zakłada karanie klientów prostytutek, a nie samych kobiet, uznawanych za ofiary i chronionych prawem. – Młodzi mają mnóstwo pytań, instynktownie widzą zależność między prostytucją a pornografią. Przecież w Niemczech już 11-letnie dzieci potrafią oglądać na smartfonach hard porno. Potem czytają te wszystkie porady w pismach dla nastolatków, nic dziwnego, że zaczynają mieć problemy ze swoją seksualnością. W Niemczech postępuje seksualizacja dzieci i młodzieży. Czy kilkuletniemu dziecku naprawdę jest potrzebna wiedza o masturbacji? Do czego, pytam.

► To tylko asysta seksualna

Merklinger nie zostawia też suchej nitki na prostytutkach utrzymujących, że prostytucja jest zwykłym zawodem, uważa tego typu deklaracje za szkodliwe społecznie. Wspomina też o Stephanie Klee, samozwańczej „asystentce seksualnej”, która oferuje swoje usługi w domach seniora. Kobiety i mężczyźni cierpiący na demencję i obłożnie chorzy. Merklinger tego typu praktyki przywodzą na myśl pedofilię, wykorzystywanie słabszych. Po rozmowie sięgam do materiałów o Stephanie Klee. W jednym z wystąpień tłumaczy, że się zestarzała, a jej klientela wraz z nią. „Stali klienci zaczęli mnie zamykać do domu opieki” – mówi słuchaczom. Stąd i nowy model biznesowy. Klee z nadzieją patrzy w przyszłość. Teraz – jak tłumaczy – w placówkach dla seniorów jest jeszcze wielu starszych pamiętających II wojnę światową, mających z reguły sporo zahamowań, ale lada moment szczególnej troski będzie wymagało pokolenie '68 i wtedy dopiero wszystko się zmieni... I wygląda na to, że Klee słusznie diagnozuje sytuację. Proceder się rozwija, w Niemczech i Szwajcarii pełną parą pracują akademie kształcące seksualnych asystentów obu płci, wypożyczanych za 90 euro na godzinę domom seniora, świadczących swoje pseudoterapeutyczne usługi nie tylko ludziom z demencją, lecz także z daleko posuniętą niepełnosprawnością umysłową. Te akademie prowadzą oficjalnie zajęcia, na ich stronach widnieją zdjęcia profilowe asystentów z danymi kontaktowymi, a w publicznej telewizji niemieckiej między reklamą platków śniadaniowych a koncertem lokalnej kapeli nie tak dawno roz-

mawiano z kobietą, która radośnie opowiadała, jak z maszynisty (tak, kierowała pociągami) przekwalifikowała się na sex-asystentkę, bo „lubi uszczęśliwiać ludzi i czerpie z tego satysfakcję”. Kryzys demograficzny w Niemczech jako dzwignia nowej gałęzi opieki nad seniorami. Tego jeszcze nie było.

► Tajlandia nad Renem

Prostytucja to w ostatnich tygodniach temat bardziej nośny niż reformy Bundeswehry, brexit i tradycyjne już utyskiwanie mediów na Donalda Trumpa razem wzięte. Jak bumerang na początku października wrócił postulat zaostrzenia prawa, tak by chronić kobietę, a nie sutenera. Powodem poruszenia było spotkanie parlamentarnej grupy zajmującej się planem przemodelowania prawa dotyczącego prostytucji w Niemczech. Prym w grupie wiedzie posłanka Leni Breymaier z SPD. Politycy mają twardy orzech do zgryzienia. Zieloni i większość tych z SPD musieliby przyznać, że kilkanaście lat temu popełnili błąd, liberalizując przepisy doty-

wyrozumiałe dla branży jak to niemieckie. Nie bez powodu zresztą największe domy publiczne ulokowano blisko granicy niemiecko-francuskiej.

Niemcy stały się więc, chcąc nie chcąc, europejską Tajlandią z domami publicznymi oferującymi kobiety taśmowo, w systemie „ile dasz rady” za 70–80 euro od klienta. Bratwurst i alkohol w cenie usługi. I wszystko legalnie. A państwo czerpie zyski z opodatkowania sex-biznesu, choć nie tak wysokie, na jakie liczyło. Branża, której obroty jeszcze trzy lata temu szacowano na około 14 mld euro rocznie, niechętnie dzieli się z fiskusem. A rzekome socjalne benefity dla prostytutek to mit. Tylko nieliczne są tym zainteresowane, 90 proc. żyje od klienta do klienta, tu mało kto myśli o odkładaniu na starość. Starości nie będzie. Jest tu i teraz.

► Jaki biznes, takie muzeum

I stały się Niemcy państwem, gdzie dwa bloki kobiet spierają się o to, czy prostytucja jest prawem kobiety i zawodem jak każdy inny, czy nie. Gdzie ikona nie-

NIEMCY STAŁY SIĘ, CHCĄC NIE CHCĄC, EUROPEJSKĄ TAJLANDIĄ Z DOMAMI PUBLICZNYMI OFERUJĄCYMI KOBIETY TAŚMOWO, W SYSTEMIE „ILE DASZ RADY” ZA 70–80 EURO OD KLIENTA. BRATWURST I ALKOHOL W CENIE USŁUGI. I WSZYSTKO LEGALNIE. A PAŃSTWO CZERPIE ZYSKI Z OPODATKOWANIA SEX-BIZNESU, CHOĆ NIE TAK WYSOKIE, NA JAKIE LICZYŁO.

czące prostytucji. Fiskus musiałby się pożegnać ze sładowymi, ale jednak, wpływami z sex-biznesu. I jeszcze te wszystkie niuanse typu: prostytucja dobrowolna a przymusowa. Jedną pochwalić i czerpać zyski z podatków, pozwalać na reklamę, ba... bywa, że pośrednio wspierać, podpinając promujące ją organizacje (vide Hydra e.V.) pod państwową kropłówkę, a drugą bezwzględnie ścigać? Kolejny problem. Dla jednych granica między prostytucją dobrowolną a przymusową jest niejasna. Dla innych, tak jak dla Marie Merklinger, już sama myśl, że prostytucja może być dobrowolna, jest nie do przyjęcia. Jasne jest natomiast, że od 2002 roku, kiedy koalicja SPD i Zielonych (za czasu pierwszego rządu Gerharda Schrödera) w tzw. dobrej wierze wprowadzała ustawę regulującą relacje prawne prostytutek, na mocy której prostytucja miała uzyskać status normalnego zawodu z widokami na emeryturę etc., Niemcy wcale nie stały się socjalnym rajem dla prostytutek, lecz magnesem dla seks-turystów z państw sąsiednich. Z krajów takich jak na przykład Francja, których prawo nie jest tak

mieckiego feminizmu, Alice Schwarzer, potępia proprostytucyjne kobiece lobby, a jej oponentki skandują na demonstracjach hasła o tym, że prostytucja jest formą seksualnego wyzwolenia i powodem do dumy, a „Schwarzer ma kłopoty z własną seksualnością i dlatego nie pozwala chętnym pracować w spokoju”. I stały się Niemcy jeszcze krajem, gdzie fani branży wprowadzają ciekawskie kobiety „z zewnątrz” po agencjach towarzyskich, jak inni po muzeach. Tak, to nie żart. Informacja z pierwszej ręki, od niejakiej Juanity Henning reprezentującej stowarzyszenie Doña Carmen z siedzibą we Frankfurcie. Doña Carmen oficjalnie występuje w interesie kobiet trudniących się prostytucją. A kobietom z zewnątrz oferuje takie atrakcje jak „oprowadzanie po burdelu, by gospodynie domowe mogły sobie od środka obejrzeć dom publiczny, porozmawiać z prostytutkami, zapoznać się z zasadami bezpieczeństwa i higieny pracy w takim miejscu” – i jak podkreśla Henning, „dzięki spojrzeniu za kulisy pozbyć się krzywdzących dla branży stereotypów”. Henning uskarża się, że

media tendencyjnie piszą o prostytucji, przedstawiając ją w niekorzystnym świetle jako siedlisko przemocy. „a to jest przecież praca jak każda inna”. Na bardziej szczegółowe pytania odmawia odpowiedzi, „bo tematem rozmowy miało być oprowadzanie po burdelu”. Pytam, czy te wycieczki są po to, by najzwyczajniej zwabić kobiety w rejony czerwonych latarni. Hennig zaprzecza. Nikt tu nie agituje. Chodzi o uświadamianie. Na koniec opowiada, jak zrodził się pomysł z oprowadzaniem. Po noc z propozycją, by „zrobić coś razem”, wyszedł pastor ewangelicki z pobliskiej parafii, „ale dziś już nie mamy żadnych wspólnych projektów z Kościołem, a tego pastora już dawno nie ma”.

► Z maskotką na ulice

I jeszcze są ulice czerwonych latarni. Jedne wtopione w klimat miast, traktowane niczym atrakcja turystyczna, inne dzikie, gdzie dzień w dzień odbywa się walka na śmierć i życie. O klienta, o kilka euro, o to, by niezadowolony z utargu sutener znowu nie pobił do nieprzytomności. W razie głodu, choroby, pobicia czy po prostu chandry można wpasć do którejś poradni. Pracownicy socjalni zjedli zęby na dramatycznych opowieściach z życia pracujących dziewczyn. A one nawet jak nie znają ani słowa po niemiecku, potrafią zasygnalizować, czego im potrzeba. Wychodzą stąd najedzone, podleczone, czasem z pluszowym zwierzątkiem (najszybciej rozchodzący się w poradniach towar), z kubkiem kawy. Wszystko. Czasem któraś zbiera się na odwagę, by zerwać z ulicą. Rotacja utrudnia jednak konsekwentne i długofalowe programy pomocowe. Bywa, że kobiety są zwożone w jedno miejsce, zostawia się je na dwa-trzy miesiące, a potem zabiera w inne miejsce. I tak na okrągło. Trudno w takich okolicznościach zbudować zaufanie, pokazać, że jest wyjście awaryjne, przełamać lęk.

Andrea Bodon od wielu lat pracuje z takimi kobietami. Jej pole działania to poradnia i kawiarnia „La Strada” przy stuttgarckiej filii Caritas. To jedno z kluczowych miejsc na mapie niemieckich poradni. Takich, które wyciągają rękę do kobiet chcących zerwać z prostytucją i rozpocząć nowe życie. O tym miejscu pisała przed sześcioma laty w swojej głośnej książce „Prostytucja. Niemiecki skandal” Alice Schwarzer. To właśnie dzięki tej pozycji trafiłam do Andrei Bodon, która cierpliwie opowiada o swoich doświadczeniach w Caritasie. Najwięcej przychodzi Bułgarek, Rumunek i kobiet z Węgier, z Polkami do tej pory Andrea nie miała do czynienia. Przychodzą jeszcze dziewczyny z Afryki, większość z nich nie mówi po niemiecku, żadna nie uprawia prostytucji z własnej woli. – To są najbiedniejsze z biednych, prostytuują się, by mieć za co żyć. Lwia część zarobionych pieniędzy trafia do kieszeni innych, sporo kosztuje wynajęcie kąta w tzw. Laufhausie, kilkupiętrowym domu z pokojami lub apar-

tamentami wynajmowanymi przez prostytutkę. Nazwa Laufhaus pochodzi od czasownika „laufen” – biegać. Klienci biegają po piętrach, otwarte na oścież drzwi do pomieszczeń sygnalizują gotowość do transakcji. Czynsze w Laufhausach są wysokie. Po odliczeniu tej należności i opłaceniu sutenera kobietom zostaje 100–200 euro, z czego połowę wysyłają do domu, swoim rodzinom. Bo często mają dzieci, które zostają u dziadków w Bułgarii czy Rumunii – tłumaczy Andrea Bodon. W międzyczasie sprawdzam ceny wynajmu w Laufhausach. W Berlinie, nieopodal centrum handlowego Gesundbrunnen, wynajęcie umeblowanego apartamentu to koszt rzędu 450 euro tygodniowo. W zależności od miasta i dzielnicy ceny za tygodniowy wynajem wahają się od 300 do 500 euro. Idea Laufhausu polega na tym, że kobieta jest tam non-stop. Standard. Czasem jeszcze opakowany w artystyczny papier. Jak ten berliński Laufhaus, w którym regularnie organizuje się wernisaże i gdzie nawet kultowy teatr Hebel am Ufer wystawił sztukę inspirowaną życiem prostytutek.

Wracamy do Stuttgartu. Pytam Andree Bodon, ile prostytutek, które zachodzą w ciążę, decyduje się urodzić. Nie ma dokładnych danych, różnie to bywa. Bodon wspomina 25-letnią Bułgarkę, która przyszła do poradni zdecydowana na aborcję. W ojczyźnie zostawiła czwórkę dzieci. Nie chciała kolejnych. Decyzja zapadła szybko. Są jednak i takie kobiety, które chcą urodzić, zdarza się, że to daje im siłę, by zerwać z ulicą. Inne rezygnują ze względów zdrowotnych. Przychodzą z bólem, bywa, że konieczna jest operacja, ponieważ kobiety nie mają ubezpieczenia, nie mogą iść do zwykłego szpitala, wtedy organizuje się opiekę „od A do Z”. Po ciężkich zabiegach już nie są fizycznie w stanie żyć tak jak przedtem. Porzucenie ulicy jest naturalnym następstwem. A jak Caritas pomaga tym, które chcą się wyrwać, a nie mają na to środków?

– To trudny proces. Kobiety z reguły nie mają mel-dunku wymaganego przez potencjalnego pracodawcę po ty, by się ubezpieczyć, założyć konto w banku itd. Jak ktoś jest zdany tylko na siebie, nie poradzi sobie. Błędne koło. „La Strada” dysponuje mieszkaniami, gdzie kobiety mogą zamieszkać, nie płacąc czynszu do czasu, aż staną na własnych nogach. W okresie przejściowym otrzymują 400 euro miesięcznie na swoje potrzeby plus bilet na komunikację miejską – mówi Andrea. Z pracą jest różnie. Wielu pracodawców z rezerwą odnosi się do byłych prostytutek. Na szczęście współpracujemy dziś z wieloma pracodawcami, którzy są wtajemniczeni w sprawę. I problem znika. To nie są lukratywne zajęcia, wiele oczywiście zależy od kwalifikacji, ale te są zazwyczaj na dość niskim poziomie. Przeważnie kobiety rozpoczynają nowe życie jako sprzątaczkę, pokojówkę. Zdarza się, że nie wytrzymują i zniechęcone wracają tam, gdzie przeżyły koszmar, ale za to pieniądze były

szybkie. Nie wszystkie prostytutki zarabiają kilkaset euro miesięcznie, są i takie, których zarobki wahają się od 3 do 5 tys. euro miesięcznie. To wyjątki, ale istnieją. To z reguły luksusowe prostytutki zarabiające lepiej od tych na ulicy, ale wydające wszystko na bieżące potrzeby. Andrea Bodon potwierdza. – Tak, to się zdarza, ale większość jednak docenia, że dostały od życia drugą szansę i mimo trudności chcą wytrwać w tym postanowieniu.

► 60 razy NIE

Obserwacje Bodon potwierdza Ruth Müller, rzeczniczka organizacji SOWODI, założonej w 1985 roku w Kenii przez dr Leę Ackerman, niemiecką zakonnicę ze Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Najświętszej Maryi Panny Królowej Afryki (SMNDA). Organizacja działa ponadwyznaniowo i ponadpartyjnie, angażuje się zarówno w udzielanie doraźnej pomocy prostytutkom, jak i tym z nich, które chcą rozpocząć nowe życie. SOWODI organizuje kongresy dotyczące handlu ludźmi, działa na wszystkich szczeblach i lobbuje za przyjęciem w Niemczech modelu szwedzkiego. Ruth Müller opowiada o 19 poradniach i siedmiu schroniskach prowadzonych przez SOWODI, w każdym z tych miejsc można uzyskać pomoc, każdy przypadek rozpatruje się indywidualnie. Oczywiście celem jest zawsze wyciągnięcie kobiety z prostytucji, ale przymusu nie ma. Pomoc jest udzielana zawsze. W SOWODI stawia się na kształcenie, robi się wszystko, by dać kobietom wędkę. Jakież sukcesy? – Tak, pomogliśmy wielu kobietom. Szczególnie utkwiła mi w pamięci pewna dwudziestokilkulatka, miała świadectwo maturalne, więc teoretycznie było łatwiej o pracę dla niej. Na rozmowach kwalifikacyjnych musiały jednak uzasadnić siedmioletnią lukę w życiorysie. Mówiła prawdę. Zanim znalazła zatrudnienie, 60 razy zamknięto jej drzwi przed nosem. To była bardzo trudna droga, ale ona wytrzymała. Takie historie niestety są na porządku dziennym – opowiada Ruth Müller. A ile kobiet zwraca się o pomoc, czy wśród nich są Polki? Müller przegląda dane: w ubiegłym roku zwróciło się do organizacji łącznie 2667 kobiet z 103 państw, w tym 555 zajmujących się prostytucją. Najwięcej z nich pochodziło z Bułgarii i Rumunii, z Polski było 10, z czego 6 czy 7 trudniło się prostytucją. Spoza Europy najczęściej zgłaszają się Nigeryjki. Czy opowiadają o szantażu voodoo, który handlarze ludźmi stosują nagminnie, by trzymać w ryzach dziewczyny z Afryki? Ruth Müller potwierdza. Sprawa jest zresztą bardzo na czasie. Pod koniec września Sąd Okręgowy w Bochum skazał trójkę handlarzy ludźmi za przemyt do Niemiec kobiet z Nigerii i czerpanie korzyści z nierządu. Każda z nich złożyła jeszcze w Nigerii przysięgę przed kapłanem voodoo, że po wyładowaniu w Niemczech posłusznie odpracuje

25 tys. euro, na tyle wyceniono nielegalny transfer do Europy. Gdyby złamały przysięgę, na ich rodziny spadłaby klątwa. W co mocno wierzyły. I co je paraliżowało. Gehenna trwała kilka lat. Bite i więzione odpracowywały ciałem dług wobec sutenerów. Takich historii jest multum. Zastanawia tylko nadzwyczaj łagodny wyrok. Łącznie osiem lat odsiadki. Dzielone na trzy.

► Za paczkę papierosów

Na ulicach wielkich miast młode, często nieletnie dziewczyny oferują się nawet za 10 euro. Mówi się o tym „Babystrich” – nastoletnie prostytutki. – Jak idziesz berlińską Kurfürstenstraße, najsłynniejszym i najniebezpieczszym pigalakiem stolicy, gdzie już w latach 20. XX wieku kwitł handel ciałem, od razu je zauważysz. Te dziewczyny nie znają niemieckiego, tylko kilka najpotrzebniejszych zwrotów, wymęczone życiem Lility, tępy wzrok, obcisłe ciuchy, cały ten prostytucyjny anтура zgodny ze schematem i oczekiwaniem potencjalnych chętnych – opowiada Ewa, Polka od 20 lat mieszkająca w Berlinie. Te dziewczyny nie czekają, aż ktoś podejdzie, same zaczepiają, potrafią 12-13-latkom wracającym ze szkoły do domu zaoferować swoje usługi „za kieszonkowe”. Sama już nie pamiętam, ile razy mieszkający tej ulicy i właściciele okolicznych sklepów prosili władze o odgrodzenie części ulicy, bo nie chcą, by ich dzieci zobaczyły przypadkiem coś, czego nie powinny. Już nie mówiąc o walających się po ziemi strzykawkach i innych niespodziankach – kończy Ewa.

I faktycznie, Kurfürstenstraße jest synonimem najpodlejszych warunków bytowania, gdzie kobietę można wynająć za równowartość paczki papierosów, a interesu dobija się w okolicznych blokach. Ku utrapieniu mieszkańców dzielnicy. We wrześniu władze mają postawić w okolicy drewniane budki. Domki z guzikiem alarmu na wypadek zagrożenia. Berlińska troska o kobiety z branży. Budki przyjęły się już w Kolonii, 17 lat temu, ale tamtejsze poustawiano na peryferiach miasta, na ogrodzonym terenie o powierzchni boiska do futbolu. Na środku placu stoi drewniana szopa podzielona na oddzielne pomieszczenia, są tam sanitariaty, automaty z napojami i przekąskami, z przerwytywami, a nawet strzykawkami. Z myślą o uzależnionych. Po co mają biegać do apteki. W Dortmundzie projekt budkowy nie spełnił oczekiwań władz miasta. Wokół dortmundzkich domków powstał jeden z największych pigalaków Niemiec, ponad 700 kobiet, głównie z Europy Wschodniej dzień w dzień oblegało okoliczne ulice. Mieszkańcy zażądali likwidacji budek, miasto w 2011 roku podjęło stosowne działania, a cały Dortmund uznano za strefę wolną od prostytucji. Tylko Dortmund. Reszta Niemiec w najlepsze śni swój wielki, czerwony sen. ■

**ZABÓJSTWO
DZIEWCZYNKI
W SARATOWIE
ROSJA NIE CHRONI
OBYWATELI**

Antoni Rybczyński

Liza była uczennicą trzeciej klasy. 9 października o godzinie 7.30 wyszła z domu – do szkoły miała zaledwie 500 metrów. Jak się później okazało, nie dotarła na lekcje. Kiedy nie wróciła do domu, matka zawiadomiła policję. Natychmiast ruszyły zakrojone na dużą skalę poszukiwania – wszak w Saratowie w ostatnim czasie nie brakowało zaginięć dzieci. Martwą dziewięciolatkę znaleziono po dwóch dniach w jednym z garaży niedaleko szkoły. Szybko zatrzymano podejrzanego o zabójstwo. Niemal od razu się przyznał.

Podczas przesłuchania, a potem czynności śledczych na miejscu zbrodni, 35-letni Michaił Tuwatin szczegółowo opowiedział przebieg zdarzeń. Zeznał, że kilka miesięcy temu natrafił na opuszczony garaż. Postanowił go więc przejąć – wymienił zamki i zaczął tam spędzać dużo czasu. Był tam też 9 października rano, gdy obok przechodziła zdążająca do szkoły Liza. Tuwatin twierdzi, że sama go zaczepiła, pytając, czy to garaż. Miała mówić, że należy do jej rodziny, więc co tam robi nieznany mężczyzna? Zabójca twierdzi, że się przestraszył, że straci przywłaszczony garaż. – Wtedy odwróciłem się, zakryłem jej usta i przyprowadziłem tutaj – mówi mężczyzna na opublikowanym nagraniu wizji lokalnej. Wciągnął Lizę do garażu i udusił. Twierdzi, że zrobił to w przypływie wściekłości, bo ta zaczęła mu „pyskować”. Wiadomo, że na ciele dziewczynki nie znaleziono śladów seksualnej agresji. Jest to o tyle istotne, że sprawca był już wcześniej karany za przestępstwa także o charakterze seksualnym.

► O krok od samosądu

Od kiedy Tuwatin skończył 20 lat, był sądzony sześć razy. W 2001 roku dostał mandat za drobne chuligaństwo. W 2004 roku pociągnięto go do odpowiedzialności karnej za włamanie i kradzież 36 tys. rubli. W styczniu 2009 roku dostał dwa lata więzienia za obrabowanie mieszkania. Wyszedł 31 grudnia 2010 roku i jeszcze tego samego dnia, nawet nie dojechawszy do domu, popełnił kolejne przestępstwo: napadł na przypadkową kobietę na ulicy, zabrał telefon, aparat fotograficzny i zgwałcił ją. Za to dostał już sześć lat kolonii o zaostrożnym reżimie. Wyszedł na wolność latem 2017 roku.

W ciągu półtora miesiąca poprzedzającego zabójstwo Lizy, w Saratowie zamordowano troje dzieci. Przestępstwa nie są ze sobą związane, w każdej sprawie jest inny podejrzany. Ale wszystkie łączy jedno – zaniechania policji. Chodzi przede wszystkim o brak jakiegokolwiek nadzoru czy działań profilaktycznych wobec recydywistów, skazywanych wcześniej kryminalistów, którzy wyszli na wolność. Michał Tuwatin w ciągu ostatniej dekady odbywał szereg wyroków za kradzieże, rozboje, gwałt. Po wyjściu na wolność dwa lata temu umieszczał w mediach społecznościowych nagie zdjęcia, był członkiem wielu grup pornograficznych w sieci, w tym z nieletnimi. Tymczasem policja i inne organy siłowe specjalizujące się w inwigilacji Internetu zajmują się wyszukiwaniem wypowiedzi obraźliwych dla polityków, a internetową

aktywnością kryminalistów się nie przejmują. W przypadku Tuwatina można też pytać o to, co robią posterunkowi i tajniacy w okolicy, gdzie mieszkał? Nie zauważyli, że seksualny recydywista przejął opuszczony garaż w pobliżu szkoły. W tej sytuacji nie dziwi wcale gwałtowna reakcja mieszkańców Saratowa. Gdy zatrzymanego przywieziono na miejsce znalezienia zwłok Lizy w celu przeprowadzenia czynności śledczych, tłum zażądał jego wydania. Ludzie otoczyli radiowóz, w którym znajdował się Tuwatin, omal nie doszło do samosądu. Na odsiecz policjantom i śledczym wysłano OMON. Funkcjonariuszom z trudem udało się powstrzymać tłum. Wybuchły zamieszki. OMON użył gazu łzawiącego. Ludzie obrzucili radiowóz kamieniami. Żeby wywieźć podejrzanego, policja musiała uciec się do podstępu. Przebrano go w mundur i założono maskę. Sytuacja w mieście wciąż jednak jest bardzo napięta. Do tego stopnia, że zagrożonego karą od 20 lat więzienia dożywocia Tuwatina nie chce bronić w sądzie żaden adwokat w Saratowie.

► Dzieciobójcy

W tym roku lokalna prasa saratowska donosiła już o zaginięciu dziewięciorga dzieci, w poszukiwaniach których uczestniczyli ochotnicy. Te mniejsze (najmłodsza miała siedem lat) odnaleziono w ciągu doby. Te starsze odnajdywały się po 2–5 dniach. Rekordzistka, 17-letnia Oksana, dała znak życia dopiero po dwóch tygodniach. Za każdym razem w poszukiwaniu angażują się wolontariusze – w przypadku Lizy zgłosiło się ich aż ponad tysiąc. Wściekłość zwykłych ludzi, nie tylko na zabójcę, lecz generalnie na władzę, jest tym większa, że półtora miesiąca wcześniej na sąsiedniej ulicy także doszło do zabójstwa dziecka – choć w zupełnie innych okolicznościach. 38-letni Mowsur Czientijew, wcześniej karany za drobne wykroczenia, zarzął nożem swoją dwumiesięczną córeczkę. Mężczyzna nigdzie nie pracował, skarżąc się na słabe zdrowie. Utrzymywała go 26-letnia konkubina, wychowanka domu dziecka. Oprócz nowo narodzonej dziewczynki, para wychowywała dwuletniego syna. Rodzina była pod nadzorem socjalnym, ale miesiąc przed zabójstwem został on zniesiony „w związku z poprawą sytuacji życiowej”.

Śmierć Lizy to kolejne w ostatnim czasie morderstwo dziecka w Rosji, które wywołało burzę w społeczeństwie. Pod koniec lipca mieszkaniec Kraju Zabajkalskiego został skazany na dożywocie za zabójstwo pasierba. Pijany mężczyzna najpierw

tłukł bez opamiętania pięciolatka packą na muchy, potem wielokrotnie rzucał nim o podłogę. Powód? Chłopczyk rzekomo nie chciał uczyć się czytać. Śledczy ustalili, że wcześniej zabójca regularnie bił swoją partnerkę, matkę dziecka. Sąd uznał go też za winnego trzech kradzieży. W połowie sierpnia w Kraju Nadmorskim śledczy wszczęli sprawę karną po zgonie dwuletniej dziewczynki w wyniku pobicia. Zabójcą okazał się 21-letni ojczym dziecka. Z kolei 44-letni mieszkaniec Bracka został niedawno skazany za zabójstwo 9-letniej uczennicy. Zaciągnął ją do garażu, zgwałcił i zamordował. Dostał 20 lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Ale dochodzi też do szokujących dzieciobójstw. Do dramatycznych wydarzeń doszło 29 sierpnia we wsi Ismajłowo w Baszkortostanie. 28-latką zgłosiła na policję zaginięcie swojego syna. Z relacji kobiety wynikało, że zaledwie roczne dziecko zniknęło z domu w niewyjaśnionych okolicznościach. Śledczy nie znaleźli jednak na miejscu żadnych śladów świadczących o włamaniu. W końcu matka przyznała się do makabrycznej zbrodni. Powiedziała śledczym, że udusiła dziecko własnymi rękami, a kiedy przestało oddychać, pochowała na podwórku pod warstwą nawozu. Jak tłumaczyła motywy zbrodni? 28-latką stwierdziła, że zabiła, ponieważ ma długi i nie miała pieniędzy na jedzenie dla syna. Kobiecie za morderstwo dziecka grozi 20 lat więzienia. Z kolei 18 września sąd w Swierdłowsku skazał na dożywocie w kolonii o zaostrzonym rygorze Nikołaja Agiejewa. Mężczyzna dostał już wcześniej, w 2006 roku, 16 lat więzienia. Został przedterminowo zwolniony w 2017 roku – po czym zdążył obrabować kilka sklepów, zatłuc młotkiem swoją znajomą, pobić na śmierć przypadkowego przechodnia, wreszcie zgwałcić i utopić 9-letnią pasierbicę. Rosyjską opinią publiczną wstrząsnęła jednak inna zbrodnia, do której doszło we wrześniu tego roku w miejscowości Zawodoukowsk w obwodzie tiumeńskim. Policja dostała zgłoszenie o zaginięciu półrocznego Bogdana. Od początku główną podejrzaną była jego 23-letnia niania, Wiktoria Ajmetdinowa. Po kilku godzinach poszukiwań policja odnalazła kobietę w pobliskim lesie. Miała przy sobie worek, a w nim spalone zwłoki chłopczyka. Prawdopodobnie wcześniej go udusiła. Opiekunka zabiła chłopca z zemsty. Poszło o kłótnię z dużo starszym bratem ofiary, z którym Wiktoria miała romans. Kiedy Andriej postanowił zakończyć związek, 23-latką poszła do domu jego rodziców, żeby spakować rzeczy i się wyprowadzić. Rodzice poprosili jednak Wiktorię, żeby jeszcze ten jeden raz zaopiekowała się nie-

mowłębem, bo oni muszą wyjść na pogrzeb. Niania wykorzystała okazję i zemściła się na rodzinie...

Podobnych historii, gdzie ofiarą dorosłych padają dzieci, w Rosji nie brakuje. Niektóre nabierają wręcz światowego rozgłosu. Jak choćby w lutym 2016 roku, gdy do wstrząsającej zbrodni doszło w Moskwie. Pochodząca z Uzbekistanu 39-letnia kobieta zamordowała kilkulatnią dziewczynkę, odcięła jej głowę, a następnie podpaliła mieszkanie, w którym opiekowała się dzieckiem. Po czym przechadzała się spokojnie ulicami Moskwy z głową dziecka w torbie. W pewnym momencie w końcu wyciągnęła makabryczne trofeum, krzycząc przy tym, że wysadzi się w powietrze. Wybuchła panika, bo kobieta była muzułmanką odzianą w hidżab. Dlatego początkowo mówiono, że mord mógł mieć charakter terrorystyczny. Jednak ostatecznie okazało się, że motywem makabrycznego morderstwa była zemsta kobiety na mężu.

Statystyki są porażające. Z oficjalnych danych Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej wynika, że w 2018 roku w Rosji zamordowano aż 917 dzieci. Od 2013 roku wzrosła też aż o ponad 40 proc. liczba przestępstw o charakterze pedofilskim. Przy czym 16 proc. takich przestępstw popełniane jest w rodzinie. To, co jednak musi niepokoić najbardziej, to fakt, że bardzo dużo przestępstw na dzieciach popełniają recydywiści, i to wielokrotnie, jak w przypadku mordu w Saratowie. Brakuje profilaktyki i nadzoru organów ścigania nad przestępcami, którzy wychodzą na wolność. Poziom zaufania do organów ochrony porządku, policji, śledczych i sądów spadł w Rosji do tak niskiego poziomu, że zwykli ludzie zaczynają wierzyć, iż najlepszym sposobem walki z przestępczością jest kara śmierci. A nawet samosąd.

► Co z karą śmierci?

Pod zabójstwem dziewięcioletniej Lizy jak grzyby po deszczu zaczęły się pojawiać petycje do władz z postulatem przywrócenia kary śmierci – podpisują się pod nimi dziesiątki tysięcy obywateli. Kolejne zabójstwo dziecka dokonane przez recydywistę wywołało w Rosji dyskusję o przywróceniu kary śmierci. Na oficjalnym profilu Dumy Państwowej FR w popularnym medium społecznościowym VKontakte pojawił się internetowy sondaż – niemal 80 proc. głosujących opowiada się w nim za przywróceniem kary śmierci – dla dzieciobójców i pedofilów. To nie przypadek – sprawa nabrała bowiem politycznego charakteru, niektórzy mogą chcieć na tym zbić kapitał. Za przywróceniem kary śmierci opowiada się wielu parlamentarzystów. Wśród takich opinii publikowanych

na stronie internetowej Dumy są m.in. głosy szefa frakcji Sprawiedliwa Rosja Siergieja Mironowa, lidera komunistów Giennadija Ziuganowa, deputowanych Jewgienija Primakowa, Olgi Alimowej i Olgi Batałinej (wszyscy reprezentują obwód saratowski, gdzie zamordowano 9-letnią Lizę).

Jednak rzecznik Kremla uciął takie spekulacje, mówiąc, że w administracji prezydenckiej nie ma dyskusji na temat możliwości przywrócenia kary śmierci. Także szef LDPR Władimir Żyrinowski zauważył, że „większość obywateli w Rosji chce przywrócenia kary śmierci, dlatego że widzą w tym możliwość wymierzenia sprawiedliwej zemsty”, ale „całe światowe doświadczenie mówi, że kara śmierci jest nieefektywna”. Wspomniał o pomyłkach sądowych. Rzeczniczka Paw Dziecka Anna Kuzniecowa powiedziała, że obecnie zniesienie moratorium na wykonywanie kary śmierci jest niemożliwe. Moratorium to obowiązuje od 16 kwietnia 1997 roku. Na dodatek, w 2009 roku Sąd Konstytucyjny potwierdził, że ustawa zasadnicza, kilkoma swymi zapisami de facto wykluczająca karę śmierci, oraz podpisane przez Rosję umowy międzynarodowe (które wykluczają karę śmierci) mają pierwszeństwo przed prawem krajowym, w którym kara śmierci wciąż jest zapisana. Gdyby Moskwa zdecydowała o przywróceniu kary śmierci, konsekwencją byłoby wydalenie Rosji z Rady Europy (a przecież dopiero co udało jej się tam wrócić na pełnych prawach) oraz pozbawienie obywateli rosyjskich możliwości zwracania się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Problemem nie jest jednak stosowanie lub nie kary śmierci. Nie to ma największego znaczenie w kontekście rosnącej przestępczości, której ofiarą padają dzieci. Problemem jest brak zaufania obywateli do tych, którzy powinni ich chronić. Warto na koniec cytować znanego blogera Ilję Warłamowa: „W pełni rozumiem pragnienie ludzi, żeby zlinczować zabójcę albo postawić go pod murem do rozstrzelania, aby już nigdy więcej nie chodził z nami tą samą ulicą. Ale problem celowości stosowania kary śmierci jest dużo bardziej złożony, niż może się wydawać. Niezależnie od całej ohydy tego przestępstwa i oczywistej winy podejrzanego nie należy zapominać, że w Rosji sąd i prokuratura na dzień dzisiejszy są całkowicie zdyskredytowane. Nie ma do nich żadnego zaufania, sądy stale i całkowicie beczelnie podejmują oczywiście przestępcze decyzje i rujnują życie ludzi. Nie wiemy nawet dokładnie, ile osób w Rosji siedzi za kratami z powodu sfabrykowanych zarzutów, ilu ludzi stało się ofiarami albo korupcji, albo politycznej zemsty ze strony państwa. Dlatego jestem przekonany, że to zdecydowanie nie jest czas, by wszczynać dyskusję o wprowadzeniu kary śmierci w Rosji”.



Hanna Shen



Niewidzialna wojna – ostatnie ostrzeżenie

Choć wydarzenia ostatnich miesięcy, na przykład protesty w Hongkongu czy kryzys na linii NBA-Chiny, zwiększyły w wielu miejscach na świecie świadomość chińskiego zagrożenia, to w Polsce nadal niebezpieczeństwo ze strony komunistycznego reżimu nie jest brane poważnie pod uwagę. Książka Roberta Spaldinga pt. „Niewidzialna wojna. Jak Chiny w biały dzień przejęły wolny Zachód” ukazuje się w Polsce w odpowiednim momencie – gdy jeszcze nie jest za późno, by się bronić. Ta pozycja jest dla nas ostrzeżeniem.

Do rąk polskich czytelników trafi za moment książka o Chinach Roberta Spaldinga, generała brygady Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w stanie spoczynku, człowieka uznawanego za znakomitego stratega polityki bezpieczeństwa i posiadającego niebywałą wiedzę na temat chińskich wpływów politycznych i gospodarczych oraz działań w cyberprzestrzeni. Spalding był jednym z twórców Narodowej Strategii Bezpieczeństwa USA i byłym doradcą prezydenta Trumpa do spraw Chin. Jego książka „Niewidzialna wojna. Jak Chiny w biały dzień przejęły wolny Zachód” pokazuje, jak elity polityczne i naukowe oraz świat mediów i biznesu na Zachodzie wyrzekają się wartości, które zbudowały potęgę wolnego świata, i dają się zwabić na pieniądze, za którymi stoi Komunistyczna Partia Chin. W tym czasie reżim w Pekinie toczy wojnę przeciwko Stanom Zjednoczonym i Zachodowi na sześciu frontach: gospodarczym, wojskowym, dyplomatycznym, technologicznym, edukacyjnym i infrastrukturalnym.

► Prawdziwy cel chińskich komunistów

Spalding słusznie zauważa, że Zachód cały czas nie rozumie totalitarnego charakteru KPCh. Tam nie tylko nie ma miejsca na demokrację, rządy prawa, na takie wartości jak wolność religijna czy wolność wypowiedzi, lecz także na jasne i sprawiedliwe zasady wolnego rynku. Wielu polityków w USA i innych państwach zachodnich kupowało i nadal kupuje chińską bajkę, że Pekin to odpowiedzialny i przewidywalny partner na arenie międzynarodowej. Są nawet tacy, jak ubiegający się o start w wyborach prezydenckich w USA w 2020 roku były wiceprezydent Joe Biden, którzy negują jakiegokolwiek zagrożenie ze strony Chin. Na jednym z wieców wyborczych w połowie 2019 roku Biden mówił: „Chiny nas pokonają? Na Boga, ludzie... Oni nawet nie mogą wykombinować, jak sobie poradzić z tym, że mają ten wielki podział między Morzem Chińskim a górami na wschodzie, tzn. na zachodzie. Nie mogą wykombinować, jak sobie poradzić z korupcją istniejącą w ich systemie. To znaczy, rozumiecie, to nie są źli ludzie. Ale wiecie, oni nie są, nie są konkurencją dla nas”.

Spalding przypomina przemówienie prezydenta Xi Jinpinga z 2017 roku na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. „Musimy pozostać zaangażowani w rozwój globalnego wolnego handlu i inwestycji, promowanie handlu oraz liberalizację i ułatwianie inwestycji [...] i musimy powiedzieć „nie» protekcyjnym” – mówił chiński przywódca i był oklaskiwany przez zebranych w Davos. Dokładnie w tym samym czasie te same elity z pogardą odnosiły się do zaprzysiężanego na Kapitolu Trumpa, jedyne przywódcy na Zachodzie, który bardzo dokładnie wyartykułował, na czym polega zagrożenie ze strony komunistycznych Chin.

Większość woli słuchać wychwalającego globalizm chińskiego dyktatora, a nie – jak zauważa Spalding – skoncentro-

wać się na tym, co Xi Jinping „pozostawia w strefie niedopowiedzeń”. „Xi nie zobowiązał się do niczego. Nie wspominał nic o przestrzeganiu prawa międzynarodowego, nie wspominał nic o zmianie polityki pieniężnej w celu umożliwienia swobodnego przepływu środków finansowych Chin. Do kogo Xi mówi: »NIE dla protekcyjizmu? Nie do Chin – a wszystko, co dotyczy polityki gospodarczej w Chinach, to jest protekcyjizm. Xi mówi, że Zachód nie powinien być protekcyjnistyczny, ponieważ służy to celom KPCh” – czytamy w „Niewidzialnej wojnie”.

A głównym celem Chin jest zajęcie miejsca, jakie jeszcze w tej chwili na arenie międzynarodowej ma USA. Spalding powołuje się inną publikację, zupełnie pominietą w Polsce, zwłaszcza przez osoby zajmujące się Chinami, a wydaną w ChRL, która dokładnie to dążenie Pekinu artykułuje. Chodzi o pozycję dwóch pułkowników Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwolenczej – Qiao Lianga i Wang Xiangsua pt. „Wojna nieograniczona” („Unrestricted Warfare”), opublikowaną w 1999 roku. Jej autorzy wskazali, że w celu pokonania potęgi Stanów Zjednoczonych Chiny muszą zastosować cały szereg dostępnych środków, tj. działania wojenne mają wykroczyć poza tradycyjne pojmowanie konfliktów i obciążyć finanse, handel międzynarodowy, kulturę i prawo międzynarodowe. W tej strategii, jak pokazuje Spalding na przykładzie USA, jednym z kluczowych działań było kupienie sobie amerykańskich elit, manipulowanie nimi oraz zwodzenie ich.

Ale to nic nowego. Już Jurij Bezmienow, agent KGB, który w 1970 roku przeszedł na stronę amerykańską, mówił o przewrocie ideologicznym*, jaki Sowietci przeprowadzili na Zachodzie, podkreślał, że konieczne dla powodzenia przewrotu jest sprawienie, „by osoby na ważnych pozycjach, na przykład osoby opiniotwórcze, dziennikarze, naukowcy, ideologicznie stanęli po naszej stronie”. Naszej, czyli po stronie komunistów.

► W co wdepnęli Amerykanie

Wśród bajek opowiadanych o Chinach jest ta, że w ChRL panuje czysty kapitalizm. W rzeczywistości totalitarna wersja „kapitalizmu” KPCh to odrzucenie podstawowych zasad wolnego handlu i międzynarodowego systemu gospodarczego. Tak, Pekin przyjmuje zagraniczne inwestycje, nie pozwala jednak wyprowadzać zysków ze swojego kraju, zmusza do transferów technologii i notorycznie kradnie własność intelektualną.

Jednocześnie Pekin używa swoich wpływów ekonomicznych, by zakazywać zachodnim firmom i ich pracownikom działania według wartości (na przykład wolność wypowie-

* Bezmienow definiował przewrót ideologiczny jako „zmianę wyobrażenia rzeczywistości każdego obywatela do takiego stopnia, że pomimo obfitości informacji, nikt nie jest w stanie wyciągnąć sensownych wniosków w interesie obrony samego siebie, swojej rodziny, społeczności i kraju”.

dzi), które są powszechnie uznane w Stanach Zjednoczonych i wielu zachodnich państwach. Spalding podaje w swojej książce przykład pracownika Marriotta Roya Jonesa, który w styczniu 2018 roku został zwolniony na żądanie strony chińskiej. „Zbrodnia” Jonesa było to, że polubił tweeta grupy tybetańskich niepodległościowców dziękujących Marriottowi za uwzględnienie w ankiecie konsumenckiej Tybetu jako niepodległego państwa. Marriott w wyniku presji ChRL określił to jako błąd, a ankietę wycofał.

W kwestiach militarnych wojsko USA stało się całkowicie uzależnione od chińskich producentów. I tak na przykład paliwo do amerykańskich pocisków Hellfire sprowadzane jest z Chin, tak samo jak lantan, składnik szkła w goglach noktowizyjnych.

No i jest jeszcze technologia 5G, w której Chiny chcą dominować m.in. poprzez Huawei. To o tej firmie Guo Wengui, chiński miliarder ubiegający się o azyl w USA i współpracujący w tej chwili m.in. z byłym doradcą prezydenta Donalda Trumpa, Stevem Bannonem, w celu ujawniania korupcyjnych działań komunistycznych Chin mówi, że jest jedną z 10 firm „w stu procentach kontrolowaną przez chińską armię. Według Guo „ludzie na Zachodzie nie mają racji, mówiąc, że to są przedsiębiorstwa biznesowe czy firmy tylko wywodzące się z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW)”.

Inne narzędzie mające służyć chińskiej dominacji to Nowy Jedwabny Szlak (NJS). Chińska propaganda, jak pisze Spalding, przedstawia NJS jako „otwarte, integrujące i przynoszące korzyści wszystkim uczestnikom przedsięwzięcie na rzecz rozwoju świata, rozwoju gospodarczego, dobrobytu regionalnego i tym podobnych rzeczy”. W rzeczywistości jest to narzędzie w politycznej wojnie toczonej przez KPCh, by pokonać USA i cały wolny świat i zbudować nowy porządek. Porządek, w którym nie ma miejsca na wolność religijną, wolność wypowiedzi, w którym przeciwnicy władzy mogą jak dziś Ujgurzy czy chrześcijanie w Chinach trafiać do obozów koncentracyjnych, a każdy obywatel poddany jest totalnej inwigilacji i ocenie w ramach tzw. systemu oceny obywateli. I gdy nie spełnia „oczekiwań społecznych” ustalonych przez KPCh, to może na przykład stracić pracę, prawo do przelotu samolotem albo po prostu wyładować w więzieniu.

Do różnego rodzaju wpływów, jakie Chiny mają w USA, trzeba dodać te w świecie akademickim. Około 32,5 proc. międzynarodowych studentów w Stanach Zjednoczonych to już Chińczycy. Amerykańskie uczelnie wpuściły w swoje progi instytuty Konfucjusza (IK), które monitorują i kontrolują chińskich studentów na kampusach i rozpowszechniają komunistyczną narrację. To ta organizacja ma pilnować, by nauczanie chińskiej historii i kultury na zachodnich uczelniach było dostosowane do zasad KPCh. Jeżeli na przykład ktoś będzie dyskutować o Tybetańczykach albo o Tajwanie, albo na jakikolwiek temat niewygodny dla Chin, wówczas IK albo poskarżą się administracji uczelni, albo w inny sposób będą przesładować studentów lub wykładowców prowokujących takie dyskusje.

► To także dotyczy nas

Spalding opisuje, jak uśpione amerykańskie elity nie były w stanie uchronić swojego kraju przed zagrożeniem ze strony chińskich komunistów. Jednak to zagrożenie dotyczy nie tylko USA, lecz całego wolnego świata, w tym także Polski. I niestety tak jak w USA, niektórzy przedstawiciele RP w kwestii zrozumienia tego niebezpieczeństwa i ochrony nas przed nim zawodzą. Jeden z czołowych polityków Konfederacji Grzegorz Braun postulował na jednym ze swoich programów na YouTube (nagranie z 23 kwietnia 2019 roku) utworzenie Fortu Xi, czyli ściągnięcia do naszego kraju komunistycznej armii Chin.

Chińskie wpływy są też silne na polskich uczelniach**, gdzie działają instytuty Konfucjusza. Tu do współpracy chińscy komuniści wybierają nieprzypadkowe osoby. I tak na przykład dyrektorem Instytutu Konfucjusza na Uniwersytecie Gdańskim od 2015 do końca września 2017 roku był Józef Arno Włodarski. W 2018 roku odebrano mu tytuł doktora habilitowanego, bo znaleziono kilka spłagiatowanych fragmentów w jego rozprawie habilitacyjnej. Włodarski zasłynął też jako przeciwnik lustracji na uczelniach i nic dziwnego, skoro – według dokumentów IPN – w 1974 roku podpisał zobowiązanie do współpracy z bezpieką.

Wielu przedstawicieli świata polityki, nauki i mediów ignoruje zagrożenie ze strony Chin, a nawet przekonuje, że partnerstwo z tym krajem jest szansą dla Polski. Jednak rzeczywistość bardzo często weryfikuje te opowieści. Warto przypomnieć sobie chociażby sprawę działania chińskiej agentury – jakiś czas temu doszło do zatrzymania w Polsce chińskich szpiegów, w tym jednego pracownika Huawei***.

Polska wersja książki Roberta Spaldinga jest jak hejnał pobudki. Gdy politycy, ludzie biznesu, nauki i mediów z łatwością stają się narzędziami niewidzialnej wojny, jaką prowadzi komunistyczny reżim Chin, „Niewidzialna wojna. Jak Chiny w biały dzień przejęły wolny Zachód” jest ostrzeżeniem, że to już ostatni moment, by zagrożenie ze strony KPCh zacząć traktować bardzo poważnie. ■

** IK działają na Uniwersytecie Jagiellońskim, Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytecie Wrocławskim, Uniwersytecie Gdańskim oraz na Politechnice Opolskiej. W kilku szkołach istnieją też klasy konfucjańskie.

*** W 2018 roku szwedzkie służby złapały mężczyznę podejzanego o szpiegowanie uchodźców z Tybetu. Zebrane informacje miał przekazywać służbom komunistycznych Chin. Według prokuratury oskarżony kontaktował się z chińskimi oficjalami w Polsce i co najmniej raz otrzymał od nich pieniądze. Ten model działania może sugerować, że w chińskiej ambasadzie w Warszawie funkcjonowała centrala kierująca operacjami wywiadowczymi w innych państwach Europy.

Warszawa: **101 FM, DAB+**

Ostrołęka: **100,8 FM**

Płock: **101,9 FM**

Ostrów Maz.: **87,6 FM**

Radom: **89,1 FM**

Siedlce: **103,4 FM**



Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**



www.rdc.pl



facebook.com/radiordc



instagram.com/radiodlaciebie

[eprasa.pl/7ae073aa23](https://www.eprasa.pl/7ae073aa23)



twitter.com/rdcpolskieradio



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Zagubiony Plastuś bez mapy

Dotarcie do tej irańskiej wioseczki to jak wkroczenie do innego świata. Z inną kulturą i obyczajami, lecz nie nieprzychylnego. Ale właśnie spojrzenie na to miejsce bez europejskich przyzwyczajęń sprawi, że być może uda się nam odkryć wyjątkowość Kandovan. Wioski położonej w górach tzw. Azerbejdżanu Wschodniego.

Śnieg w Kandovan nie zmienia za wiele w codziennym rytmie życia mieszkańców wioski

W ciemnej izbie widać ledwo tłącą się płamkę. To dogasający płomień z grzewczej kozy. Stojący w rogu pustego pomieszczenia piec jest w tej chwili jedynym przedmiotem, który ma tak wyraźny zarys. Prócz niego widać tylko cztery gołe ściany. W przedświtowej szarzyźnie ciężko rozpoznać, co dokładnie leży na podłodze. Dopiero gdy przyzwyczaj się wzrok... Oto kilka porozrzucanych toreb, dwa otwarte plecaki, poskładane w kostkę ubrania. I szeleszczące od ciągłego pocierania o dywan śpiwory. To ich szuranie zakłóca w tej chwili ciszę nocną w tej niewielkiej górskiej osadzie.

– Tylko ja tak marznę, czy tobie też jest tak zimno? – odzywam się, wysuwając na chwilę twarz spod zakrywającego twarz śpiwora.

– Stefan, pieruńsko. Spać nie mogę... – Po tonie głosu leżącego obok na karimacie Mateusza wnioskuję, że i jemu nie jest w tej chwili najcieplej.

– Chyba koza przestała grzać... – Spoglądam w stronę kąta izdebki, gdzie przynajmniej w teorii powinien stać piec. Jeszcze wczoraj wieczorem tam był. Pamiętam nawet, jak nasz irański gospodarz przyszedł na chwilę do pokoju z białą butelką jakiegoś płynu. Wlał, rozpalił i wyszedł. I tyleśmy go widzieli.

– Stefan... – Mateusz zakłada na chwilę okulary, aby także popatrzeć w stronę wygasłego już piecyka. – Ta koza nie grzeje już przynajmniej od dwóch godzin. Dopiero teraz to poczułeś?

– Mamy co tam wlać? – upewniam się, dobrze wiedząc, jaka będzie odpowiedź Mateusza.

– Co ty... Ten dziadek przyszedł, wlał wszystko i poszedł. Nic nie zostawił.

– No to słabo... Szykuje się mroźny poranek.

Wstaję, nie wychodząc z ciepłego śpiwora. Niczym uczestnik zawodów wyścigów w workach podskakuję w stronę okna. Odsuwam na moment ciemne zasłony. Wygląda na to, że na zewnątrz nadal jest zupełnie ciemno. Do wschodu słońca chyba jeszcze trochę zostało. Jest jednak coś, co zaskakuje.

– Ty, Mati... – szepczę, nie będąc do końca pewnym, czy na pewno dobrze widzę. Nie uwierzysz, ale... Ale wszystko jest przysypane śniegiem.

► Tylko tutaj

Północny Iran. Góry prowincji nazywanej Azerbejdżanem Wschodnim. Trzydzieści kilometrów na południe od półtoramilionowego Tebriz. Niewielka osada pod wulkanem. Oto małe Kandovan. Tutaj przychodzi nam spędzić tę zimną noc.

Podczas gdy w tym samym kraju, 1500 kilometrów stąd, nad Zatoką Perską będzie dziś ponad 25 stopni na plusie, tutaj słupki rtęci wskażą minus 10. Będzie zimno. I biało. Nie takiego Kandovan się spodziewałem. Za-

mieszkana przez ledwie 600 osób miejscowość najprawdopodobniej nigdy nie zaistniałaby na turystycznej mapie Iranu, gdyby nie jedna rzecz. Mowa o ulokowanych w powulkanicznej skale tufu domach. Owszem, podobnych domostw jest na świecie jeszcze troszkę, ale nigdzie nie stanowią normalnej zabudowy zamieszkanego współcześnie miasteczka. A przecież w Kandovan życie toczy się jak gdyby nigdy nic. Tak jak kiedyś.

Ktoś spyta: a co z mieszkańcami nieodległych stąd gruzińskich, podobnie wydrążonych w skale monasterów Vardzia? Już tłumaczę. Czym innym jest mniszka pustelnia w skale, do której wszelkie niezbędne do życia dobra trzeba dowieźć. A zupełnie czym innym zwarta, rozrastająca się populacja miejska. W której ludzie *de facto* nie potrzebują do szczęścia rzeczy ze świata zewnętrznego. Mają tu bowiem wszystko. Żyjąc tak, jak przed wiekami.

► Sklepik nie dla klaustrofoba

– Sope heju (perskie „dzień dobry”) – już w progu kamiennego gospodarstwa wydrążonego w skale wita mnie przyjazny kobiecy głos.

– Salom! – odpowiadam zgodnie z przyjętą w Iranie konwencją pozdrawiania ludzi w imię Boga.

To jeden z nielicznych sklepików, na jakie natrafiliśmy w całym Kandovan. Nieprzygotowani na atak zimy szukamy nieco cieplejszych ciuchów. Czapek, rękawiczek, swetrów. Pani wydaje się mieć tu całkiem ładny wybór. Przy okazji zaś zobaczymy, jak wyglądają oryginalne wnętrza słynnych domków wydrążonych w wulkanicznej skale – sklepik bowiem mieści się w takiej „niszy”. Drzwi z bardzo niskim progiem. Aby wejść, trzeba się bardzo schylić. W środku niewiele miejsca, ciasno. Między kolejnymi pomieszczeniami obłe, zaokrąglone u góry przejścia. Pozbawione drzwi. Lita skała wywołuje uczucie zimna, chłodu. I permanentnej ciemności. Ulokowane gdzieś tam małe lampki naftowe nadają urok, dodają ciepła, oswajają z zimną przestrzenią wnętrza.

Zwykle na parterze kamiennych domków Kandovan znajduje się sień dla zwierząt. Czasem spiżarnia. Pokoje mieszkalne zaczynają się wyżej. Na pierwszym i drugim piętrze. To najzupełniej zasadne. Ciepło powietrze ucieka do góry. Na dole jest najchłodniej. Tam też gromadzi się najwięcej robactwa. A jego w kamiennych, pełnych prześwitów i szczelin chatach raczej mnóstwo.

W domu tej pani, do której izby wszedłem, parteru wyjątkowo nie przekształcano w sień. Zrobiono za to sklepik. Wzdłuż obu ścian widać więc ciągnące się półki. Na nich ciepłe czapy, szale. Charakterystyczne perskie swetry z wełny. Są też bardzo ładne lampiony.



Kształt domów Kandovan przypomina z oddali zakapturzone głowy srogich mnichów

W kształcie kandowańskich domków z tufu. Z podwieszoną pod spiczastym daszkiem żarówką, nastrojowo rozświetlającą wnętrze domku-lampionu. Cena lampki? 70 tys. riali. Na polskie: około... 7 złotych.

► Gdy mąż pozwolił, ale...

Głowa leży już obok. Kobieta zaczęła od niej. Wokoło ciemnoczerwona kałuża krwi. Martwy łeb ma jeszcze otwarte oczy. Teraz pora na resztę. Iranka bierze się za tułów. Zaczyna odzierać ze skóry zebra. Bardzo misternie, acz zdecydowanie. Pewne ruchy wykonując jakby nawykowo. Wszystko dzieje się przed sienią jej domu. Przed niewielkim przybytkiem, w którym miałem okazać spać tej nocy.

– Mogę? – pytam naszego gospodarza, jak zgaduję: męża kobiety. Kiwając znacząco głową, że chciałbym zrobić zdjęcie.

– Baale – odpowiada, mrugając okiem. To chyba zgoda. Chyba.

Ubrana w tajemniczy czador kobieta oprawiając barana i ten turpistyczny krajobraz wokół niej. Ciemnieją

ca z każdą chwilą kałuża krwi, osamotniona głowa, syk maszyny gazowej z wyprowadzonym z niej sznurem zakończonym palnikiem, którym kobieta przypala cielsko martwego zwierza. Dla fotografa scena wprost wymarzona.

– Naa! Naa! – krzyczy nagle kobieta odwracając się.

– Ale mąż pozwolił... – tłumaczę się po angielsku. Zupełnie bez sensu. Równie dobrze mógłbym wypalić po polsku. Nikt z rodzimych mieszkańców tej wioski nie posługuje się innym językiem niż perski lub turecki.

Kobieta szybko odsuwa się od oprawianego barana, wskazując, abym przestał fotografować. Nie wróci, dopóki nie skończę. Nie mam wyboru. Zdażyłem zrobić tylko dwa zdjęcia. Zawsze to coś.

Mieszkanka Kandovan pokazała mi bardzo wyrażnie, jak duża przepaść dzieli naszą mentalność. Jak inaczej zostaliśmy wychowani. Jak różny kod kulturowy płynie w naszych żyłach. Tego dnia przeżyję przynajmniej jeszcze jedną podobną sytuację. Niosąca chrust do swojej chaty pani nie będzie chciała przejść obok swego domu dopóty, dopóki nie odłoży aparatu. Trzeba będzie odpuścić. To oni są u siebie, nie ja. Z drugiej stro-

Tu czas jakby się zatrzymał...





Bajkowe domy wyrzeźbione w plastycznym tufie wulkanicznym

ny taka odmienność naprawdę fascynuje. Sprawia, że do przyjeźdnego dociera wreszcie, dokąd tak naprawdę udało mu się dotrzeć. Że turystyczna, kolorowa mapa tutaj nabiera nieco innego znaczenia. Że nie wszystkie napisy muszą być dla niego zrozumiałe. Że nie znajdzie tu tabliczek informujących o unijnym budżecie, dzięki któremu dokończono remont danej izdebki. Ale dotrze do niego również, że ma poczucie wyjątkowości chwili. Jej cenności i ulotności zarazem. Taką chwilą będzie każda spędzona w irańskim Kandovan. Miasteczku, dla którego w XXI wieku teoretycznie nie powinno być już miejsca. A jednak.

► Domy-ule

Nazywają je często „irańską Kapadocją”. Trudno się zresztą dziwić. Pejzaż Kandovan rzeczywiście przypomina słynną turystyczną atrakcję środkowej Turcji. Ośmielę się nawet stwierdzić, że jest znacznie ładniejszy od swego słynnego osmańskiego krewnego. Rozlokowane u podnóża sinobrunatnego wzgórza skalne ostańce przypominają z daleka jakieś tajemnicze głowy. A raczej morze głów w kapturach. Wyobrażenie jest tym prostsze, że w każdej ze skał wydrążone są charakterystyczne dziury. Mniejsze na górze (okna) to jakby oczy owych „skalnych pokutników”. Większe na dole (drzwi) to usta. Ta zadziwiająca forma to skutek wybuchu sprzed setek tysięcy lat pobliskiego wulkanu Sahan. W konsekwencji erupcji skały lądowały na chłodnej ziemi i w wyniku szeregu zjawisk zastygając, tworzyły owe tufove, porowate konstelacje skalne.

Najstarsze z tutejszych domów liczą nawet po 700 lat. Pod tym względem niewiele się tutaj zmieniło. Lokalny

przekaz głosi, że jako pierwsi na tych terenach zaczęli pojawiać się bezbronni pasterze uciekający przed mongolską nawałnicą nadciągającą z północy. Wulkaniczne, łatwe w drążeniu skały idealnie nadawały się na chwilową kryjówkę. Mongolski najazd trwał jednak trochę dłużej niż przewidywali. Uchodźcy bali się powrotu do siebie. Z czasem zaczęli więc przystawiać prowizoryczne jamy skalne w nadające się do życia pieczary. Wychodziło im na tyle dobrze, że postanowili mieszkać tak również po cofnięciu się wrogich oddziałów mongolskich. Zostali do dziś.

Posługują się w większości dialektem tureckim. To właśnie z niego pochodzi krótkie słówko „karan”, oznaczające „ul”. A dla mieszkańców Kandovan: oznaczające także ich własne domostwa. Domy-ule? Tak. Ze wspomnianymi charakterystycznymi otworami na okna i drzwi. I niepodrabialną sylwetką magmowych stropów. Persom takie budynki nie mogły kojarzyć się z niczym innym.

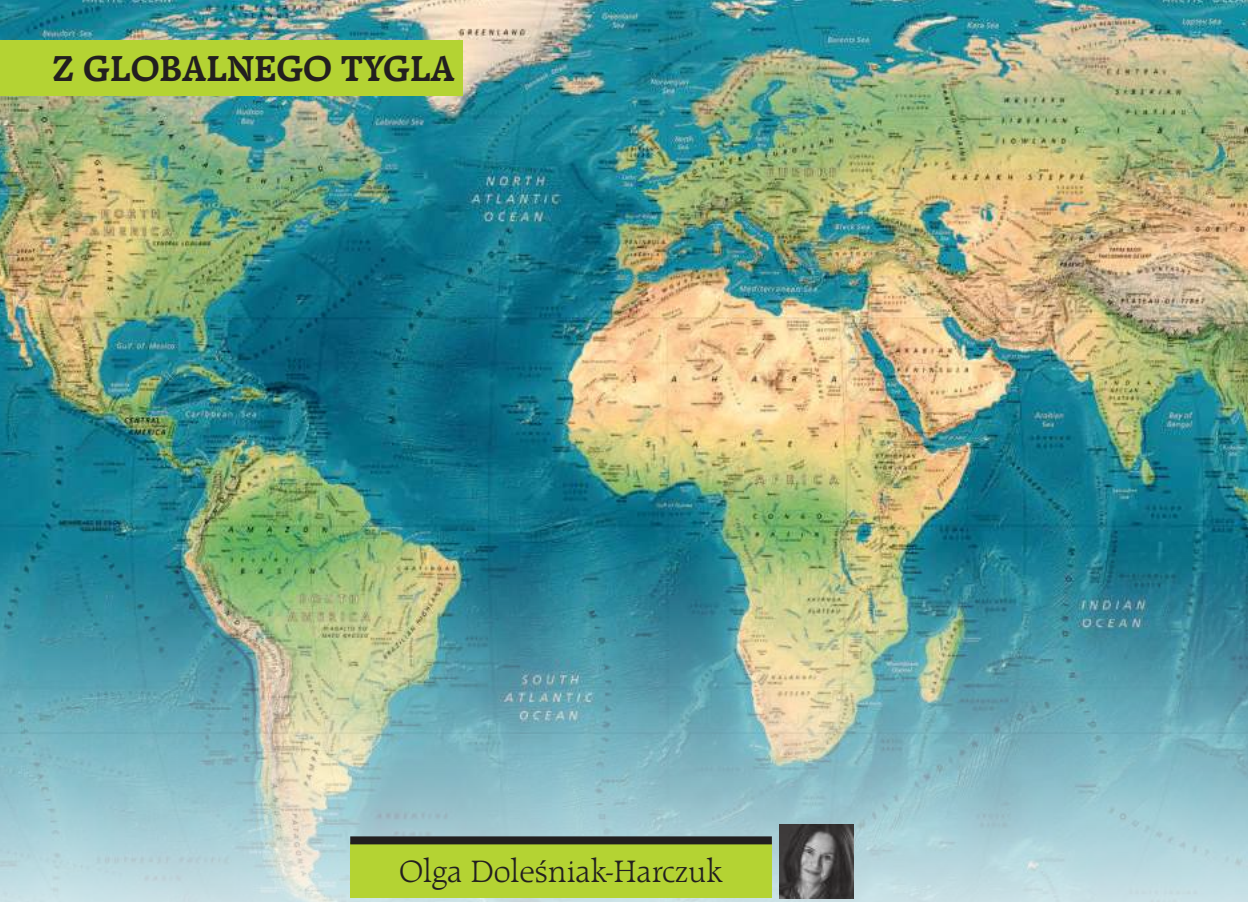
► Zaśnieżony Plastusiowy Pamiętnik

Domki karan wyglądają zjawiskowo. Oglądane zarówno z daleka, gdy przypominają zakapturzonych mnichów, jak i oglądane z bliska, gdy oko obserwatora zastanawia się, w jaki sposób tak nieregularna sylwetka magmowej elewacji może stanowić dla kogoś rodzinne domostwo. I o ile latem i wiosną można jeszcze wyobrazić sobie ludzi śpiących w owych „bezsztalnych domkach”, przypominających miejscami domki z „Plastusiowego Pamiętnika”, o tyle teraz, gdy w nocy spadł śnieg, a temperatura spadła do minus 20 stopni Celsjusza... Także i tego wieczoru nad Kandovan przychodzą ciemne chmury. Tuż po zmroku znowu zaczyna sypać. Kremowa, jasnopiaskowa do tej pory mieszcina w kilka minut skrywa się pod białym puchem, spod którego tylko gdzieś wystaje jakiś ciemniejszy kikut, kontur komina czy odśnieżonego okna. Stronie i śliskie kamienne uliczki trudno pokonać. Miasteczko ogarnia paraliz. Mieszkańcy są jednak przygotowani także na to.

„Trach! Łuup!” – kolejna ciężka hałda śniegu ląduje na ziemi. Zanim spadła, przeleciała jakieś 10 metrów. Na dachach Kandovan widać małe, czarne punkciki. Uwijające się jak mrówki. Każda ze szpadlem, z łopatą, czasem z drewnianą płytą. Zgarniają śnieg. Najczęściej zupełnie nie patrząc, czy akurat pod nimi ktoś nie przechodzi albo czy przypadkiem nie stoi tam samochód. Jak choćby teraz. Gdy pewna pani w chustce na głowie przekracza próg miasteczkowego sklepiku. Hałda śniegu spada tuż pod jej nogi. Pani nawet nie w głowie upomnieć winowajczynię. Spokojnie omija nowo powstały kopczyk, lekko strzepuje kilka płatków, które musnęły jej palto, i wchodzi do środka. Mieszkańcy Kandovan nie mają czasu zajmować się takimi drobnostkami. Mają znacznie ważniejsze sprawy na głowie. ■



Gdy słońce wreszcie wyjdzie
zza śnieżnych chmur...



Olga Doleśniak-Harczuk



O murze. I trochę o Adolfie

Upadek Muru Berlińskiego w listopadzie 1989 roku i zjednoczenie, a raczej wtłoczenie terenów i ludności byłego NRD w krwiobieg bogatego, zachodniego brata w niecały rok później – to dwa filary mitu założycielskiego dzisiejszych Niemiec.

Zdaniem tych, którzy z pewnym rozczarowaniem patrzą dziś na minione trzy dekady, oba wyżej wymienione filary były zbyt słabe, by unieść ciężar wieloletnich zaniedbań, wzajemnych pretensji Ossis i Wessis, niezrozumienia i dojmującego poczucia obcości we własnym państwie po stronie Niemców z landów wschodnich. Aż 57 procent z nich czuje się obywatelami drugiej kategorii. – Państwo niemieckie dla większości żyjących tu ludzi nie jest żadnym punktem orientacyjnym, niczym, z czym można się utożsamić. Ani sercem, ani rozumem – mówi wprost Bettina Röhl, niemiecka publicystka i pisarka.

Röhl widziała upadek muru z bliska. W listopadzie 1989 roku była w Berlinie. Patrzyła na wzruszenie wielu swoich rodaków, lzy w ich oczach. Jej również udzielił się nastroj chwili. 30 lat później smak euforii zwietrzał. W ostatnim w październiku, weekendowym wydaniu dziennika „Tagesspiegel” słynna swego czasu łyzwiarka Katharina Witt mówi: „Nas, Niemców wschodnich, po prostu się ignoruje. Jesteśmy niewidzialni”.

► Z manierą wszechwiedzącego

– Dzień Jedności Niemiec to dla mnie zgroza, jedna wielka hipokryzja, choć wypowiedziane przez Willy’ego Brandta zdanie, że w 1989 roku zrosło się to, co powinno, uważam za aktualne. Niemcy nie są już odbierane jako zagrożenie, chyba że ktoś się lęka tej dziwnej mieszanki aroganckiej ignorancji z apolityczną gotowością do puszczania wodzów fantazji, gdzie dziś jesteś weganinem i wrogiem CO₂, kiedyś wrogiem komunistów, dziś kapitalistów. I wszystko z manierą wszechwiedzącego – mówi Röhl. A potem z tematu zjednoczenia płynnie przechodzi do Niemiec A.D 2019, wszystko się ze sobą ząbaja. Migracja, frustracja postenerdowskich miasteczek, poczucie przynależności do najniższej kasty, tylko dlatego, że nie szaleje się na punkcie tematów okologenderowych, nie walczy bohatercko o klimat. A co z narodem? Nie ma narodu, bo samo pojęcie jest naznaczone fatalnym dziedzictwem, jest społeczeństwo, a ludzie odnajdują się w innych koncepcjach i samych siebie, i państwa, pojęcie jedności pozostało abstrakcją. Wchodzimy na kolejny poziom roztrząsania niemieckiej natury. Istnieje coś takiego? Jeszcze nie tak dawno znawcy Niemiec opierali się na teorii, że pozyszywane z landów państwo definiowało się jako wspólnota tylko dzięki kulturze. To ona miała być zrebem niemieckiej tożsamości. Jak jest dziś? Przyszedł chyba czas na nowe teorie. Tak jak przyszedł czas na Nowe Niemcy.

► Śmierć na ekranie

Zastanawiam się nad własnymi wspomnieniami z listopada ’89 roku. Potop jednakowo ubranych ludzi

objuczonych reklamówkami z dyskontów. Niemców z byłego NRD, z podziwem i niedowierzaniem chłonących przepych norymberskich ulic, domów handlowych, witryn przywodzących na myśl baśniowe krainy, bo jak to w Niemczech – handel szykował się do świąt Bożego Narodzenia już z początkiem listopada. Upadek muru z perspektywy dziecka kojarzył się przede wszystkim z nagłym przyplywem ogromnych mas ludzkich, ale nie tylko. W Boże Narodzenie wykonano egzekucję Nicolae Ceaușescu i jego żony Eleny. Nagranie wideo pokazano również w niemieckiej telewizji publicznej, nasz sąsiad, Rumun, który nie miał odbiornika, wpadł do mieszkania moich rodziców, by „obejrzeć, jak zabijają potwora”. Ten rumuński rozbiitek o imieniu Adolf przyjechał do Niemiec na tzw. pochodzenie. Urzędnicy roztoczyli nad nim opiekę, ale Adolf nie był typem, który łatwo się adaptuje. Nie radził sobie szczególnie w swojej nowej ojczyźnie, był sympatycznym, drobnym mężczyzną, który przeproszał, że żyje. Mimo że miał czajnik, robił kawę po turecku, zalewając gorącą wodą z kranu zmielone ziarna. Jak Adolf zapraszał na kawę, sąsiedzi nagle mieli mnóstwo spraw do załatwienia. Kawa u Adolfa to była sztuka na raz. Ceaușescu już leżał na ziemi, nasz rumuńsko-niemiecki sąsiad z twarzą utkwioną w ekranie zastygł na moment, po czym zaczął skakać po pokoju. „W końcu zabili sk*syna!”. Euforia. Pół ulicy słyszało chyba te okrzyki. Była w nich satysfakcja, było coś jeszcze. Ból. Adolf nie mówił, co przeszedł u siebie, zanim trafił pod skrzydła niemieckiego państwa dobrobytu. Można było się tylko domyslać. Następne Boże Narodzenie nie doczekał. Znaleźli go powieszzonego. Podobno nie radził sobie w zwyczajnym życiu, ale kto to wie. Czasem się zastanawiam, czy ktoś jeszcze o nim pamięta, tam w Rumunii.

► Kochanie, mur ci przywiozłem

Nowy mąż modelki Heidi Klum w prezencie ślubnym podarował jej oryginalny fragment Muru Berlińskiego. To miała być atrakcja ogrodu w Los Angeles. Jak informuje austriacki „Der Standard”, pomyśl z murem w amerykańskim ogrodzie nie wszystkim przypadł do gustu. Jedna z niemieckich prezenterek telewizyjnych nie kryła oburzenia: „Pod tym murem rozpaczano, strzelano, patrolowano i umierano. On nie znaczy nic dobrego. A teraz jakby nigdy nic, stoi sobie przed domem Heidi?”. Fragmenty muru są porozrzucane po różnych zakątkach globu. Przez 30 lat mur pracował na opinię cichego hitu eksportowego. Fragmenty zimnowojennej historii mają w swoich zbiorach Japończycy, Amerykanie, Izraelczycy. Nie tylko modelka Heidi i jej pomysłowy małżonek. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Japonia – UE a Nowy Jedwabny Szlak

Pod koniec września Japonia i Unia Europejska podpisały pakt dotyczący koordynacji inwestycji transportowych, energetycznych i cyfrowych (telekomunikacyjnych), które będą łączyć Europę z Azją. Porozumienie ma stanowić konkurencję wobec chińskiej inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku. Pakt zakłada zaangażowanie Japonii w rozwój promowanych przez UE wymienionych wyżej dziedzin. W ramach umowy UE na poczet przyszłych inwestycji obowiązała się przekazać 60 mld euro z funduszy z przyszłych budżetów UE, pożyczek od banków rozwoju (na przykład Europejskiego Banku Inwestycyjnego) oraz z prywatnych inwestycji.

Umowa między UE a Japonią wyraźnie podkreśla, że w przyszłych wspólnych projektach ważnymi kryteriami będą zapewnienie stabilności budżetowej i ochrona środowiska. Zasady te są często łamane w ramach projektów Nowego Jedwabnego Szlaku. Chińskie inwestycje w wielu przypadkach kończą się zanieczyszczeniem środowiska i ogromnym zadłużeniem państw decydujących się na współpracę z Chinami.

Japonia podobnie jak Stany Zjednoczone widzi w Nowym Jedwabnym Szlaku nie tylko zagrożenie dla gospodarek krajów biorących w nim udział, lecz także możliwe narzędzie militarnej ekspansji Chin. W 2017 roku rząd Sri Lanki musiał przekazać w dzierżawę na 99 lat Port Hambantota chińskim firmom kontrolowanym przez komunistyczne władze Chin, bo nie był w stanie spłacić rat kredytów zaciągniętych w ramach projektu Nowego Jedwabnego Szlaku. Uważa się, że w przyszłości port będzie wykorzystywany przez Chiny militarnie.

W wydanej we wrześniu tego roku Białej księdze dotyczącej obrony rząd Japonii ostrzegł, że „Chiny podejmują jednostronne, przymusowe próby zmiany

status quo w oparciu o własne założenia niezgodne z istniejącym ładem międzynarodowym”.

► Hongkong

Od momentu rozpoczęcia w Hongkongu prodemokratycznych protestów w czerwcu tego roku wzrosła liczba rzekomych samobójstw w byłej kolonii brytyjskiej wśród młodych ludzi. Według największej poza Chinami i Tajwanem chińskojęzycznej gazety „Epoch Times”: „po 12 czerwca przez dwa miesiące liczba zgłoszonych samobójstw co 10 dni osiągała poziom około 10 osób. Następnie, od 21 sierpnia do 31 sierpnia, liczba ta nagle wzrosła do 18. W ciągu następnych dziesięciu dni liczba ta podwyższyła się do 49. Jak dotąd łączna liczba samobójstw przekroczyła 100”.

Dokładna analiza rzekomych samobójstw i dowodów często dostarczanych przez internautów w Hongkongu wskazuje, że w wielu przypadkach mogły to być morderstwa dokonywane na osobach, które biorą udział w protestach. I tak na przykład 10 października 31-letni mężczyzna wyskoczył z jednego z wieżowców w Hongkongu. Po przybyciu na miejsce tragedii personel medyczny stwierdził, że ofiara zmarła przed upadkiem. Internauci na podstawie zdjęć zrobionych na miejscu zdarzenia wskazywali, że na przykład w miejscu upadku 31-letniej ofiary nie było widocznych plam krwi, a ruch rąk i ramion podczas upadku świadczy, że przed śmiercią jej ręce były związane lub zakute w kajdanki. Mimo to policja uznała, że mężczyzna cierpiał na zaburzenia psychiczne i to mogło być przyczyną samobójstwa.

Guo Wengui, chiński miliarder, który stara się o azyl w USA i współpracuje z byłym strategiem Trumpa, Stevem Bannonem, w jednym ze swoich nagrań umieszczanych prawie codziennie na YouTube zwró-

cił uwagę, że w ostatnim czasie w krematoriach w Hongkongu doszło do około 20 przypadków spalania ciał osób, które brały udział w prodemokratycznych protestach, bez podania ich imienia i nazwiska. Guo podał także listę jednostek Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej stacjonujących w Hongkongu, gdzie mogą się odbywać podobne kremacje.

Na początku października na stronie AI Organizacji (amerykańska organizacja zajmująca się badaniami i oceną ryzyka projektów dotyczących sztucznej inteligencji) ukazał się artykuł pt. „Sztuczna inteligencja z rozpoznawaniem twarzy ściga młodzież z Hongkongu, by pojąć, gwałcić i dokonywać tak zwanych samobójstw”, w którym autorzy piszą o informacjach od agencji wywiadowczych mówiących o tym, że Pekin umieścił swoje siły paramilitarne w departamencie policji w Hongkongu, że stosuje inwigilację demonstrujących z wykorzystaniem m.in. technologii rozpoznawania twarzy, że ofiary rzekomych samobójstw są przymuszane do śmiertelnych skoków z budynków, a młode kobiety biorące udział w protestach są gwałcone.

► Korea Północna

Opublikowany w październiku przez Komitet Praw Człowieka w Korei Północnej (HRNK), organizację pozarządową z siedzibą w Waszyngtonie, raport pt. „Stracone pokolenie: Zdrowie i prawa człowieka: dzieci w Korei Północnej w latach 1990–2018” stwierdza, że warunki życia i stan zdrowotny dzieci w KRLD był i pozostaje na fatalnym poziomie. Według raportu „dwa badania przeprowadzone pod auspicjami ONZ w 1997 i 1998 roku wykazały znaczące oznaki utraty zdrowia i zahamowanie wzrostu wśród małych dzieci w tamtym okresie. Do tej pory brakowało wiarygodnych informacji na temat wpływu kryzysu żywnościowego w Korei Północnej na ogół ludności i praktycznie nie były znane wskaźniki śmiertelności. Wysiłki mające na celu uzyskanie tego rodzaju danych były wielokrotnie blokowane przez rząd Korei Północnej”.

W 1990 roku Korea Północna i Korea Południowa „miały porównywalną długość życia w chwili urodzenia – odpowiednio 70 lat i 72 lata – obie z nich były powyżej średniej światowej wynoszącej 65 lat w tym roku. Do 2017 roku średnia długość życia w Korei Płn. wzrosła do 72 lat, choć w szczytowym okresie głodu w latach 1995–1998 wynosiła około 65 lat. Do 2017 roku długość życia w Korei Płd. wzrosła do 82 lat.

Badanie dotyczące długości życia w Korei Płn. w latach 1993 i 2008, dwóch latach, w których przeprowadzono spis ludności w Korei Płn., pokazuje, że wskaźnik umieralności w 2008 roku wśród mężczyzn i kobiet w wieku 10–39 lat (dzieciństwo i dorastanie tych osób

przypada na lata 90.) oraz kobiet w wieku 40–49 lat (były one w wieku rozrodczym w latach 90.) był ponaddwukrotnie wyższy niż odpowiadające im wskaźniki śmiertelności w 1993 roku”. Raport stwierdza też, iż system opieki zdrowotnej, który poważnie podupadł w latach 90., do tej pory nie został odbudowany.

W ankiecie przeprowadzonej wśród Koreańczyków z Północy, którzy szukali schronienia w Korei Południowej w latach 1997–2017, prawie jedna czwarta wymieniała brak żywności jako główną motywację ucieczki.

► Chiny-Turcja

Turcja liczy na chińskie wsparcie i turystów. Rząd Erdogana rozmieszcza w Stambule oznakowania na przykład ulic i dzielnic w języku mandaryńskim, co ma pomóc w zorientowaniu się w terenie turystom z ChRL. Tymczasem uchodźcy ujęurcy, prześladowani w komunistycznych Chinach, usuwają te chińskie napisy, a w ich miejsce umieszczają flagi Turkiestanu Wschodniego (tak Ujgurzy nazywają prowincję Xinjiang, w której mieszkają, a która jest teraz kontrolowana przez ChRL) i Turcji, różniącymi się jedynie kolorem tła, oraz naklejki potępiające zabójstwa dokonywane przez chińskie władze w ich ojczyźnie.

Ujgurów zaangażowanych w te akcje w wypowiedziach dla portalu Bitter winter, zajmującego się łamaniem wolności religijnej i praw człowieka w Chinach, mówią, że czują się zdradzeni przez Turcję i coraz bardziej boją się konsekwencji wynikających ze zbliżenia pomiędzy Chinami i Turcją.

W artykule, jaki ukazał się w lipcu tego roku na łamach tuby komunistycznej propagandy w Chinach – dzienniku „Global Times”, prezydent Recep Tayyip Erdogan wychwalał Pekin, mówiąc, że jego kraj i Chiny „podzielają tę samą wizję pokoju bezpieczeństwa i stabilności na świecie, a także multilateralizmu i wolnego handlu”. A turecki minister kultury i turystyki Mehmet Ersoy, szczegółowo opisując plany swojego kraju dotyczące zwiększenia dochodów z turystyki, powiedział, że uwaga Turcji będzie się teraz bardziej skupiać na Chinach, Indiach, Korei Południowej i Japonii. „Oczekujemy, że liczba turystów przybywających z regionu Azji i Pacyfiku wzrośnie o ponad 30 proc. między 2018 a 2023 rokiem”.

W Stambule mieszka około 30 tys. ujęurskich uchodźców z Chin. W Xinjingu ponad milion Ujgurów znajduje się teraz w obozach reedukacji. Ci, którzy w nich przebywali, nazywają je koncentracyjnymi i opowiadają, że byli tam poddawani kulturowej i ideologicznej indoktrynacji – na przykład zmuszani do śpiewania komunistycznych pieśni, spożywania wieprzowiny i alkoholu, a także doświadczali tortur. ■

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński



Ropa, handel i żywność. Po co Putin jeździł do Arabii Saudyjskiej

Biorąc pod uwagę perspektywy handlowe, Waszyngton na razie nie ma się co obawiać wzrostu wpływów Rosji w regionie Zatoki Perskiej. Jednak widać wyraźnie, że kraje arabskie coraz aktywniej zdywersyfikują swoje kontakty. Moskwa już korzysta z tego we własnym interesie – zarówno ekonomicznie, jak i politycznie – pisze Marianna Bielenkaja w analizie Moskiewskiego Centrum Carnegie, opublikowanej na stronie internetowej think tanku 16 października 2019 roku.



fot. Mikhail Mezel/EAP/TIARTASS

Pierwsza od 12 lat wizyta prezydenta Rosji Władimira Putina w Arabii Saudyjskiej odbyła się na tle kolejnego zaostrzenia sytuacji w Zatoce Perskiej. Rijad i Teheran znalazły się faktycznie na krawędzi wojny, każdego dnia zaostrza się sytuacja na linii Iran-USA. Waszyngton po wyjściu z Syrii skupia uwagę na Zatoce Perskiej. Z ekonomicznego punktu widzenia Rosja nie może wystąpić jako konkurent dla USA w tym regionie, ale podwyższona aktywność Moskwy w strefie amerykańskich interesów wywołuje podejrzenia w Waszyngtonie.

W ciągu ostatniego roku po zabójstwie saudyjskiego dziennikarza Dżamala Chaszodżdżiego, będącego też autorem tekstów w „The Washington Post”, prezydent Donald Trump nieraz musiał bronić konieczności utrzymania ścisłej współpracy między Waszyngtonem a Rijadem i przed kongresmenami, i przed zwykłymi Amerykanami. Wśród jego głównych argumentów jest obawa przed aktywizacją związków rosyjsko-saudyjskich, w tym m.in. współpracy wojskowo-technicznej. „Jeśli nie będziemy sprzedawać uzbrojenia Saudyjczykom, pójdą do Rosjan i Chińczyków” – nieraz powtarzał Trump.

Oprócz tego amerykańscy dyplomaci z dużą podejrzliwością odnieśli się do rosyjskiej propozycji budowy w regionie Zatoki Perskiej odpowiednika OBWE. Chodzi o odnowioną w lipcu rosyjską Koncepcję Bezpieczeństwa Zbiorowego w Zatoce Perskiej. Poprzednie analogiczne propozycje Moskwy, złożone w latach 90. i 2000, pozostały niezrealizowane. Teraz Rosja proponuje przyłączenie się do tego projektu nie tylko krajów regionu, lecz także USA, Chin i UE. We wrześniu odbyły się pierwsze konsultacje na poziomie eksperckim. Głównym tematem było omówienie mechanizmu monitoringu w Zatoce Perskiej. Gdyby taki mechanizm już działał, to nikt nie miałby wątpliwości, kto stoi za tajnymi atakami na tankowce w Zatoce Omańskiej lub kto ostrzeliwał instalacje naftowe w Arabii Saudyjskiej, uważają w Moskwie. Amerykanie na te konsultacje nie przyjechali. „Po co komu rosyjska koncepcja? Mamy swój system relacji z krajami Zatoki” – takie jest zasadniczo stanowisko USA, które wyjaśnił mi jeden z amerykańskich dyplomatów. W Waszyngtonie podejrzewają, że Rosja chce wypchnąć USA z regionu. Ale czy są podstawy do obaw?

► Ropa i sojusze

W ostatnich czterech latach relacje między Rosją a Arabią Saudyjską sprowadzają się do dwóch słów: inwestycje i ropa naftowa. Kraje arabskie rozumieją, że czasy, gdy mogły samodzielnie wpływać na politykę światową poprzez ceny na ropę,

dawno minęły. Teraz potrzebny jest im sojusz z krajami niewchodzącymi w skład OPEC, przede wszystkim z Rosją. I właśnie wychodząc z tego założenia, w 2016 roku Moskwa i Rijad zaczęły budować dwustronną współpracę na nowym poziomie na podstawie zaufania powstałego między władzami dwóch krajów podczas pracy nad porozumieniem OPEC+. Przed wizytą Putina w Rijadzie została przygotowana Karta Długoterminowej Współpracy między krajami OPEC i niewchodzącymi w skład kartelu państwami. Dokument był parafowany jeszcze na spotkaniu ministrów w Wiedniu latem tego roku, ale podpisanie porozumienia odłożono do spotkania Władimira Putina z królem Arabii Saudyjskiej Salmanem. [...]

Drugi komponent rosyjsko-saudyjskiej współpracy to inwestycje. Jeszcze w 2015 roku podczas pierwszej wizyty w Rosji następcy tronu księcia Muhammada bin Salmana Rosyjski Fundusz Bezpośrednich Inwestycji (RFPI) i saudyjski Fundusz Inwestycji Publicznych (PIF) dogadywały się w sprawie 10 mld dolarów w wspólnych inwestycji w rosyjską gospodarkę. W 2017 roku podczas pierwszej w historii wizyty króla Arabii Saudyjskiej w Moskwie były też podpisane umowy o powołaniu Inwestycyjnego Funduszu Energetycznego i Funduszu Inwestycyjnego w sferze wysokich technologii – każdy na 1 mld dolarów. Wtedy wydawało się, że to wielki sukces. Ale trzeba było doczekać realizacji umów. Zgodnie z raportami RFPI, obecnie z 10 mld dolarów inwestycji zrealizowano 30 projektów na łączną sumę 2,5 mld dolarów. Podczas ostatniej wizyty Putina w Rijadzie zawarto 10 kontraktów na kolejne 2 mld dolarów. Oprócz tego rozpatrywanych jest jeszcze 25 nowych potencjalnych umów na sumę około 10 mld dolarów. W środowisku eksperckim panuje opinia, że współpraca inwestycyjna rozwija się bardzo wolno. Dla tradycyjnie konserwatywnych inwestorów z Zatoki Rosja tak jak kiedyś wydaje się rynkiem nie tylko z wysokimi dochodami, lecz także z dużym ryzykiem. Na to szef RFPI Kiryłł Dmitrijew odpowiada, że kilka lat temu niemal nikt nie wierzył, że saudyjscy biznesmeni wyłożą pieniądze na rosyjskie projekty, a potem mało kto dawał wiarę, że umowy wejdą w życie. Tymczasem niemal cztery lata od pierwszych umów sta się to faktem.

► Inwestycje na dziś

Aby ocenić jakościowe zmiany w dwustronnej współpracy między dwiema wizytami prezydenta Rosji w Rijadzie, można porównać spisy dokumentów podpisywanych w 2007 i w 2019 roku, a także porozumienia przyjęte podczas wizyty króla Salmana w Mo-

skwie w 2017 roku. 2007 rok – zaledwie pięć dokumentów: umowa o ruchu lotniczym, konwencja o unikaniu podwójnego opodatkowania, memorandum o współpracy między ministerstwami kultury, memorandum w sprawie wzajemnego zrozumienia i współpracy między Wnieszekonombankiem i Rosseksimbankiem a Saudyjskim Funduszem Rozwoju, umowy o współpracy między RIA Nowosti a Saudyjską Agencją Informacyjną. Zestaw praktycznie bez znaczenia. 2017 rok – 14 dokumentów. Jak poprzednio – mało konkretów i wiele listów intencyjnych o zamiarach i umów ramowych, ale spis się poszerzył. Oprócz dwóch wspomnianych funduszy inwestycyjnych chodziło o badanie kosmosu, współpracę wojskowo-techniczną. Została przygotowana karta drogową współpracy handlowo-ekonomicznej i naukowo-technicznej, program do spraw współpracy rolniczej, program realizacji współpracy w obszarze wykorzystania energii atomowej w celach pokojowych. 2019 rok – już 21 dokumentów. O dwustronnych stosunkach mówi się już jako o strategicznych, choć oficjalnie Arabia Saudyjska, inaczej niż sąsiednie Zjednoczone Emiraty Arabskie, wciąż jeszcze nie została strategicznym partnerem Rosji. Tym niemniej w obecności króla i prezydenta podpisany został przez Wspólną Komisję Międzyrządową program rosyjsko-saudyjskiej współpracy strategicznej wysokiego szczebla. Bardziej konkretne w porównaniu do poprzednich lat stały się kierunki inwestycji: leasing statków powietrznych w celu wsparcia rozwoju rosyjskich linii lotniczych, inwestycje w Nefietransserwis – to największy operator przewozów kolejną w Rosji. Pojawiły się też konkretne umowy, które są pierwszymi krokami w realizacji porozumień z 2015 i 2017 roku. To umowy o wejściu konsorcjum Saudi Aramco, PIF i RFPI w kapitały akcyjne producenta sprzętu do wydobywania ropy naftowej Nowomet i o współpracy między saudyjską korporacją naftowo-gazową SABIC, RFPI i rosyjską grupą ESN w sprawie budowy i eksploatacji zakładów produkcji metanolu o mocy do 2 mln ton rocznie w obwodzie amurskim na wschodzie Rosji. Oprócz dokumentów podpisywanych w obecności głów państw, podczas towarzyszącego wizycie Putina forum biznesowego rosyjskie i saudyjskie firmy zawarły 17 listów intencyjnych. Niewątpliwie na ich realizację można czekać latami, jak to już było z wieloma rosyjskimi spółkami, które chciały zacząć prace w Królestwie. Ale teraz władze saudyjskie są zainteresowane rozwojem gospodarki, lokalizacją produkcji i inwestycjami. W związku z tym pojawiła się szansa dla Rosjan, pierwsze licencje na działalność w Arabii Saudyjskiej już zostały przyznane. Pytanie, co będzie dalej i czy rosyjskie spółki będą mogły konkurować w Królestwie z zachodnimi i azjatyckimi biznesmenami.

► Gospodarka rolna i zbrojeniówka na jutro

W 2005 roku wymiana handlowa Rosji i Arabii Saudyjskiej wyniosła jedyne 235 mln dolarów, a w 2012 roku sięgnęła miliarda i utrzymała się na tym poziomie jeszcze dwa lata, po czym zmniejszyła się dwukrotnie wraz ze spadkiem cen ropy w latach 2015–2016. Przekroczyć poziom miliarda znów udało się dopiero w 2018 roku. Obecnie, jak powiedział w Rijadzie minister rozwoju gospodarczego Maksym Oreszkin, dwa kraje planują zwiększyć wymianę handlową do 5 mld dolarów do 2024 roku, a do 2030 roku osiągnąć co najmniej 10 mld dolarów. Przy blisko 50 mld dolarów obrotów handlowych między USA a Arabią Saudyjską i wielomiliardowych obrotach między Królestwem a europejskimi i azjatyckimi krajami wygląda to nieszczególnie imponująco. Ale należy brać pod uwagę, że Rosja dopiero nadrabia zaległo-

list intencyjny między Rosoboroneksportem a Saudyjską Spółką Wojskowo-Przemysłową o zakupie i lokalizacji produkcji wojskowego przeznaczenia oraz kontrakt na ogólne warunki organizacji w Królestwie produkcji licencyjnej karabinów automatycznych Kałasznikowa AK103 i amunicji różnego przeznaczenia. Jeśli wierzyć mediom, oprócz automatów w memorandum była też mowa o zakupie i lokalizacji produkcji ciężkich systemów miotania ognia TOS-1A Sołncepiek, przeciwzołgowych kompleksów rakietowych Kornet-EM i granatników AGS-30. W kwietniu źródło agencji Interfax poinformowało o początku dostaw do Arabii Saudyjskiej Sołncepieka. A w sierpniu szef Federalnej Służby Współpracy Wojskowo-Technicznej Rosji Dmitrij Szugajew potwierdził, że zaczęły się dostawy automatów Kałasznikowa, ale do lokalizacji produkcji droga jeszcze daleka. W Rosji także regularnie wspomi-

BIORĄC POD UWAGĘ PERSPEKTYWY HANDLOWE, WASZYNGTON NA RAZIE NIE MA SIĘ CO OBAWIAĆ WZROSTU WPLYWÓW ROSJI W REGIONIE ZATOKI PERSKIEJ. JEDNAK WIDĄĆ WYRAŹNIE, ŻE KRAJE ARABSKIE CORAZ AKTYWNIJ DYWERSYFIKUJĄ SWOJE KONTAKTY.

ści i dąży do tego, co inne kraje osiągnęły w poprzednich dekadach.

Tradycyjnie handel między Rosją a krajami arabskimi koncentruje się na dostawach produkcji rolnej i broni. Moskwa w relacjach z Rijadem stawia na rolnictwo. Wszak Arabia Saudyjska to największy nabywca żywności w regionie, wielkość importu w tym obszarze sięga 20 mld dolarów rocznie. Już teraz Rosja jest głównym dostawcą jęczmienia dla Królestwa. Pod koniec sierpnia zapadła zgoda na dostawy pszenicy. Podczas wizyty Putina oba kraje podpisały program o rozszerzeniu rosyjskiego eksportu produktów żywnościowych. Moskwa wiąże nadzieje z dostawami mięsa, produkcji mlecznej i wyrobów cukierniczych. Belgia zarabia miliardy na dostawach czekoladek do Królestwa. Rosja też ma co zaoferować. Minister gospodarki rolnej Rosji Dmitrij Patruszew uważa, że w pełni realne jest dojście do poziomu 1–2 mld dolarów w dostawach żywności do Arabii Saudyjskiej.

Bardziej złożona jest sytuacja z bronią. Arabia Saudyjska nieraz podpisywała z Rosją listy intencyjne na miliardowe sumy, i na tym koniec. W 2017 roku podczas wizyty króla Salmana w Rosji podpisano dwa dokumenty w tym obszarze:

na się podpisany w 2017 roku kontrakt na dostawę S-400. W lutym sprecyzowano to: Rosja i Arabia Saudyjska omawiają warunki dla aktywacji kontraktu. Jednak Rijad unika tematu. Taktycznie milczano tam, gdy Putin kolejny raz zaproponował Saudyjczykom S-300 i S-400 dla ochrony obiektów naftowych. Biorąc pod uwagę związki Waszyngtonu z Rijadem w sferze obronnej, zmian na tym kierunku nie należy oczekiwać, chyba że USA nagle gwałtownie zmienią kurs w stosunkach z Królestwem.

Biorąc pod uwagę perspektywy handlowe, Waszyngton na razie nie ma się co obawiać wzrostu wpływów Rosji w regionie Zatoki Perskiej. Jednak widać wyraźnie, że kraje arabskie coraz aktywniej dywersyfikują swoje kontakty. Moskwa już korzysta z tego we własnym interesie – zarówno ekonomicznie, jak i politycznie. Różnice między Rosją a Arabią Saudyjską w stosunku do Iranu nie przeszkadzają budować pragmatycznych relacji między obu krajami. Zaś zaufanie, które pojawiło się przy naftowej współpracy, pozwoliło Moskwie skutecznie współpracować z Rijadem w kwestii uregulowania konfliktu syryjskiego. Bez pomocy Saudyjczyków nie udałooby się dogadać z opozycją bazującą w Rijadzie. ■



Marcin Wolski

ZIEMIA DLA ZIEMNIAKÓW

Lewactwo nie jest w stanie obyć się bez religii. Naturalnie świeckiej. Taką funkcję pełniło w czasach komunistycznych wzlotów ubóstwienie klasy robotniczej, taką rolę odgrywa w czasach ponowoczesnych zajmowanie się nowymi uciśnionymi (przy czym bez znaczenia jest, czy rzekomi uciśnieni sobie tego życzą). Mogą nimi być wybrane mniejszości narodowe, ale przede wszystkim seksualne. A że rewolucja nigdy się nie kończy, po kobietach, Żydach, Murzynach czy przedstawicielach LGBT przyszła pora na obrońców przyrody. Jeszcze trzy dekady temu wszelkiej maści ekologiści stano-

wych mieszkania i piwnice są rzeczywiście niezbędne? Ale o tym milczą nawet najbardziej radykalni ekologiści. Oczywiście istnieją faktyczne zagrożenia dla przyrody – metale ciężkie, plastiki, trująca chemia, zanieczyszczanie oceanów, wycinanie lasów. Jest też kwestia walki z nadmiarem CO₂ – ale w tym przypadku najlepszym rozwiązaniem jest właśnie zalesianie, nawadnianie pustyń. Dla mnie konserwatysty główny sens ochrony przyrody jako środowiska naturalnego ludzi sprowadza się do zachowania jego bogactw przyrodniczych i ocalenia go dla przyszłych pokoleń. Nie przepadam za corridą, cyrkiem, polo-

DLA MNIE KONSERWATYSTY GŁÓWNY SENS OCHRONY PRZYRODY JAKO ŚRODOWISKA
NATURALNEGO LUDZI SPROWADZA SIĘ DO ZACHOWANIA JEGO BOGACTW PRZYRODNICZYCH
I OCALENIA GO DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ.

wili grupę pocziwych zapaleńców (czy raczej użytecznych idiotów) sponsorowanych przez Kreml w celu rozwalenia społeczeństw Zachodu. Udało się nadspodziewanie – dziś postulaty ekologiczne mają priorytet wśród spraw zaprzatających umysły ludzi sytych i zamożnych, a partie „zielonych” jako jedyne wśród ugrupowań lewicowych notują znaczący postęp. Przy czym obłęd związany z globalnym ociepleniem, dziurą ozonową itp., a wyrażany w hasłach przedstawiających jedynie jakieś wyobrażenia ludzkości na te tematy, nie ma wiele wspólnego z ochroną przyrody. Tym, którym roi się zmniejszanie pogłowia krów, bo produkują dwutlenek węgla, czy zaniechanie rozmnażania się, bo niemowlęta szkodzą środowisku, jakoś nie przychodzi do łba, że istniałyby efektywniejsze metody walki z problemami środowiskowymi (zakładając, że one w ogóle istnieją). Zrezygnujmy z samolotów, ograniczmy używanie samochodów, a przede wszystkim przestańmy premować masową konsumpcję. Ile ubrań i par butów tak naprawdę człowiek potrzebuje w życiu? Czy miliony wypychanych mu przez reklamę gadżetów zawałają-

waniem, łowieniem ryb i paradowaniem w skórach, ale jeśli są ludzie, którzy tego potrzebują, nie wolno im tego odbierać. To my decydujemy, że chcemy zjeść befsztyk, a nie odwrotnie. Ci, którzy w porywie litości uwalniają zwierzątka laboratoryjne, nawet nie zdają sobie sprawy, że ich nie ocalają, tylko skazują te pożyteczne (dla nauki) istoty na pewną śmierć. Podobnie klatka cyrkowa czy ogród zoologiczny to często ostatnia szansa na przetrwanie. Człowiek jest miarą wszechrzeczy! Bez jego istnienia nie miałoby znaczenia to, czy planeta Ziemia byłaby chmurą metanu czy płynną lawą. Od pewnego czasu podstawowym marzeniem lewactwa jest zrównanie człowieka ze zwierzęciem. Faktycznie pozbawienie go duszy nieśmiertelnej i wyrugowanie z edukacji religii sprawia, że ograniczony do wymiaru konsumpcyjno-seksualnego człowiek przestaje różnić się od małpy. Odzrucenie biblijnej zasady, wedle której Bóg nakazał czynić nam Ziemię sobie poddaną, prowadzi do naturalnej konsekwencji w postaci eliminacji ludzi jako gatunku – agresywnego, nadmiernie rozrozonego, szkodliwego dla ekosystemu. ■



Tomasz Sakiewicz

Mikroprzekaz

Kampania wyborcza, podobnie jak wojny, powoduje rozwój nowych technologii walki. Jedne okazują się przestarzałe i mało efektywne, inne wchodzą na rynek, decydując często o niespodziewanym zwycięstwie.

Nie wolno lekceważyć żadnych metod przekazu, ale wyraźnie widać, w jakim kierunku się rozwijają. W ostatnich wyborach największy sukces osiągnęły partie, które miały dostęp do największych mediów. Jednak to okazało się niewystarczające. Wsparcie największych mediów dawało sukces wtedy, gdy zostało uzupełnione bezpośrednim kontaktem z wyborcą. Przy 18 milionach głosujących i około 30 milionach

wania ulotek, jest wiec. Oczywiście przemowa do kilkudziesięciu czy kilkuset osób nie jest kontaktem bezpośrednim, ale daje do tego sposobność. Można to zrobić w formie odpowiedzi na zadawane pytania czy osobistej rozmowy po zakończonym wiecu. Wielu polityków traktuje takie spotkania jak stratę czasu, „idąc na ilość”, tymczasem właśnie „rozmowa po” jest często najbardziej efektywna.

Najnowsze technologie pozwalają zmultiplikować przekaz osobisty. Szczególnie mocno służą temu media społecznościowe. Polityk może nawiązać bezpośredni kontakt z wyborcą, nie ruszając się z domu czy też jadąc na przykład samochodem.

SUKCESY MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH WYNIKAJĄ NIE TYLKO Z TEGO, ŻE JEST TO NAJSZYBSZA FORMA KOMUNIKACJI, LECZ TAKŻE Z TEGO, IŻ JEST ONA BEZPOŚREDNIA I INTERAKTYWNA, CZYLI DAJĄCA NAMIASTKĘ BEZPOŚREDNIEJ ROZMOWY.

uprawnionych do głosowania wcale nie jest to proste, nawet jeżeli w wyborach biorą udział tysiące kandydatów. Niemniej skuteczność walki, na przykład na tej samej liście, wyraźnie zależała od bezpośredniego kontaktu z wyborcami.

Klasycznym przykładem mikroprzekazu jest spotkanie na ulicy. Kandydaci wykorzystują do tego rozdawanie ulotek czy innych wyborczych materiałów. Niemniej ulotki same w sobie wielkiej roli nie odgrywają, co nie oznacza, że są bez znaczenia. Większy wpływ daje jednak możliwość spotkania kandydata, uściśnięcia mu ręki i zamiany kilku słów. Nie mamy ochoty głosować na anonimowych ludzi, wybieramy tych, których poznaliśmy. W przypadku najbardziej znanych nasycenie informacją z mediów jest tak duże, że stają się oni jakby częścią naszej rodziny, mimo braku realnego kontaktu z nimi. Z inną sytuacją mamy do czynienia, gdy kandydat jest mało znany. Wtedy niemal kluczowe dla wyborcy jest to, czy miał okazję do bezpośredniego kontaktu z politykiem. Sprawa jest na tyle istotna, że sztaby wyborcze wręcz stają na głowie, by takie wrażenie stworzyć. Doskonałą okazją do dotarcia do wyborców, oprócz rozda-

Media społecznościowe dają iluzję bezpośredniego spotkania. Warunkiem jednak jest wyjście z anonimowości. Zarówno farmy trolli, jak i zwykłe ekipy wolontariuszy posługując się pseudonimami, udają realną debatę. Ma to pewien wpływ na wyborców, ale trzeba przyznać, że on maleje. Bardzo rzadko odpowiadam na anonimowe zaczepki albo pytania ludzi piszących z kont, które udają kogoś innego. Jeżeli ktoś nieustannie powtarza tę samą tezę, też raczej nie bierze udziału w normalnej debacie, a stosuje coś, co można nazwać „przemocą elektroniczną”. Takich ludzi czy takie konta należy z debaty w internecie po prostu eliminować, samodzielnie je blokując, bo niczego nie wnoszą, a ich aktywność jest rodzajem oszustwa.

Sukcesy mediów społecznościowych wynikają nie tylko z tego, że jest to najszybsza forma komunikacji, lecz także z tego, iż jest ona bezpośrednia i interaktywna, czyli dająca namiastkę bezpośredniej rozmowy.

Mikroprzekaz jest przekazem najsilniejszym, bo z takim mamy do czynienia na co dzień: w rodzinie, wśród przyjaciół, w pracy itd. Wszystko więc, co ma jego cechy, nabiera większej mocy. ■

MAKSIMUM SPORTU!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!

